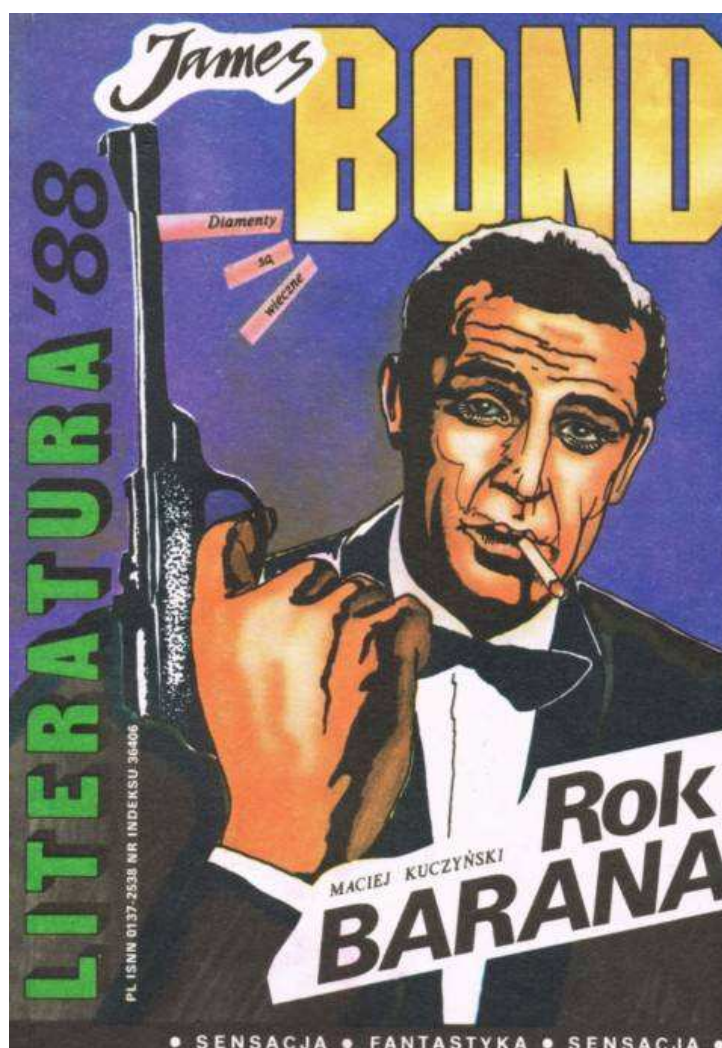


MACIEJ KUCZYŃSKI

ROK BARANA



LITERATURA • NUMER SPECJALNY • 1988

1.

Lato spędzał na Cresie. We dnie leżał brzuchem na skale, z dłońmi na gładkim wapieniu. Wieczorem jadł pomidory, w południe melona. Kładł się na szczelinie dmuchającej chłodem. Słuchał syku piany i bełkotów morza. Parzący syrop słońca kapał mu na plecy.

Nie myślał o niczym lub obliczał ile trzeba czasu, by zamienić się w kamień. Stać się skamieliną, jak amonity uwięzioną w skale. Nie potrzebować nigdy już otwierać oczu, ani jeść pomidorów. Odczuwać świat, już do skończenia świata, tylko jako łaskotanie wiatru, bębnienie ulewy.

Ona leżała obok. Powiew przynosił rozgrzane odory gumy materaca, olejków, acetonu, oliwy i wody kwiatowej. Zaciskał nozdrza i oddychał ustami. Niczym więcej ponad to już nie była dla niego. Więc któregoś popołudnia, nie podnosząc głowy, zsunął z palca obrączkę i wpuścił do szczeliny. Tylko raz brzęknęła.

Zszedł potem nad morze. Niespokojne, przejrzyste, z błękitnego szkliwa, ze smugami szafiru, słone, szorstkie, spierzchnięte od bryzy, tak świeże jak polarny ocean przeniesiony pod lepkie, adriatyckie niebo. Myślał, kilka razy, iż dobrze byłoby stać się taką wodą. Przejrzystym jak ona. Falować każdą tkanką ciała, tak rozluźnioną, miękką, jakby w sennym marzeniu. Tak uspokojoną, cichą, złagodniałą, jak nie może być nic żyjącego.

Znał rybę, która miała świadomość. Spotykał ją nad kępą morskoczynu. Ilekroć tam spłynął, czekała na niego. Tłusta, szara, pasiasta, obwieszona płetwami jak strzępami koronek. Zwijał się niczym sprężyna, aby zająć ją z boku, wiosłował... i zawsze miał ją przed sobą. Pierwsza brała wiraż. Wyłupiastym okiem, to lewym to prawym, patrzyła do tyłu. Zamiatła ogonem zachęcając do udawanego pościgu, przesadnie pochylała ciało jakby w odgrywanym strachu. Zapewne, nie była to świadomość bytu, metafizyki istnienia, własnego upadku i kresu, lecz świadomość chwili. Żyła poza czasem.

Prąd porywał go z sobą między skalne słupy. W szafirowym płynie, pośród smug promieni, widział czarne krawędzie, ostre brzytwy muskające skórę. Targały się wiehcie ukwiałów. Wydymająca się fala unosiła go w górę, a potem razem z nią opadał wzdłuż ściany, kolonii pąkli i morskich ślimaków, małży i podwodnych grotek.

Widok zdechłego kraba powiedział mu jak łatwo jest umierać w morzu. Krab, wielkości talerza, wypłynął z mroków bladej, podbijany prądami. Obracał się i miotał parami bezwładnych odnóży. Kleszcze ciążyły do dna. Na sflaczałych słupkach zwisały mętne oczy. Baran płynął za nim. Myślał, że śmierć jest zaniechaniem oporu, zgodą na to, by woda, jej sól, przeniknęła do tkanek, jest zerwaniem z odrębnością, z dążeniem do pozostawania sobą, z arogancją, dumą, z bezczelnością, z odwagą trwania wobec reszty wszechświata, z żalosną nadzieją bycia kimś zamiast czymś. Była więc spokojem, powrotem do świata atomów, między ich milczące sfery, w pustkę pól siłowych.

Dawno stracił złudzenia, pozbył się zapалу. Odkąd jał podejrzewać, że przeciętność jest mu przypisana już do końca życia, coraz mniej miał ochoty do działań, które by wykraczały ponad codzienną, szarą krzątaninę. Spał, jadł, kochał, odpoczywał, pracował z rosnącym przekonaniem, że w tym i wszystkim innym pozostanie miernotą.

Przestała trapić go zagadka istnienia. Zadowalał się poręcznym, prostym objaśnieniem świata utkanego, jak łatwo się zgodził, z pożądaniami, pragnieniami, zderzeniami interesów, zależności, władzy, lęków, tęsknot, wzajemnych szantaży. One, w jego oczach, jak płatanina sznurków w teatrze kukiełek, miały napędzać codzienny kołowrót życia. Nie chciał myśleć o tym, że nad każdym teatrem istnieje jego sprawcza, porządkująca przyczyna.

Czuł swe uwikłanie. Lecz przy tym, w niepojętny sposób doznawał przecucia, że ono

nie jest ostateczne, nie musi być takim. Dokąd sięgał pamięcią, w najwcześniejsze lata, zawsze znajdował w sobie światełko nadziei, promyk przekonania, że może być inaczej, że istnieje możliwość, że dość otworzyć jakiś tajny zakamarek głowy, jakiś zakątek psychiki, aby w mgnieniu oka świat zaczął się od nowa. Zaś on, odmieniony, zapanował nad życiem. I powtarzał sobie, że trzeba tylko klucza, aby to się stało, prostego sposobu, ażeby wybuchnąć niby supernowa, takim blaskiem i siłą, by zaćmić świat sobą, by go oszołomić i poddać go sobie, na własnych zasadach i bezwarunkowo.

I oto morze nasunęło mu pomysł, ażeby spróbować w tym granicznym obszarze, gdzie śmierć styka się z życiem. Zanurzyć się w żywiole, zatopić w nim zmysły tak, aby zamilkły ogłuszone i ślepe, sprawić, by wyrwało się z głowy to, co jest istotą. A wtedy już wiedzieć. Lub zginąć...

Napełnił płuca głębokim oddechem i zgiąwszy w pół ciało, przewrotem na głowę zanurkował w głębinę. Szedł na dół w coraz spokojniejszej toni i w coraz szczelniejszym uścisku, z bólem rosnącym w uszach. Na dnie, w zagonie ciemnych łodyg, biała owalna misa wypełniona wapiennymi głazami. Chwycił wielki jak głowa, opasany kwarcowym pierścieniem. Zawisł nieruchomo z ciężarem. I gdy czekał mroku, niespodziewanie ujrzał iskrę zapalającą się w głowie. Światełko wirujące i rzucające promienie tak jak zimny ogień. Kręciło się pod czaszką, rozpałało, rosło zatapiając mózg błękitnym płomieniem. Było czymś, co się zbliżało i wynikało jakby z niezmiernie głęboko pod czaszką Barana, z nieznanego wymiaru. O tym wiedział od razu.

Rzucił się naprzeciw myślą, całym sobą, by stać się tym światłem i w nim się utopić, dać mu się pochłonać. Lecz wtedy, wstrzymywane powietrze trysnęło pomiędzy zębami. Łyknął gorzki kęs morza. Nogi pchnęły go wzwyż, przebił srebrzyste pokłady. W tchawicy miał gorący ołów, dusił się i kaszlał miotany przez fale. Świetlistą zjawę zakryły czerwone płachty wybuchające mu w skroniach.

Stanął w płytkiej wodzie, wynurzył ciało z cieczy i zanurzył je w suchym, rozpalonym gazie. W milczeniu patrzył na krwawiące kolano. Tkwił oszołomiony z jedną nogą na skale nie wiedząc czy, gdy wyjmie drugą z wody, ład się nie przechyli pod jego ciężarem i nie straci z siebie wszystkiego do wszechzsypania.

2.

Obudził się w nocy ciężki, lepki od potu. Leżał bez przykrycia. Czuł swędzenie skóry obrzmiałej od jadu. Wsluchiwał się w uporne, naddźwiękowe brzęczyki komarów.

Księżyc tkwił w oknie przeraźliwie biały, spęczniały jak pieczarka opita rosą o świcie. Gdzieś tam psy szczekały. Śpiewy zamierały w kamiennej gospodzie.

Wróciło wspomnienie tamtych chwil pod wodą. Raz jeszcze zapragnął zobaczyć ów blask jaśniejszy od wszystkiego co dotychczas widział, a nie oślepiający przecież! Niosący z sobą potężną zapowiedź. Gdyby trwał tak dłużej... Lecz teraz tylko ciemność miał w głowie. I myśl, że musi powrócić i doprowadzić do końca doświadczenie.

Uświadomił sobie, że wówczas, gdy całą uwagę zwrócił do wnętrza swej głowy, ku rosnącemu tam światłu, przecież oczy, skierowane na zewnątrz, patrzyły na coś całkiem innego. Podświadomość zwróciła mu teraz ten obraz zatrzymany poza jego wiedzą. Każdy kamień, polip, roślina czy meduza zdawały się być złożone z przeraźliwie wyraźnych, świecących okruchów, zdawały się rozsiewać przejrzystą aureolę. Taka była też woda, nie płyn lecz świetlisty i ruchliwy proszek sypiący się wokół.

Jeszcze coś zobaczył. Na pustym spłachetku dna, obok skały, spoczywała metalowa kula. Ależ tak! Rozpoznał ją teraz bez chwili wahania. Poderwał się z pościeli i policzył mośiężne, niklowane gały na poręczach łóżek, niegdyś posagowych, Vujkovič Julity. Układała w nich Szwabów, sądził, że to lubili. Nic masywniejszego nie było w pobliżu, chyba most żelazny w Lošiniu. Na każdym łóżku powinny być cztery... jednej brakowało!

I jeszcze coś tam było. Zmarszczył brwi. Coś tam zamajaczyło w mroku skalnej szczeliny, zbyt krótko i niewyraźnie, by odbić się w mózgu obrazem. Siedziało tam jednak, wiedział, i ważniejsze od kuli!

Spuścił stopy na deski podłogi. Jej oddechu nie słyszał. Leżała na swym łóżku pod ścianą, na boku, odwrócona. Może z otwartymi oczami. Zapewne spostrzegła już brak obrączki u niego. Zawsze cicho spała. Milcząco, higienicznie, zdrowo. Snem przez swą doskonałość drażniącym go nawet bardziej niżby to czyniło chrapanie. Ten sen tylko pogłębiał jego przekonanie, że pod skórą składała się wyłącznie z mikroporowatej gumy.

Zgarnął spodnie, sandały, koszulę. O drugiej po północy wymknął się na schody. Ubrał się na ganku obrośniętym winem. Ściągnął z wianka figę i żując zszedł stromą ulicą. Prowadziła do morza między ślepych ścianami odwróconych ku ogrodom domów.

Idąc myślał o tym, że właściwie nie wie, skąd się w nim to wzięło. Nigdy nie miał nauczyciela czy mistrza, który by w nim zaszczerpił tę szczególną wiarę, ba, nie wiarę, pomysł, zaledwie ideę... Może z nią się urodził? Może wziął ją z bajek? Przecież pełne były bohaterów nie znających rzeczy niemożliwych. Może wziął ją z książek, z rozproszonych cytatów Biblii albo wschodnich nauk, z przypowieści i powiedzeń ludowych? Może czytał w gazetach o tych zwykłych ludziach dokonujących niepojętych czynów właśnie tylko dlatego, że na krótką chwilę odnaleźli w sobie źródło siły, ufności i pewności siebie? Szybko wyczerpywane i zapominane, niestety.

Na progu kościoła dojrzał płytę wygładzoną stopami, oświetloną księżycem. Znalazł biały kamyczek, przykleknął i wyskrobał ten jasny okrąg wysyłający promienie, wciąż tkwiący mu w głowie. Oko Opatrzności wyrzeźbione na wrotach promieniowało tak samo. Przyjrzał mu się uważniej: pociągnięte lakierem świeciło tak żywo jakby to sam Pan Bóg zechciał przez judasza - ha! ha! - wyglądnać z kościoła. Zaśmiał się bezgłośnie i wycelował palcem w przenajświętszą źrenicę:

- Jeśli jeszcze raz mi się zdarzy to, co wczoraj w morzu i jeśli potrafi coś zmienić w moim życiu, ślubuję wrócić do tej dziury i zrobić im taki dobry uczynek, że mnie popamiętają do skończenia świata.

Pobiegł, najpierw szosą, potem ścieżką do góry, którą co dzień chodzili na plażę. Nawet nie wiedział, co każe mu się tak spieszyć. Wpadł w cienisty lasek, zbiegł przez oliwne tarasy. Rozpędził jakieś kozy uwiązane do kółków, coś tam zabeczały. Księżyc puchł jeszcze na niebie, choć się już zsuwał z zenitu. Liście oliwek były ze srebra pokrytego śniedzią. Nocny Adriatyk prawie szafirowy.

Plażę zaścieniały okrągłe kamienie wypchnięte przez fale. Zsypane hałdami i białe tej nocy jak śniegowe kule. Grzechotały przy każdym jego kroku. Coś w nim jakby ożyło. Jakby po raz pierwszy usłyszał cykady. Pijane, krzyczały na wzgórzach milionowym chórem wpadającym w organowe dudnienie. Teraz pojmował ich conocny zamiar wprawienia w taki rezonans i ziemi, i nieba, żeby się to wszystko rozsypało na proszek.

W poprzek plaży świecił pień wyrzucony przez fale i odarty z kory. Rozpędził się, chciał skoczyć. Poderwana stopa zawadziła o druty. Runął na łeb, na szyję, wyrznął o pień brzuchem, a nosem zarył w czyjeś spotniałe podbrzusze.

- Himmel! - zabrzmiał krzyk kobiety, a potem - Raus! Weg! Raus! Weg! - powtarzane na zmianę. Dostała jakichś drgawek i wykrzykiwała swoje - Raus! Weg! - jak zepsuta płyta.

Przetoczył się po niej już na drugą stronę, pozbierał się z ziemi. Wymarł twarz i splunął. Leżała na plecach jak rozplątana rozgwiazda schwytna na rybacki haczyk. Pod nią pulchny

grubas. Unieruchomiony, tylko sapał i wytrzeszczał wielkie jak u sowy oczy.

- Verzeihen Sie mich, bitte! - mruknął Baran uprzejmie i pobiegł w swą stronę.

Skała wystawała z toni niby głowa Murzyna. Położył się na wodzie. Nie sądził, że tak wiele zobaczy. Gdy zanurzył oczy, odkrył, że jest tu nawet jaśniej niż na górze. Skały i rośliny tliły się bladym i ręciovym lśnieniem bez półcieni. Kula leżała tam gdzie ją zostawił, świetlista bańka błękitu, teraz bardziej niż w dzień błękitnego.

Zgiął tułów i zszedł w dół szczupakiem, zamknął kulę w dłoni, drugą ręką uczepił się występu skały i czekając na wyczerpanie się zapasu tlenu przysunął głowę do miejsca, gdzie wapienna półka zapadała w głęboką szczelinę.

Ujrzał co się w niej kryło i przez kilka sekund pozostawał niezdolny do ruchu. Poznał Vujkoviča i, na łańcuszku u szyi ów złoty amulet, krzyżyk w wieńcu cierniowym. Te same, które tyle razy oglądał na fotografii ubranej kwiatami w pokoju Vujkovič Julity. Czarne włosy spłynęły na czoło jak pęk uśpionego ukwiału. Czarny wąsik i usta rozchylone jak gdyby w oddechu. Opalona skóra, przymknięte powieki. Mogło się wydawać, że topielec dopiero co się znalazł w podmorskiej pieczarze. A przecież wyszedł z domu i zaginął bodajże przed rokiem.

Lecz teraz Baran sam począł się topić, pękające płuca domagały się tlenu. Obręcz ścisnęła skronie. Próbował trwać jeszcze i jeszcze w głębinie, aż wreszcie się doczekał. Blask wybuchł mu w głowie błękitnymi snopami, jaskrawymi i łagodnymi zarazem. Odebrał je jak uderzenie niesłychanej siły, która swym niebieskim lśnieniem dotarła wszędzie, wszystko w nim ogarnęła i wszystko przepaliła, wtrącając Barana w niepamięć.

Ocknął się gdy słońce już wschodziło. Leżał w płytkiej wodzie ochlapany falkami. Na poranionych łokciach podciągnął się wyżej. Nie był dawnym sobą, wiedział to od razu. Odczuwał inną niż dawniej jedność z ciałem. Miał świadomość wszystkich jego cząstek naraz, każdej komórki i włókna mięśniowego. Zarazem był odrębnym sobą w bezwzględnie poddanym mu ciele.

Podniósł się nieomylnymi ruchami, raczej popłynął ku górze i stanął by obeschnąć na bryzie. Patrzył na spierzchnięty drobnymi falkami Adriatyk. W palcach ścisnął kulę. Nie był wcale zdziwiony tym, co się z nim stało. O niczym nie musiał już myśleć, niczego rozważać. Wiedział. Tkwił w ciele sprężystym jak stalowa sprężyna, tryskającym siłą z napiętych mięśni ramion, lędźwi, brzucha i klatki piersiowej. Potem pchnął je naprzód. Posłuszne ruszyło do osady. Był pewien, że z tą chwilą nic nie będzie już takim, jakim było dotąd.

Przeszedł obok kościoła. Baby się zbierały, aby już od rana dręczyć Najwyższego zaduchem potu, czosnku i cebuli. Przez uchylone dźwierze spojrzął ze współczuciem w kierunku ołtarza. Przystanął i przepuścił Vujkovič Julitę. Patrzył ze spokojem jak człapała prosić o oddanie syna, który zniknął bez śladu. Baran mógł być teraz sprawcą cudu, lecz patrzył w milczeniu. Szuwaksowane trzewiki szurały na progu kościoła, zacierając jego nocny rysunek.

Przemknął pod osłoną muru i tylko wystawiając głowę zajrzał do ogrodu. Stary Vujkovič podlewał biały oleander o mdlącym zapachu. Z okna na piętrze dochodził szum prysznica. A więc już nie spała. Wsiadł do samochodu wciśniętego w pas cienia pod murem. Drzwi przyciągnął ostrożnie, by nie szczęknął zamek, spuścił ręczny hamulec i bezszelestnie ruszył w dół ulicy.

Rozpędem dojechał do samego kościoła, tam już mógł zapalić. Warczał jakiś samochód przed sklepem, a z kempingu wyjeżdżał autobus. Spomiędzy domów wypadł na nadmorską szosę.

- Jedno mogę zrobić... - mruknął gnając brzegiem, sięgnął do schowka, wyjął dwa paszporty, swój schował z powrotem, drugi wyrzucił przez okno. Widział w lusterku jak frunął z rozwianymi kartkami. Nie poświęcił temu już ani sekundy uwagi.

3.

Sam nie wiedział, kiedy się znalazł na promie. Płynąc nie wychylił nosa. Siedział w aucie z nogami na pedałach i złapał się na tym, że kilka razy sięgnął ręką do kluczyka zapłonu. Wszystko dokoła działało się na marginesach uwagi: połyskliwe morze, jasne kapelusze. Płacił komuś, odbierał jakieś kartoniki.

Wyskoczył z promu jak katapultowany samolot i pognał do szosy trąbiąc i rozpędzając przechodniów światłami. W ostatnich chwilach dostrzegł drogowskaz na Rijeke, skręcił z piskiem opon, zarzucając tyłem.

Pomiędzy Zagrzebiem a Varaždinem spostrzegł zmianę w odgłosach silnika. W ciągu kilku minut hałas wypełniający wnętrzu samochodu przeszedł w ciche mruczenie. Przełykał ślinę, klepał się po uchu, okna pozakręcał. Nic się nie zmieniało. Zjechał na pobocze, otworzył maskę i schylił się nad pracującym motorem. Tak samo jak zazwyczaj zachlapany olejem. Lecz odgłosy.. Zaledwie cichy szmer, jakby elektrycznego silnika. Z rury wydechowej płynęły, też bezgłośnie, bezbarwne spaliny.

Wrócił za kierownicę. W ciągu ośmiu sekund miał sto na liczniku. Był na trzecim biegu i motor powinien ryczeć jak lotnicza turbina. Lecz nadal świst powietrza był jedynym odgłosem. Wrzucił czwarty. I po raz pierwszy na tym biegu poczuł, że przyspieszenie wciska go w oparcie fotela. Wskazówka szybkościomierza, czego nigdy nie widział, minęła sto trzydzieści i oparła się na końcu skali. Teraz zostało tylko świadectwo migających słupów. „Sto pięćdziesiąt!” - ocenił i zwolnił.

Odtąd życie należało szanować. Choćby tylko po to, aby się przekonać do czego jeszcze zdolny jest w istocie Baran. Wyciągnął w bok rękę, by dotknąć leżącej w korytku niklowanej kuli. Była jego jedynym dotykającym łącznikiem z tym, co stało się w morzu.

Nieogolony, patrzył zmrużonymi oczami, przez mżące fale światła, na drogę przed sobą. Zęby miał zaciśnięte, nie próbował śpiewać ani jechać zygzakiem. To co w nim wzbierało było zbyt wielkie, by się tak wyrażać. Trwał w tym białym żarze zlewającym się z nieba, wśród mlecznych zarysów świata przepęczających bokami, w jakimś upojeniu, jak w euforii tlenowej lub tym co pletwonurkowie nazywają narkozą azotową: lekki, wyzbyty strachów, w nieważkości ducha. Lecz było to coś więcej, bo dalekie od zawieszenia w jakimś błogostanie. Czuł gorączkę w głowie, wokół serca niepokój i odkrywał - nie umiał tego nazwać inaczej - stan nadwrażliwości ciała. Odbierał sygnały każdym zmysłem i powierzchnią skóry. Oczami - szelest pól kukurydzianych; wywąchiwał z wiatru ich żółto-zielone kolory; dotykał zapachu suchej i czerwonej ziemi; słyszał rzędy pagórków i łagodne doliny.

W południe przekroczył granicę. Zbliżając się do Balatonu zaniepokoił się stanem benzyny w zbiorniku. Wskazówka nie opadała nawet do połowy skali, mimo że jechał od rana. Pomyślał, że zacięła się dźwignia pływaka. Zjechał z drogi na najbliższym postoju, zakołysał Fiatem. Wskaźnik zadrgał i wrócił w dawne położenie. Wydobył kanister z zapasem paliwa. Zmieściło się pięć litrów. Zakręcił korek i usiadł w fotelu. Zrobił w myśli rachunek: trzysta kilometrów, pięć litrów benzyny. Zużycie: pięć dzielone przez trzy, równa się - jeden, przecinek, siedem. Nieco ponad półtora litra na sto kilometrów. Wciągnął głęboko powietrze.

Zamierzał już ruszyć, gdy nadjechało ich dwoje. Rozległ się wystrzał z rury wydechowej i klekot urwanego błotnika. Cygan, opasły, w białej, podartej pod pachą koszuli, w wyświeconych spodniach, czarnych z białymi paskami, wysiadł z auta tyłem i udając, że sprawdza czy hamulce nie grzeją, schylał się do opon. Dziewczyna, w zielonej bluzce przetykanej błyskami, w kwiecistej spódnicy, podniosła ramiona, przeciągnęła się pokazując pachy lecz zaraz, w połowie tego ruchu, jakby zbyt niecierpliwa, aby dalej udawać, że zatrzymali się tu przez przypadek, zakręciła się na obcasie i ruszyła prosto w stronę Barana.

Uchylił drzwi, oparła się o nie. Nisko pochylona spytała o papierosy Marlboro i kapy pluszowe. Miała śniadą, ziemistą cerę, podkrążone oczy. Przez wycięcie bluzki patrzył na jej brudny stanik. Wiedziała o tym. Pochyliła się niżej, jęła przeciągać słowa, pokazywać wiszący na szyi łańcuszek. Twierdziła, że złoty i odda go tanio.

Gdy kazał jej usiąść przy sobie, opuściła powieki, ujrzał na nich z bliska drobiny złuszczonego błękitu. Jej oddech przyspieszył. Ruszając się jak we śnie obeszła samochód, opadła na fotel.

Baran wiedział, że ta chwila jest probierzem przemiany. Teraz miał się przekonać czy siła, jaką poczuł w sobie, przyniosła mu władzę. Czy Cygan i Cyganka, którzy przypadkiem stanęli mu na drodze, ulegną mu tak łatwo, jak gdyby ich wola, chęci i zamiary przestały istnieć w zderzeniu z Baranem.

Cygan grzebiąc ręką pod rozchełstaną koszulą, oparty o błotnik, ziewał i z bezmierną nudą patrzył wprost w Barana. Nie trwało to długo. Fiat skoczył ze zgrzytem, rozległ się trzask blachy i cygański wrak pchnięty uderzeniem wyrwał się spod siedzenia właściciela, stoczył się kołami za krawędź parowu i runął w dół przez gęstwiny krzaków.

Baran szarpnął lewarek, cofnął wóz zanim Cygan odzyskał równowagę, wyjechał na szosę, przemknął nią kilometr, skręcił w leśną drogę, potem w ścieżkę i wbił się w poszycie. Zaniósł ją na rękach przez chłodne listowie do łanu paproci, położył pod parasolami, sam ukląkł w zielonej poświacie, niby na dnie wody lub w blasku witraży.

Mignęły mu w pamięci te wszystkie chwile życia gdy musiał się hamować, kiedy pragnął kobiety i nie mógł osiąść jej natychmiast, zaraz. Lecz odtąd mógł je brać, jak i gdzie zamarzył, bez pytań, zalotów, podstępów, przyzwolenia.

Przemieniony w czyste, wyzwolone pragnienie, nie znając ograniczeń ani też oporu, rozrywał jej bluzkę i wyłuskiwał piersi rozszarpując stanik. Poddawała się patrząc nań spod przymrużonych powiek. Zgniatając paprocie, łasiła się o mech plecami, wkręcała palce we włosy, gryzła wargi, wciągała powietrze z sykiem. Lecz gdy sięgnął niżej, poczęła zajadle się bronić i osłaniać przed jego spojrzeniem. Zabrakło jej siły, aby go powstrzymać. Zobaczył straszny obraz rozkładu poczynionego przez nie leczoną chorobę Znieruchomiał na mgnienie oka, by w następnej chwili osiąść ją tym gwałtowniej, z furją, jakby z gniewem na samego siebie za ten moment wahania. Za to krótkie zwątpienie w swoją moc unieważniania rzeczy i wydarzeń.

Usnęli, a kiedy się zbudził bez żadnej myśli w głowie, spojrzął w koronki paproci, wierzchołki sosen i niebo nad nimi. Prosiła, by ją podrzucił do Budy. Wsiadła do Fiata cicho. Poły podartej bluzki zgarnęła przed sobą, wkrótce zapomniała o nich i pozwoliła im się rozsunąć na boki. Niebawem usnęła na łokciu opartym o szybę. Zbudziła się nagle, między Erd a Budą, gdy zaczęły już migać przedstołeczne domy. Drgnęła i zmarszczyła czoło, jakby chcąc rozpoznać coś, co działo się w głębi jej ciała. Spojrzała niepewnie na Barana, utkwiała wzrok w swych udach, z namysłem oparła na nich dłonie. Jej twarz przybrała wyraz zdziwienia i niedowierzania. Nie bacząc na Barana uniosła fałdy spódnicy i schyliła głowę. Łzy popłynęły jej z oczu. Zginając się w kłębek patrzyła w ów zakątek ciała, tak niewinna w bezwstydzie dorosłej kobiety, jak mała dziewczynka przejęta odkrytą tajemnicą ciała.

Zmniejszył szybkość, zjechał na bok i stanął pod gałęziami zwisającymi nad płotem. Spojrzął i zrozumiał, była uzdrowiona. Uczynił to sobą. Swymi komórkami. Dał jej cząstkę siebie i dokonał tym cudu. Chwytała jego rękę, śmiała się i płakała na przemian. Wreszcie, jakby jej szczęście już się nie mieściło w wozie, wyskoczyła pod płotem. Tam, pod gałęziami ciężkimi od śliwek brała się pod boki, tańczyła, zerwała pęk trawy i sypała ją sobie na głowę. Rwała garściami liście i przyciskała do gorącej twarzy. Wołała coś do słońca, do przejeżdżających ludzi. Wreszcie kazał jej wsiadać. Wtedy, w panicznym strachu, odskoczyła na bok. Nie chciała jechać z nim dalej. Tak, jakby się bała, że cudotwórca wycofa się ze swego cudu. Jak zwierzątko, które chce uciec z łupem w bezpieczne schronienie. Dziękując i błogosławiąc

upadła na kolana pod drzewem, objęła pień rękami i żadna siła nie mogłaby jej zawlec do miejsca, w którym odzyskała zdrowie. Odjechał.

Czeski celnik w Szachach był zdziwiony brakiem w aucie bagaży, więc mu opowiedział o nagłym wezwaniu przez biuro, o żonie, która została nad morzem i do której za kilka dni wróci. Narzekał na zmarnowany urlop, na współpracowników, którzy nie umieją sobie poradzić bez niego.

Pod wieczór gnał już wznoszącą się ku Tatrom szosą. Zanim słońce zaszło, zdołał jeszcze załatwić Syrenę. Zjawiła się za nim z rejestracją Radomia i na stromym podejździe jęła się wciskać między niego i jadący tuż przed nim autobus. Baran tkwił nieporuszenie. Już wiedział, że jeśli sam ma być siłą sprawczą wydarzeń, nie może reagować. Działania winny brać początek nie poza nim, lecz wychodzić od niego. Nie uznał wymuszenia i bagażnik Syreny trącił błotnik Fiata.

Musiał jednak stanąć, gdyż tamten zablokował drogę. Z nogą na hamulcu czekał, spokojny i cichy. To, co ostatniej nocy w nim się zapaliło, trwało, lecz zimne jak lodowata wichura. Przestało się w Baranie cokolwiek gotować, paliło się bez przerwy równym, cichym płomieniem.

Patrzył prosto przed siebie, obejmując kierownicę niemal miękkim ruchem, gdy obok poczęły się miotać nogawki pasiastej pidżamy, skurczone w obwarzanki, z żółtą plamą osadu po odparowanym moczu. Zasobem pojęć właściwym dla tej części ubioru starały się przeniknąć do świadomości Barana. Nie spojrzął i nie dawał znaku, że cokolwiek słyszy z chaotycznej przemowy o częściach ciała podlegających francuskim, polskim, rosyjskim i tureckim chorobom, o związku najstarszych zawodów z jego pochodzeniem, zaś jego samochodu z naczyniami nocnymi. Lecz na wyraźne żądanie, by rozdziawił japę i odmawiał pacierz, chętnie począł mówić:

- „Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty swój róg bawoli długi, cętkowany, kręty jak wąż boa, oburącz do ust go przycisnął, wzdął policzki jak banię, w oczach krwią zabłysnął...” - przerwał, aby ciąg dalszy podjąć pół godziny potem. Dogonił tamtego, ciasno przypiął się pasem, przy stu dwudziestu na godzinę nacisnął pedał przyspieszenia i mówiąc pod nosem:

- „Wciągnął w głąb pół brzucha i do płuc wysłał z niego cały zapas ducha...” - zaczął popychać Syrenę maską i zderzakiem. Zwalniał i uderzał, oddalał się nieco i znów trykał, po czym dociskał pedał i pchał ile się dało.

Pozwolił jej na chwilę wytchnienia. Wyprzedził i czekał za zakrętem, mając w oczach dawne już zdarzenie, gdy przed kilku laty, nie mogąc uruchomić mokrego silnika, stał na środku drogi, a za nim dwie Syreny. Mogły przejechać bokiem, ale tępy dureń wysiadł i wrzeszczał mu w ucho.

Baran, szarpiąc rozrusznik, tkwił na swym siedzeniu. „Patrzcie! - pieklił się tamten - Myśli, że ma samochód, taka puszka makreli, takie łajno mysie!” Pasażerowie wyskoczyli z Syren, zbiegli się dokoła. Zobaczył przez szyby ich kaprawe oczy. Chwycili za zderzaki, przenieśli go na trawę i odjechali rechocząc jak... Wówczas był bezradny, a teraz...

Nadjechała i gwałtownie hamując zamknęła mu drogę. W chwili gdy drzwi się otwierały, Baran puścił sprzęgło i na pełnych obrotach, mówiąc:

- „I zagrał: róg jak wichler, niewstrzymanym dechem niesie w puszcę muzykę i podwaja echem...” - skoczył, uderzeniem wyrwał drzwi z zawiasów i nie oglądając się nawet, przejechał kilometr. Tam znów zaczekał w krzakach. Syrena przemknęła wioząc drzwi na bagażniku. Dopadł ją znienacka i przycisnął bokiem, spychając na słupek. Dzięki temu, że ów się łatwo położył, tylko koło zostało urwane. Wtedy mały czerwony diabeł zawrócił ciasną pętlą piszcząc oponami i gdy pasiasta piżama uciekła przez rów w kukurydzę, on, z ostatnim:

- „Tu przerwał, lecz róg trzymał; wszystkim się zdawało, że Wojski gra wciąż jeszcze, a to echo grało...” - rąbnął w bok Syreny, rzucając ją do rowu.

O zmroku czekał na granicy w kolejce samochodów. Widział jak dwu czerwonym Fiatom kazano zjechać na bok. Podał swoje papiery. Pomyślał, że z takim wozem mógłby występować w rewiach samochodowych całej Europy.

- Nie widział pan małego czerwonego Fiata z uszkodzonym przodem? Jakiś pirat drogowy...

- Podobny do mojego? - zapytał nie wychodząc.

- No, pan też się nieźle doprawił! - zauważył celnik oglądając pogniecione blachy.

- Rewia samochodowa? - zapytał wopista, oddając Baranowi paszport - Wystąpicie u nas?

- Właśnie! - odpowiedział.

Spał gdzieś w lasku, na rozłożonym siedzeniu, bo bez reflektorów nie chciał jechać w nocy. Dobrze wyczuwał różnicę między tym „nie-chcieć” oraz dawnym „nie móc”.

We śnie dalej deklamował, rozwalił autobus i lokomotywę.

O piątej rano minął Kraków, a o siódmej Grójec. Głodu nie czuł nadal. Raz i drugi zobaczył skrzynkę z jabłkami wystawioną na szosę, przy trzeciej się zatrzymał.

Stary chłop, z twarzą jak wyschnięty ogórek, przyczłapał z głębi sadu z koszem i zaczął zachwalać, choć przed chwilą wygrał je z trawy obite, kwaśne, zżarte przez robaki i twarde jak kamień. To nie zrażało. Osiemdziesięciodwuletnie doświadczenie zebrane najpierw, gdy jako chłopak sam kradł jabłka i zżerał zielone, poprzez lata, gdy został właścicielem sadu i skarmiał sobą, krowami i babą nadmiar urodzajów, mówiło mu, że tacy panowie co nie odróżniają jarzyn od owoców, kiedy raz odjadą, zwykle już nie wracają, żeby się wykłócać.

- Panie, słodkie jak z ula i miętkie tak samo - zapewnił Barana. Wsypał do gazety o pół kilo za mało, przytrzymał palcem wagę, co z łatwością ukrywał, bo ręce mu ze starości latały. Wziął podwójną cenę, a gdy mu Baran położył na dłoni monety, wpuścił do kosza pięć złotych i upierał się, że ich nie otrzymał.

Gdy zobaczył, że Baran wyciera jabłko o koszulę i zamierza spróbować, zakręcił się na krótszej nodze i ruszył w głąb sadu. Po pierwszym wezwaniu żeby wracał, udał, że jest głuchy, czego, w gruncie rzeczy, nie musiał udawać, bo istotnie źle słyszał. Po drugim machnął ręką, że niby się spieszy. Lecz gdy zamiast trzeciego dostał jabłkiem w plecy, od razu się zatrzymał. Musiał patrzeć jak Baran, nie spiesząc się wcale, z każdym kupionym jabłkiem odgrywa tę samą pantomimę. Wybiera z gazety, w dwu palcach unosi wysoko przed sobą, ogląda z zalotnym uśmiechem, lubieżnie rozdyma chrapy, wysuwa mokry koniec języka, wciąga pożądliwie zapach, potem kurczy wargę i dwoma zębami nadgryza, jak łapczywy królik. Wówczas grymas jak po wypiciu kwasu octowego przebiega mu po twarzy i jabłko leci przez ramię. I tak osiem razy.

Przy trzecim stary zachichotał, przy piątym zaczął coś bąkać o przymrozkach w maju, chciał odejść i nie mógł, bo Baran przytrzasnęła mu kalosz kopytem. Zaś po ósmym nic już nie mógł zrobić, gdyż Baran złapał go za kołnierz kożucha i tryknął w zad kolanem.

...Miał wtedy sześć, może siedem latek. „Baranku - seplenił dziadek - chodź no tutaj, mały! Mówisz, że dziadzio śmierdzi? Chodź bliżej do dziadzia, dziadzio założy ci obrózkę, o tak i łańcuszek... Nie szarp, bo się udusisz, postoisz w piwnicy jak piesek przy haku... Nie masz co się wrywać, ani wierzgać nogami... Tak, tak, siedź tam teraz cicho, jak trusia pod klapą, bo cię zjedzą szczury. Tylko mrugnij, a wygryzą ci oczy... Nie szkodzi, że ciemno, byłeś niedobry dla dziadzia, ciągle skarżysz mamie, że dziadzio pił winko i wyciągnął pieniądze z szafy. To niedobrze kiedy dzieci nie szanują starych. Dziadzia trzeba kochać! A może wolisz na dnie studni z żabami?”

Starszy zaczął się stawiać. Zawołał na synów, których nigdy nie miał. Nic nie pomogło. Córek wołał nie wzywać, wiedząc, że by dołożyły od siebie. Baran się zapamiętał i szturchał kolanem. Stary chrypiąc jak zdyszany kogut, zaczął się powoływać na podeszłe lata. Uratował się w końcu, kiedy spuścił z tonu i obiecał poprawę.

Do Warszawy nie udało mu się od razu dojechać, choć miał szczyry zamiar. Ledwie ujechał kilometr zachciało mu się wysiąść. Lasu nie było w pobliżu, stanął przy parkanach. Odszedł nieco od szosy dróżką między płotami, aż w jednym z nich dostrzegł dziurę po wyrwanej desce. Przy niej się zatrzymał i począł zraszać szczypiorek na grządce w ogrodzie. Ktoś machnął grabiami, aż płot załomotał, lecz nie zdołał go trafić. Baran nie przerywał sobie, jedynie postąpił dwa kroki wzdłuż płotu. Wtedy trzonek grabi wysunął się z dziury i jął szturchać go w plecy.

- Nie po moim płocie!

Obejrzał się przez ramię i zobaczył jej głowę wystającą z dziury. Powstrzymał pokusę.

- Cicho, babo! - rzucił i zapiął rozporek. Chciał odejść, ale rozdarła się juz na całego:

- Ty świnió bez wstydu, swój parkan obsikuj!

- Twojego nie można? - zapytał ponuro.

- Ty ciulu! - trąbiła - Nie posiadasz parkanu! Nie masz czego ogrodzić!

- A ty masz swój parkanik... - w głosie Barana zabrzmiały bulgocące tony - siedzisz za płotem i nie wpuścisz nikogo! Ogrodziłaś sobie kawałek wschodniej Europy...

- A co ci do tego!

Podkręciwszy obroty silnika, kropnął w parkan z ukosa. Prysnęła resztką szkła z reflektora i błotnik jął trzeć o oponę, ale płot z desek przegniłych od dołu i zbutwiałych słupów, od razu się położył. Nakryłby i babę, gdyby nie uciekła na bok tratując warzywa. Jechał dalej po deskach, a te jak wachlarz kładły się mu pod kołami. Przewrócił cały, do końca parceli i nie myśląc długo zakręcił wzdłuż drugiego boku, przepruł go zwalając deski na ziemię sąsiada, znów skręcił i nie spoczął, aż wszystkie cztery leżały pokotem.

- Ty masz działkę, Baran? - ciągle ktoś go pytał - Masz daczę? To gdzie ty się podziewasz w niedziele? Kiedy coś postawisz? Masz choćby parcelę? Popatrz, wszyscy mają. Tak słabo zarabiasz? Coś ci, chłopie, nie idzie...

Byłby poprzestał na tym jednym płocie, zwłaszcza że zaczęli go ścigać, baba z grabiami i jej sąsiad z dwudziestokilowym pustakiem, gdyby w polu widzenia nie znalazło się dwoje dalszych sąsiadów. Wskoczyli na ganek nietynkowanego domu, on w kapeluszu i w gaciach, ona w oberwanej spódnicy i bezpieczni, jak im się zdawało, za nową siatką na słupkach stalowych, brali się pod boki ze śmiechu. On, kwicząc jak prosię, cisnął kapeluszem o ziemię, ona kręciła się w kółko i tupała nogami jak w tańcu Czejenów. Najwyraźniej w świecie nie pojmowali o co tu rzecz idzie. Zresztą, gdyby im nawet Baran powiedział, że ich nowa siatka, mimo włożonych w nią wyrzeczeń, nie stała się niczym więcej niż siatką drucianą, i tak by mu nie uwierzyli. Więc im to wykazał drogą doświadczenia.

Przeskoczył wąską drogę gruntową i uderzył czołowo w siatkę między dwoma słupkami, oderwał ją od nich i wjechał na środek ogrodu gniotąc pomidory. Gdy raz tam się znalazł, nie tracił czasu na skręcanie, tylko pognał do przodu i przyskając pomidorowym przecierem, zerwał siatkę także z drugiej strony. Tak znalazł się na ziemi czwartego sąsiada i pojechał już dalej, na przełaj, przebijając parkany, wywracając płoty, rwąc siatki i rozbijając sztachety. Wiele osób poraził odkryciem, że ich osłona przed wrogim kosmosem może być aż tak krucha.

Kilka stworzeń uwolnił po drodze. Kozie otworzył drogę do grzechu głównego w sałacie; gęsiom do zakazanego owocu młodych kielków szpinaku. Rozwalił psią budę, dzięki czemu Burek, wlokąc deskę na łańcuchu, mógł załatwić koguta, który urągliwie i często ponad wszelką miarę niewolił kury pod samym jego nosem.

Wskoczył na szosę i znikł w kierunku Warszawy. Zajechał pod swe stare, kawalerskie mieszkanie, pokój z wnęką kuchenną oraz wygodami. Po ślubie wyniósł się stąd do niej. Tu trzymał swoje książki, rower, sportowe przybory, rozbite radia i magnetofony, zbiór kamieni, huby i dziwne korzenie, garnitury, co po dziesięciu latach miały wrócić do mody, walizki, a na ścianach te wszystkie obrazy, obrazki, zdjęcia, mapy, dyplomy, fotosy, kalendarze, rysunki

i druki, które lubił, a które nie mogłyby wisieć w zamieszkanym na co dzień mieszkaniu.

4.

Ocknął się i nasłuchiwał brzęczenia. Upłynęła chwila nim pojął, że to ulica, nie morze. Zdziwił się, że leży na brzuchu, skoro to nie plaża. Rozkleił powieki. Nagle przypomniał sobie, podparł się łokciami i spojrzął w kąt pokoju. Kula leżała tam gdzie ją potoczył. Usnął znów głęboko.

Zbudziła go cisza. Światło latarni ulicznej padało na sufit. Warczał nocny autobus, na pustej ulicy stukały obcasy. Zrozumiał, że przespał całą dobę.

„Do pracy nie wracam!” - powiedział sobie w duchu. To postanowiło się samo, chyba jeszcze nad morzem. Pięć po pierwszej spojrzął na zegarek. Przeciągnął się, zerknął znów na kulę ze srebrną iskierką na niklowanej powłoce. Wróciły mu przed oczy zwłoki Vujkoviča. Jeszcze nie wiedział jaką spełnią rolę w jego nowym życiu. Miał tylko niezachwianą pewność, że kiedyś nadejdzie ich chwila. Z całą mocą ożyła w nim świadomość tego co się stało, lub raczej tego kim on sam stał się w miejsce dawnego Barana. Fala ciepła zrodzona w sercu objęła całe ciało. By dać widoczny upust swym uczuciom, wyprysnął z postania, zerwał szablę ze ściany, wziął zamach od ucha i na odlew, ile tylko miał siły, chlasnął w najcenniejszą rzecz, jaką dotychczas posiadał: chińską wazę z początku tej ery.

Brzęk i łoskot sypiącej się porcelany zabrzmiały w nocnej ciszy niby radosne uderzenie dzwonu. Baran nie wiedział, jakimi dźwiękami Bóg uczcił stworzenie człowieka, lecz nie było dość kosztownego hałasu, by świętować początek nowego Barana.

Osunął się na podłogę, oparty o ścianę i siedział z szeroko otwartymi oczami. O niczym nie myślał, nie planował niczego. Trwał w swym błogostanie, w poczuciu odmiany, która zmazywała bez reszty owe, całkowicie zmarnowane lata, przeżyte od chwili urodzin. Jedy- nym co mógł zachować z tego zamkniętego rozdziału, czy raczej pierwszego tomu życia, rzucając go za siebie, była przewijająca się między wierszami, nigdy nie zagubiona niteczka nadziei, więcej, pewności, przekonania, że jest coś w nim samym... Coś co właśnie odnalazł! Więc może nie były te lata całkiem zmarnowane? Może ich potrzebował, aby dojrzeć, aby się trawiło, nabierało mocy?

Zamknął drzwi wszystkimi kluczami i wybiegł na ulicę. Przebiegł Marszałkowską, zakręcił w Aleje, ruszył Nowym Światem. Zaglądał ludziom w twarze, upewniał się raz po raz, że o niczym nie wiedzą. Wiedział tylko on jeden! Wzbierało w nim, rosło. Nie mógł tego wykrzyknąć, wrzaskiem zmusić świata, by uznał jego siłę. Więc by dać jej ujście, by myśl stała się czynem, zacisnął pięść i uderzył. Cios poparł ciężarem ciała i sprawił, że kosz żelazny na śmieci, przykrępowany stalową obręczą do słupa, zerwał się i wyleciał na środek ulicy. Rozległ się zgrzyt opon i pisk hamulców, ryknęły sygnały, ludzie coś krzyczeli.

Poszedł nie odwracając głowy. Unosił przed sobą swoją pięść obnażoną ze skóry, białe kości pozbawione osłony, białe i różowe, ze strzępkami mięsa dookoła. Skądś wiedział, że nikt nie będzie go ścigał. Ucichło tam za nim. Miał też pewność, że rana nie będzie krwawiła i bez bólu zasklepi się sama. Jak uderzenie prądu odczuł czyjś dotyk na plecach.

- Cześć, stary! Aleś narozrabiał! Nie wiedziałem, że masz tyle krzepy!

Chwilę wpatrywał się z bliska w załzawione oczy, nim rozpoznał Królika, kolegę z biura.

- Zobacz! - Zbliżył pięść do jego drgającego nosa - Nie krwawi i nie będzie krwawiło!

- Kości masz zmiążdżone... - zająknął się Królik.

- Zaraz się zagoi - rzekł Baran. - Widziałeś cud kiedy? No, to teraz zobaczysz.

Wciągnął go na kawę do małego baru. Rękę schował pod blatem, spostrzegł, że mdłości wzbierają w Króliku, a potrzebował go teraz. Nigdy dotąd nie miał tak szybkich skojarzeń. Kazał wyjąć mu z teczki papier i długopis.

- Załatwisz to za mnie! - rozkazał - Nie wracam do biura. Pisz podanie: „Proszę o natychmiastowe zwolnienie...” Żle! - przerwał. - Ja o nic już nie muszę prosić. Napisz: „Zwalniam się od zaraz”.

- Co takiego się stało? - wyseplenił Królik.

- Powiedz im, Króliku, na przykład, że mam tylko rok życia, rozumiesz? Powtórz im: mam raka...

- Ale trzeba załączyć świadectwo lekarza!

- E, tam! - przerwał Baran. - Nikt nie odważy się żądać zaświadczenia od człowieka, który jest już w grobie. Ostrzeż ich, niech mnie nie nachodzą. Jestem poza prawem i mam gdzieś ich przepisy... - przerwał, gdy kelnerka przyniosła im kawę. - Nie pojdziesz, Króliku - ciągnął - bo wszystkiego się boisz. A ja to już wyplułem z siebie, cały ten brudny osad. Bo my jesteśmy jak worki odkurzaczy z osadem. Ty już z tym zostaniesz, a ja się wynicowałem i wysypałem to, co od dziecka wpadło. Te wszystkie nie-opieraj-się-łokciami-na-stole, kłaniaj-się-tej-i-tamtemu... Na co pani czeka?

- Na cukiernicę - odparła kelnerka - proszę się pospieszyć.

Baran złapał naczynie, odwrócił jednym ruchem i całą zawartość wysypał do kawy. Chlapnęła na stolik, cukier wypełnił filiżankę i utworzył kopiec podbiegający od dołu ciemnym płynem. Oddał jej i rozkazał:

- Drugą dla tego pana. Proszę się pospieszyć! Siadaj! - warknął do Królika łapiąc go za łokieć - Nie skończyłeś podania.

- Kiedy ja się spieszę - wymamrotał Królik.

- To masz, wypij moją, już jest osłodzona - wbił łyżeczkę w mokry cukier i dłonią przesunął kopiec. - Słuchaj - ciągnął - dla mnie nic już nie ma znaczenia, mogę jeździć na gapę, mogę w piżamie chodzić po ulicy, nie wzrusza mnie to, że grają wartościową sztukę, a coś powinno się koniecznie przeczytać. Dla mnie już nie istnieją namiastki, surogaty. Nie potrzebuję morfiny, nie muszę szarych komórek zapychać telewizją, kinem, ani hałasem nagrany na płyty. Ja nie udaję, że żyję i mnie się chce żyć, Króliku! A na dowód, że mogę co zechcę, popatrz! - wyciągnął pięść spod stołu i przed oczyma Królika podsunął zabliźnioną ranę. - Gdybyś wiedział co zdołałem zrobić ze swoim samochodem, wysiada Mercedes... - pochwalił się Baran i urwał. Spojrzał niewidzącym wzrokiem w przestrzeń nad głową Królika. Zagryzł wargę. „Chyba straciłem rozum! - powiedział sam sobie - na co się rozpraszam, na burzenie płotów? Na uliczne popisy? Mercedes? Tak, teraz był w stanie...”

5.

Do Rzymu dotarł za złotówki Lotem. Tam, nie opuszczając portu lotniczego, za dwieście dolarów, jeszcze sześćset zostawiając w kieszeni, załatwił natychmiastowy przelot do Nairobi, czarterową maszyną Alitalii. Był to czysty przypadek, że właśnie w tej chwili wlewkano z niej Szkota mającego tylko ćwiartkę płuca.

- Nie zdołał nas przechytryć - oświadczone Baranowi, wręczając mu bilet na miejsce tamtego - od miesiąca latał tam i siam po świecie, gdyby udało mu się umrzeć w górze, miałby zapewniony pogrzeb na koszt przewoźnika.

Z odprawą celną miał trochę kłopotów. Na pytanie gdzie są jego bagaże, odpowiedział, że nie ma ich wcale.

- Jak to? - zdziwił się celnik - Leci pan na miesiąc do Afryki w koszuli i wiezie tam w dodatku torebkę bananów?

- Co cię to obchodzi, mogę bez koszuli - odparł węzłowato i ściągnął ją z grzbietu.

Trzymali samolot, a nazwiska Barana szukali w książkach i spisach. To niczego nie dało, więc zarządzili rewizję osobistą. Rozebrał się do naga, a rewident bez najmniejszego pośpiechu rewidował banany. To znaczy, kroił je w plasterki nożem. Rozeźlił tym Barana, gdyż lot był bez wyżywienia i musiałby głodować następnych kilka godzin. Począł wyjmować kawałki spod noża i łykać. Wreszcie, gdy celnik stwierdził, że podejrzanego lepiej wysłać Murzynom niżli trzymać w Rzymie, powieźli go do samolotu i wpędzili kułakiem na schody. Ledwie zdążył krzyknąć im „Makaroniarze!”, drzwi trzasnęły i maszyna poczęła kołować. A ledwie zdążył usiąść i zapiąć pas na brzuchu, przyczepił się do niego goryl. Pod uchyloną połą jego marynarki łatwo było dostrzec wiszący na uprząży pistolet. Zresztą nie ukrywał wcale swej roli na pokładzie. Zwalił się na sąsiedni fotel przy Baranie i wycharczał mu w ucho:

- Rusz no tylko palcem, a wypłę ci do brzucha cały magazynek!

- W bucie też nie mogę? - spytał Baran, przemagając bezwład wywołany przyspieszeniem startowym.

- Ty nic nie kombinuj - ślina goryla przyskała mu na szyję - bo mnie się już cierpliwość skończyła. Siedzieć i rączki na kolanach. Pozwalam ci tylko pomarzyć. Znasz „Emmanuele”? To popatrz sobie na tę, tam, pod oknem - wskazał ruchem głowy - co tak wystawiła kolana, i pomyśl, że jak w kinie niesiesz ją do toalety, sadzasz na stoliku i tego...

„Do licha... - myślał Baran. - Takie rzeczy mi się dawniej nie zdarzały... Kto słyszał o takiej rozmowie ze znerwicowanym gorylem?”

- Zresztą - ciągnął goryl - pozwalam ci naprawdę to zrobić. Nawet się nie ruszę jak będziesz ją włócił do męskiego, a rąbnę cię z tyłu, dopiero jak ci się przyjemnie zrobi... Kogoś muszę zabić, żeby nie zwariować.

- Na mnie nie licz - sucho odparł Baran. - Mam co innego na głowie.

- Od razu cię wyczułem - goryl dotknął końca nosa paluchem. - Ja takich wyczuwam na milę, cuchnie trupem przy tobie.

- Tak mówisz? - spytał Baran - Ty jesteś najbliżej... - niewinnie zauważył i ze świeżo obudzoną uwagą przyjrzał się wpadniętym oczom goryla, podkreślonym sinymi torbami. - Wkrótce o mnie usłyszysz - powiedział - uważaj na sprawozdania z Safari.

- Mocny jesteś w pysku - z pogardą rzekł goryl. - Nie mogę spać w nocy - znów zaczął się zwierzać - ciągle mi się zdaje, że do kogoś strzelam, krew płynie, słyszę huk wystrzałów. A wszystko dlatego, że nigdy naprawdę nie załatwiłem nikogo. Jakoś się nie składa. Dopóki tego nie zrobię, będzie mi we łbie przybywać takich jak ty facetów, terrorystów, nierobów, pedałów, co próbują rozrabiać i tych emanulek w pończochach, które z każdym, na oparciu fotela...

- Najlepiej kropnąć siebie - podsunął mu Baran - wtedy ma się spokój.

- Ja o tym wiedziałem... - goryl dyszał mu w ucho.

- Ale jest w tym ryzyko - Baran zauważył. - Żebyś nie żałował, bo jeśli śmierci nie ma, to twoja świadomość nadal z tym zostanie. Nadal będziesz miał w myśli tych ważniaków pilotów, złodziei lotniczych, przemytników trawy i tych, co żrą na koszt Linii za dużo, co szczypią stewardesy...

- Co tam! - mruknął goryl - Coś na pewno się zmieni, tu już nie wytrzymam... Basta! - palnął pięścią w kolano - koniec, mamma mia! - podniósł się z nieprzytomnym wejrzeniem i ruszył chwiejnie przejściem między fotelami, do końca kadłuba. Drzwi cicho trzasnęły i niemal od razu dobiegł zza nich stłumiony huk strzału.

Baran tkwił nieporuszenie, z głową na oparciu, gdy w Kairze wnoszono ciało. Nie on to wywołał i nie on sprawił. Z pewnością i spokojem wiedział, że raz po raz będzie teraz stawał na drodze nadzwyczajnych wydarzeń. Będzie je przyciągał swoim nowym stanem, lub może tylko dostrzegał tam, gdzie miesiąc temu nie ujrzałby niczego.

Wkrótce szli znów w górę i pod skrzydło nachylone ku piaskom pustyni wpełzły Sfinks i piramidy. Stały na swych fioletowych cieniach, czerwone od pierwszych porannych promieni. Pasażerowie zbili się przy oknach głowami, nieświadomi tego, że większa, od tej tam na dole, tajemnica leci z nimi w kabinie. Ani tego, jak puste jest milczenie Sfinksa wobec milczenia Barana.

Te odwieczne budowle nie zdołały ściągnąć nawet jego spojrzenia. Nie poruszył głową, bo jedyną rzeczą wartą jakiegokolwiek działania, stało się jego wnętrze. Otworzył się na nie i odtąd, w oczywisty sposób, musiał to umacniać i nad tym pracować. Kiedy przeminęło pierwsze odurzenie, pojął, że nie jest całkowicie gotowy do wielkiej przemiany. Iż przeszłość nie znikła tak bez śladu jak mu się zdawało. Pozostawiła zadawnione, stłumione, pogrzebane przez lata, teraz pobudzone nową wrażliwością zadziory. Chcąc być nowym sobą musiał się ich pozbyć, tak jak się usuwa wbite w ciało jątrzące odłamki szklane. Pierwszą operacją miało być Safari.

Pośród pasażerów znalazł się ktoś, kto obserwował Barana. Był to siedzący za nim dziennikarz. Nachylił się do szpary między oparciami.

- Pan miał z tym coś wspólnego - szepnął do Barana. - Ja to podsłuchałem, ale nic nie zdradzę. Jestem pana rodakiem. Przyjemnie mi, Zajac.

Baran spojrzał w lewo i zobaczył ucho. Skrzywił się i ziewnął.

- Będą lepsze rzeczy - zdradził od niechcienia - tylko cierpliwości, startuję w wyścigu.

- Niemożliwe! Panie! - rozgorączkował się Zajac. - Ja też na Safari. Jestem z prasy sportowej, piszę o Szaszadzie!

- No, to jesteś hiena.

- Dlaczego? Hm... Tego... Nazywam się Zajac.

- Nazwisko czy imię? - zimno spytał Baran.

Ucho milczało przez chwilę.

- A dlaczego hiena? - bąknęło. - Co to ma z padliną... Szaszada... czytał obywatel? Najlepszy w Europie!

- Za dużo czytałem! - wpadł mu Baran w słowa. - I chce mi się rzygać od tej pisaniny o tych samonadymających się balonach, co robią tylko takie rzeczy, o których się pisze!

Ogarnęła go pasja - obserwował sam siebie - łatwo mógł ją powstrzymać, ale nie chciał tego. Niech się dalej wylewa. Sam był tym zdumiony, ile się w nim zebrało przez te wszystkie lata! Więc niech teraz płynie, niech da oczyszczenie...

- Cholerne wyżymaczki do produkcji swojej własnej sławy - żołądkował się Baran. - Wymyślają, że będą skakać lewą nogą w prawo, z obrotem przez głowę oraz z palcem w nosie! No i z tego żyją, a tobie rzucają ochłapy za to, że pisałeś. Teraz rozumiesz, Zajacu, jaki jesteś mały?

- Wie pan - odważył się Zajac - on, to jest Szaszada, możemy być dumni, on naprawdę to umie...

- Niech skoczy do Estery na tym Mercedesie! Śpiewając mazura! - parsknął Baran przez ramię. - Ale on to on - zgodził się po chwili. - Nauczył się to umie - w pasji jął przekręcać słowa, - trzymie to kółko rękami - począł udawać prowadzenie wozu, - platformami naciska pedały i jadzie, a pan redachtór Zajac wszystko opisuje. Więc mówię - powtórzył - on to on, ale ty, Zajacu? Teraz widzisz na czym ci przebiega życie? I jeszcze twierdzisz, że jesteś człowiekiem? Nie jesteś też zajacem, ani nawet hieną, najwyżej soliterem! Grzebiesz się w jego bebechach i tylko popiskujesz: „O, Szaszada ziewnął! O, Szaszada ma katar!”

- I co? - rzekł buńczucznie Zajac. - Myśli pan, że ja się dlatego zastrzelę?

- Też coś! - parsknął Baran.

Wylądował w Nairobi, w wilgotnym upale i właśnie dlatego, że był tylko w koszuli i nie wwoził ze sobą bananów, bez pytań dostał wizę i wyszedł przed dworzec lotniczy, gdy reszta pasażerów jeszcze wypełniała druk, uzasadniając swe przemożne pragnienie pobytu w tym kraju.

Z grupki taksówkarzy o jednakowych obliczach i różnym stopniu znajomości języka, wyłowił chłopaka, który zamiast wykrzykiwać jak inni nazwy drugorzędnych hoteli: „Brunners?“, „Fairview?“, „Mayfair?“ - postarał się zrozumieć o co Baran pyta. Pojechali do północnej dzielnicy, gdzie się gnieźdzą handlarze starych samochodów. Baran, zamiast patrzeć na jasne ulice, szklane kurtyny i palmowe szpalery, plecami przylepiony do czarnej ceraty, wsłuchiwał się tylko w odgłosy motoru. Rękę wbił do kieszeni i obejmował palcami niklowaną kulę.

Już na drugim z odwiedzonych placów znalazł czego szukał. Ospowaty Murzyn, o wzroście zgarbionej żyrafy, odwalił zardzewiałe błotniki i odsłonił białego, niegdyś, Mercedesa. Karoseria była w nie najgorszym stanie, choć powyżerana przy brzegach, siedzenia poprute i opony w rozkładzie. Podobno jeździł jeszcze wiosną ubiegłego roku.

- Co z silnikiem? - zapytał Baran.

- Massa! - odparł Murzyn, kładąc rękę z różowymi paznokciami na swej czarnej piersi porośniętej siwymi kłakami. - On tam jeszcze siedzi, moja otworzyć pokrywę?

- Nie o to mi chodzi... - Baran ugiął kolana i podniósł z ziemi kawałek tektury, położył go na głowie, oczy miał zmrużone do największych szparek. - Potrafisz uruchomić?

- Na jak długo, panie? - spytał smutno Murzyn i wsparł prawą stopę na lewym kolanie, przez co z żyrafy zmienił się w bociana.

Nie targował się wiele. Chciał jedynie wiedzieć, czy na pewno, po wyjeździe za bramę, cokolwiek by się tam zdarzyło, Baran nie będzie miał do niego żalu. Uzgodnili cenę. Sto dolarów za auto, czterdzieści za odnawiane opony, pięć za regenerowany akumulator, dwadzieścia za drobne części, żarówki, paski, oleje i płyny.

Ujrzawszy banknoty, Murzyn pobiegł za barak i kopniakiem spędził z płóciennego łóżka swojego współnika. Na jego miejscu położył się Baran. Leżał dwie, albo trzy godziny w rozpalonym cieniu z tekturą na twarzy. Z rzadka, przez dziurę, spoglądał na drzewo, z którego zwisały wiązki zielonej kiełbasy.

„Pan się nie nadaje” - nadśluchiwał Baran brzmiącego mu w głowie głosu z zamierzchłej przeszłości. Teraz go odświeżył.

Pod przymknięte powieki powrócił obraz tej zwirowej drogi, skoszonych krzaków i szczepionych blachami samochodów. Nozdrza łączyły zapach przypalanej gumy i zwęglonego lakieru. „Pan się nie nadaje - mówił trener klubowy - nigdy pan nie będzie kierowcą rajdowym - z uśmiezkiem kręcił głową, nogę opierał na zgniecionym błotniku. - Nic z pana nie będzie! - powtarzał ze swym tępym uporem. - Chcąc wygrać trzeba iść na całego, trzeba wyciskać wszystko z siebie i z maszyny, a w panu jest jakiś opór, blokada... - nutka zadowolenia brzmiała w głosie trenera. - Powiedzmy otwarcie: pan po prostu się boi...” Słuchał go jak uczeń, stał jak wmurowany, nie mogąc się przemóc, aby podnieść głowę, aby coś powiedzieć...

Ocknął się z tych wspomnień, gdy usłyszał rżenie startera, pierwsze kichnięcie rury, a po jakimś czasie, potykający się warkot silnika Mercedesa. Wtedy zeskoczył z postania. Usiadł w samochodzie na sprężynach wybebeszonych spod bawolej skóry. Zapłacił handlarzowi, a ten, porwawszy banknoty, wsiadł bez śladu między swoje wraki.

Baran półleżąc odchylił w tył głowę i patrzył w sznur coraz mniejszych obłoczków na niebie. Sunęły, jakby były odbiciem stadka słońi kroczącego w sawannie, gdzieś nisko pod nimi. Jedną dłońią obejmował kulę trzymaną w kieszeni, palcami drugiej otulił gałkę dźwigni biegów, jak gdyby pragnął swym ciałem stworzyć pomost między wydarzeniem w morzu a

tym zardzewiałym wrakiem. Pomost, może przewód, kanał przesyłowy... Tak pełen był siły, że nie wątpił przez chwilę, iż swym wpływem sięga do poziomu cząstek i atomów wozu, że narzuca ich wzajemnym układom własną doskonałość i wymusza na nich taki sam model istnienia.

Po piętnastu minutach złowił pierwszą zmianę tonu w odgłosach silnika. Wyrównały się obroty, warkot się uciszał, ustawało drzenie. Po dalszych dziesięciu minutach słyszał tylko, dobrze mu już znany, szmer jakby elektrycznego silnika.

Wrzucił bieg i wyjechał przez wertepy porośnięte trawą, tak gładko i bez wyczuwalnych oporów, jak na autostradzie. Gdy znalazł się przy bramie, handlarz, poznavszy, że sam się oszukał, wystawił łeb spod piramidy opon i wymachując banknotem począł żądać dopłaty. Baran w odpowiedzi wsadził sobie dwa palce do nosa i tak rozepchany pokazał Murzynowi. Wyjechał na drogę Grogena, jak głosiła tablica i ruszył ku centrum Nairobi. Mocno wygłodniały stanął przy targu owoców. Kupił granat, banany, pomarańcze i połówkę melona.

Wsiadł do samochodu i zabrał się do łapczywego jedzenia, rozrywał łupiny palcami, pestki wypluwał za okno. Naraz podniósł oczy i zobaczył siedzącą u wejścia na bazar Murzynkę bez nogi. Przykuł go jej widok. Na dziurawym kocu, rzuconym na zdeptaną ziemię, położyła dwie drewniane kule wystrugane kozikiem. Gołe niemowlę pełzało między kulami. Była młoda i usta miała pełne i mokre jak granat, w który wgryzał się Baran. Nie było w niej nic żebraczego, nie zwracała uwagi na brzękające miedziaki rzucane jej między kolana. Przez rozdarcia perkalowych łachmanów widział nagie ciało. Podniósł do ust połówkę melona, zagłębił się w nim twarzą, odrywał kęsy i łykał, sok mu ściekał po brzuchu, nos zanurzony w miększym pełen był mdlącego zapachu.

Ona odczuła jego wzrok na sobie, spojrzała spod zmrużonych powiek, poruszyła biodrami. Potem, od niechcenia, podniosła z koca zżutą skórę banana, przycięła białymi zębami i zmiętą, zwisającą, trzymała tak przez chwilę.

Nie mógł już przełykać, wypuścił melona, dłońmi tarł o kolana. Patrzył, jak skrętem tułowia sprawiła, iż spod łachów wypełzały obie jej piersi ostro zakończone i zakolysały się, pełne i kawowe. Już nie dostrzegała Barana. Podniosła dziecko na obnażonym ramieniu i ujawszy sam czubek piersi dwoma długimi palcami, jeła nim pocierać o usta chłopczyka.

Odjechał zgrzytnąwszy oponami, skręcił niemal w miejscu wozem, wyrzucając w jej stronę pióropusze żwiru. Niedojedzony melon stoczył się z plaśnięciem z fotela. Jeszcze miał ją w oczach wieczorem, gdy po raz pierwszy spotykał się z Zuckmayerem. Podpłacony portier złowił Niemca w hallu hotelowym i przyprowadził pod palmę do fotela Barana.

- Pan chciał ze mną mówić? - spytał kierownik ekipy Mercedesa.

- Co chciałem, to chciałem! - odpowiedział Baran. - Czas przeszły dla mnie nie istnieje. Teraz chcę czegoś innego... - nie ruszył się nawet z fotela. Zresztą nie dlatego, żeby postanowił, lecz, że mu to wcale nie przyszło do głowy. Tak był skupiony na tym co powinien powiedzieć i tak miał pełne oczy też żebraczki z bazaru, że niewiele widział, oprócz czerwonego nosa, spęczniałej truskawki w twarzy Zuckmayera. Być może dlatego, Zuckmayer przysiadł obok i wysłuchał. Musiało go zaciekawić to, jakby roztargnienie Polaka, jego nieobecność myślowa, sposób w jaki rzucał zdania, jakby z góry odejmując im wszelkie znaczenie, bo wyraził zgodę. Musiał dwa razy powtarzać, nim coś dotarło do rozgorączkowanej świadomości Barana... Miała dziecko, a to było dowodem, że chociaż z kikutem, w łachmanach, skoro urodziła, musiała się z kimś parzyć, oddawać się jakiemuś Czarnemu, w barłogu, na zgniłych łupinach. Może wszyscy ją mieli, handlarze z bazaru, ze swymi kramami, na pudłach i starych gazetach, pod ładami, na wiązkach bananów, kto tylko zawołał...

Już o szóstej rano musiał wystartować z pięcioma wozami fabrycznej ekipy na ostatni trening przed wyścigiem. Swoim gruchotem przejechał po gruntowych drogach sześćset kilometrów w ciągu czterech godzin. Starał się pozostawać w polu widzenia Zuckmayera, latającego śmigłowca nad trasą. Dojechał, jedyny bez żadnego defektu i bez tankowania ben-

zyny.

Tego też wieczoru odbyła się druga rozmowa. Zuckmayer sam przyszedł do pokoju Barana, wprost od dalekopisu, z pełnomocnictwem na zawarcie umowy. Baran leżał w wannie i ręce chował pod wodą, próbując opanować ich drżenie. Ciągłe miał uczucie, że trzyma kierownicę. Zanurzył się w pianie po szyję, by schować pręgę sinoczerwonej skóry, biegnącą mu przez piersi skosem, niby szarfa orderu. To był ślad pasa bezpieczeństwa, naprędcie związanego w starym samochodzie z kilku grubych rzemieni. Zapamiętał trzy razy kiedy na nim wisiał. Raz uderzając w baobab, drugi - w skarpę potoku, trzeci - w krowę watussi, za każdym razem pewny, że wprawdzie samochód wytrzyma, lecz on sam roztrzaska się w tym wściekłym bolidzie.

- Wiem - powiedział Zuckmayer - stając w drzwiach łazienki - że coś za tym się kryje. Jestem inżynierem, a najbardziej Niemcem i nie wierzę w cuda. Jeśli nam pan zdradzi, co zrobił z maszyną, dostanie pan czek na dziesięć tysięcy marek.

- Też coś...-mruknął Baran.-Zafatwi mi pan udział w wyścigu! A za przejechanie trasy...

- To absurd! - przerwał Zuckmayer, przysunął sobie krzesło z pokoju i szykując się do dłuższej rozmowy, usiadł, oparty o spodnie Barana rzucone na poręcz.

- W to nie można uwierzyć - zgodził się z nim Baran. - Nawet po tym, co pan dzisiaj zobaczył. Ale wy, z wielkiego przemysłu, macie wiarę w pieniądź. Za pieniądze wszystko jest możliwe. Wszystko co zwiększa kapitał staje się zrozumiałe, dobre, bliskie, kochane i czułe. Czy z tym się pan zgadza?

- Ttak... - odparł Zuckmayer.

- W moim starcie nie ma dla was żadnego ryzyka czy się próba powiedzie, czy tylko częściowo, czy wcale, czy wreszcie nakryje mnie na jakimś oszustwie komisja sportowa - wszystko na mój rachunek, a dla was, w każdym przypadku, tylko rozgłos Mercedesa. Więc zawrzemy umowę. Po przejeździe trasy wóz należy do was z prawami reklamy. Ja dostaję sto tysięcy marek płatne podróżnymi czekami East African Bank of Nairobi.

Trzy dni potem, Zuckmayer przyniósł Baranowi, leżącemu w hamaku na werandzie hotelu Chakala, kartę uczestnictwa poza konkursem w wyścigu.

- Inaczej nie było możliwe - wyjaśnił. - Nawet przy poparciu naszej ambasady. Wóz nie spełnia technicznych wymagań, terminy zgłoszeń przekroczone, pan nie ma karty rajdowej...

- Mnie to zadowala - zauważył Baran.

Na konferencję prasową poszedł w nowej koszuli. Ręce już mu nie drżały i mógł je trzymać przed sobą, nie wywołując znaczących uśmiechów. W hallu u Hiltona, wśród szemrzącej po kamykach wody, duszącego zapachu liści półbutwiałych i między pnączami, dopadł go Zając i złapał za łokieć:

- Chcę się panu zwierzyć...

- Że zające tupią się czyli mają ruję w zimie? - spytał chłodno Baran.

- Podśledzałem pana rozmowę z gorylem - jazgotał w podnieceniu Zając, nie bacząc na kpiącą uwagę Barana - wiem, że pan się zna na tym!

- Na czym, do cholery? - Baran tracił cierpliwość.

- Na snach i w ogóle na tym co człowiekowi płacze się po głowie...

- Tylko spokój! - rzekł Baran - O co znowu chodzi?

- Miałem sen proroczy, niech pan tylko posłucha! - zaciągnął Barana do liściastej wnęki, słodko pachnącej padliną czy też storczykami. - Znalazłem się z kimś drugim na dachu Sukiennic. W oszklonej przybudówce malarze pokojowi machali pędzlami po ścianach. Spłynęliśmy tam obaj przez mury i dachy. Miałem bose stopy i czułem jak przylepiają się do nich długowate odpryski farby pokrywającej podłogę. Malowali palmy, jaskrawo białe w słońcu i ich czarne cienie. I palmy, i cienie chwiały się w powiewie. Pomyślałem, że chciałbym mieć takie w mieszkaniu i żał mi się zrobiło, że to niemożliwe...Tak więc zdałem sobie sprawę, że to sen nie jawa! Mój towarzysz wstąpił na szerokie schody, rozpoznałem w nim wtedy zna-

jomka, Lknowskiego, tylko on mnie dostrzegł, malarze nie wiedzieli o niczym. „Znajdź mi trzydziestodzieciocentymetrowy patyk!” - poprosił, bo zwykle stara się coś komuś polecić. Spojrzałem na zebrane w stos śmieci, papiery i szmaty. Aż się to wewnątrz kłębiło od kocących się kotów. Dwa małe kotki zjechały ze stosu w półbucie...

- Co mnie to obchodzi! - wyrwał mu się Baran.

- Niech mi pan pomoże! W tym kryje się jakaś przestroga, wiem, że coś się stanie, nie mogę pracować... Niech pan powie jaka... Przestał mnie obchodzić Szaszada i całe Safari, wyrzuca mnie z pracy...

- Powiem ci, Zającu, jak przyśnię ci się w nocy - odpowiedział Baran pchnawszy go w listowie. Odchodząc słyszał płaczliwe:

- Już jestem stracony... niechże mi pan powie, ja wiem, że pan może... Kim pan jest w ogóle?

Czuł jak z każdą chwilą oddziela się od ludzi nieprzejrzywą ścianą. Cóż go obchodzili! Wystarczy sam sobie. Miał siłę i nie potrzebował nikogo. Mógł się nimi bawić, mógł ich programować, zmuszać do uległości albo obserwować ich śmieszne zachowanie i żalosne ruchy, tak jakby patrzył na muchy pod lupą.

Dwustu dziennikarzy kichało w zbyt chłodzonej sali. Odkichiwało im z podwyższenia trzydziestu zawodników i tyluż działaczy Zaś gdy na koszt Hiltona służba wniosła talerzyki z plasterkami ananasa, kichanie mieszało się z brzękiem widelczyków i siorbaniem owoców. Rozluźnianie się nastroju postępowało jak zakaźna choroba. Wkrótce ten i ów, nie mając chusteczki zbędnej, jak sądził, w tropiku - wysiakał nos palcami. Tu i tam wyplute łykowane kęski południowego owocu trafiały na dywan. Puste talerzyki upychano w donicach fikusów, a widelczyki herbowe znikwały w portfelach jako corpus delicti pobytu u Hiltona w Nairobi. Wkrótce ogólna swoboda tak przybrała na sile, że wyskok Barana przyjęto radośnie, jako pozostający z nią w najlepszej zgodzie.

Ktoś w ciemnym garniturze, ciamkając w mikrofon, otworzył konferencję. Padło pierwsze pytanie, zwrócone do faworyta wyścigu, zeszłorocznego zwycięzcy, Kimimaminnena:

- Podobno jeździł pan wcześniej niż nauczył się chodzić?

Fin wciągnął powietrze, przez co się nadmuchał. Wyprostował tułów, uniósł piętę nad ziemią, jakby chcąc pokazać, że umie i latać i tak wywyższony powiódł w koło wzrokiem. Zrzędzeniem losu spotkał się ze wzrokiem Barana i musiał z niego wyczytać jakiś znak niepoddania, gdyż zatrzymał spojrzenie i przejrzyście, jak u morskiej ryby, uciskał ofiarę. Ciągłe jeszcze wdychał i pęczniał jak gdyby w pragnieniu wyssania z sali całego powietrza i wyziewów prasy. Gdy się to przeciągało, Baran, skuty z nimi oczami, chlapanął za niego odpowiedź w uciszoną salę:

- Owszem, na nocniku!

Kimimaminnen nie mógł już odwrócić oczu, tak po prostu, sam z siebie. Z wolna podsiąkał czerwienią i czekał, aż coś się odmieni. Zabrzmiały chichoty, gruchnęły salwy śmiechu, ryki, jęki, beczenie, i przybierały na sile. Reporter Reutera rzeził półprzytomny ze śmiechu. Joliot z Paris Matchu postawiwszy w słup oczy, bezgłośnie chwycił powietrze jak ryba. Pierwszy się opanował Zwischenruf ze Sterna i wyseplenił niezdolny do zwyczajnej mowy:

- Pan, panie Kimimaminnen, podobno masz maskotkę, dzięki której wygrywasz... Może nam pan powiesz, co to jest takiego?

Ledwo to wykrztusił już sam spurpurowiał, i jak cała sala, zamiast na pytanego, patrząc na Barana, jał tupać nogami. Już tamtej, pierwszej odpowiedzi było całkiem dosyć, by skierować uwagę obecnych w określoną stronę. Nikomu nie zaświtał w głowie żaden piesek pluszowy. Przełykali ślinę w nagłym zrozumieniu, zerkali po sobie ciekawi, czy inni też już wiedzą, choć każdy co innego, a może to samo? A kto do końca domyślał swą ideę maskotki, Kimimaminnena, jak się to buja w oknie samochodu, uderza o szybę i dynda na boki, tracił władz? nad ciałem. Beczał, tłukł głową o fikus lub trzepał rękami o boki, niby zarzynany

kogut.

- Son of the bitch, tylko wyjdź przed hotel! - syknął Kimimaminnen, kiedy zrozumienie tego co się stało, dotarło do niego.

- Chętnie! - odparł Baran i rzucił się biegiem. W głębi duszy z rozbawieniem obserwował sam siebie. Dawny Baran był zbyt zasadniczy, by się tak zachować. Pękły sztywne zasady, mógł się bawić jak uczeń...

Zyskał dwa metry przewagi. W hallu skoczył przez donicę, zrywając sznurki z bluszczem, wpadł w drzwi obrotowe i zdążył przycisnąć nimi Fina. Trzymał go tak chwilę, jak gdyby w zamiarze wyduszenia powietrza, jakie Kimimaminnen wetchnął był na sali.

Do końca nie zdołał, bo nadbiegli ludzie. Wróciwszy do hotelu rzucił się na łóżko i zasnął jak kłoda.

Szaszadę raz zobaczył, ktoś ich sobie przedstawił. Jeden nie był zbyt ciekawy drugiego. Bąknęli kilka półsłówek. Szaszada nie mógł uważać go za przeciwnika, ale nie dał nic poznać po sobie. Zdobył się nawet na coś w rodzaju uśmiechu. Spytał, w jakich ten barwach startuje. Podobnie jak ci inni, najlepsi, był chłodny i twardy jak kamień, zajęty swoją sprawą, skupiony i tak do wewnątrz zwrócony, iż jego bliskość była dostatecznie daleka, by nie zaczepiać Barana.

- Kenijskich - odparł Baran. - Nie chcę mieć w kraju kłopotów. Niechby te komitety, związki i ciała typujące usłyszały, że jakiś tam Polaczyna bez ich zgody podaje się za Polaka, dobrze by mi dały!

- No, to cześć - rzekł Szaszada, może zbyt ostrożny, by wdawać się w takie debaty z nieznanym facetem, może mając go dosyć.

Na pierwszym etapie niewiele mógł zdziałać. Ze swym ostatnim numerem startowym ruszył na końcu stawki. A i to jeszcze dobrze opóźniony. Jego pilot, Moburi, weteran sześciu rajdów Safari, wyszukany mu przez Zuckmayera, dostawszy zaliczkę pół godziny przed startem, gdy jak się zdawało, nic nie zdoła już wyciąć, jednak gdzieś się zawieruszył i wrócił pijany jak bela. Jego czerń była fioletowa, jakby został biskupem. Na sobie przydzwigał morską kamizelę grubo nadmuchaną, której nie pozwolił zerwać Baranowi. Dłuższą chwilę trwało wciskanie go w fotel oraz dociąganie pasów. Właśnie wtedy, gdy ostatnia maszyna przed nimi już podkręcała obroty i opadła chorągiewka startera.

Zresztą nie miało to większego znaczenia, bo gdy ruszył pięć kilometrów za nią i łatwo ją dogonił, nie mógł nikogo wyprzedzić. Kurz tryskał spod opon i przesłaniał nawet zderzaki, w które wpatrywał się Baran. W dodatku, kanały i rowy nie pozwalały nigdzie zjechać na bok.

Pozakręcał okna i w pyle, sypiącym się, mimo to, po twarzy, gnał na pół ślepo, za majaczącymi czerwonymi światłami swoich poprzedników. Wstrząsy samochodu sprawiały, że głowa Moburiego biegła jak pęcherz na szpagacie i Baran począł się obawiać, by jej pilot nie zgubił. Władował mu kilka kułaków i zdołał obudzić. Murzyn ochryplym, choć całkiem już przytomnym głosem, stuknąwszy palcem w szybkościomierz, spytał:

- Co to pokazuje?

- A co? - odparł Baran - Sto dziesięć.

- No, to ja wysiadam - oznajmił Moburi - zasuważ sam dalej. Nie mam zwyczaju jeździć karawanem - począł się gramolić i sięgać do pasa.

Baran dodał gazu. Zrozumiał jak z braku doświadczenia dał się wywieść w pole. Najlepsi kierowcy byli już daleko, a on włókł się za najsłabszymi wozami, które w najgęstszym kurzu, w ogonie wyścigu, utworzyły korek. Wściekły sam na siebie z miejsca wcisnął pedał, a mając jak nikt inny przyspieszenie, jął się pchać do przodu. Teraz już bez zastanowienia włożył maską między samochody, przycierał bokami i jak zjawa w chmurze zaraz zniknął im z oczu. Moburi, widząc, uznał, że szybkość już go zadowala, bo wsadził nos w kamizelkę i zamarł w tej pozycji. Czasem podrygiwał, coś w nim bulgotało.

Wozów ubywało, jechały w coraz większych odstępach. Szybkość też wzrastała. Brał jednego za drugim, mając sto osiemdziesiąt na liczniku. Ścinał brunatne krzaki i kopce termi-tów. Przekraczał dwieście, gdzie tylko się dało. Po kilku godzinach stanął w punkcie kontroli, w osadzie domków z popękanej gliny. Lepił się od brudu, błoto kurzu z potem spływało mu po ciele. Zrobił kilka przysiadów, żeby pokazać ile jeszcze może, wypił trzy butelki coli i dostał wiadomość, że jedzie w połowie stawki, ze stratą godziny do czołówki wyścigu.

Ruszając, spostrzegł, że Moburi obwisa jak przekłuty balon. Z kąta ust ciekła mu ślina. Potrzęsnał nim i zauważył, że morska kamizela, przedtem tak nabita, zupełnie sflaczała. Naci-snął i prosto w nos siknął mu alkohol. Znalazł rurkę w kołnierzu.

- Niech cię! - wyraził uznanie i chociaż przez chwilę miał ochotę porzucić Moburiego w buszu, teraz postanowił wieźć dalej, jak kogoś bliskiego. Odkrył w nim towarzysza walki, co jak on powstał przeciw temu światu. Każdy z nich walczył bronią ukutą na miarę własnego geniuszu.

Wyjechał za osadę i nie dbając o wyprzedzające go wozy, posadził Moburiego wśród słoniowej trawy. Murzyn się obudził i z zamkniętymi oczami zaczął szukać swej rurki w koł-nierzu. Tym razem Baran wiedział co się za tym kryje i rzekł mu, niemal czułym tonem:

- Odstaw się od tego. Jak będę niańczył pijaków, nigdy nie dojadę.

- Jak mi się spodoba, mahali pazuri! - wybełkotał Murzyn, po czym wytłumaczył - Byłem najlepszym kierowcą tego kraju, lecz kiedy przestałem zwyciężać w Safari, stałem się dla swoich kosawa Moburi, przegranym Moburi. Nie mogłem się z tym zgodzić. Więc zasię-gnąłem rady czarownika. Podał mi pewny sposób: trzeba zmienić siebie i tak się zachować, jak żadnym sposobem i w żadnym przypadku nie mógłby się zachować twój wizerunek w wyo-brażni drugih. Wtedy następuje dondoa, zerwanie. Twój obraz żyjąc w myślach ludzi wię-dnie i umiera a pojawia się nowy.

- I dlatego pijesz?

- Zgadłeś. Dawniej słytałem z niechęci do wody. Nawet kropli szampana po wygraniu zawodów. Odprawiono czary i polecono mi dokonać dondoa. Jąłem się zalewać i teraz, w umysłach narodu, jestem Moburim-pijakiem, znów ciepłym i żywym a nie wyleniałą skórka po kierowcy rajdowym.

W czterdziestej godzinie, u wjazdu na sawannę Woyamdero, znaleźli się na czele, ma-jąc tylko jeden wóz przed sobą. Po płaskim terenie Baran szedł jak burza, rozpędem skacząc przez suche łożyska strumieni i stada pantarek w cieniu pod skarpami. Wówczas dojrzał Fina. Zrównał się z nimi i próbował wyprzedzić, lecz ten dodał gazu. Również poznał Barana. Czu-jąc, że traci pole, zaczął spychać go w krzaki. A wreszcie, pragnąc zdobyć przewagę jakim-kolwiek sposobem, gdy Baran na jakimś wyboju został kilka metrów za nim, wystawił rękę przez okno i z puszeki chlapnął mu na szybę olejem.

Na innego kierowcę, a zwłaszcza samochód, może byłoby dosyć, lecz Baran, nie bacząc na to, że niewiele widzi, nim puścił w ruch wycieraczkę, dodał tylko gazu i wyskoczył przed Fina. Kurz oblepił natychmiast zatłuszczoną szybę, lecz i Kimimaminnen znalazł się w stru-dze kurzawy. Baran widział w lusterkach jego reflektory, jarzące się w tumanie, jak blade, za-chodzące za chmurę księżycy.

Po pierwszym spotkaniu w hotelu nie miał już zamiaru wdawać się w rozgrywki z Fi-nem. Zostawił go w spokoju. Chciał zwyciężyć w wyścigu i zabłysnąć przed światem. Wynu-rzyć się z mroku wszystkich tych lat szarych, kiedy po ulicach obnosił swą małość. Lecz w tym właśnie Fin stawał mu na drodze. Więc chcąc nie chcąc musiał jechać przeciw niemu.

Moburi uprzedził o rozdzielaniu się szlaku. Gdy wycieraczki starły tłuste błoto z szyby, ukazały się w dali dwie gałęzie drogi, stopniowo odchodzące od siebie. Powziąwszy decyzję w jednym okamgnieniu, Baran wyrznął zderzakiem w drogowskaz i wysłał go w niebo, nie-postrzeżenie dla Fina oślepionego jak w burzy piaskowej, po czym zjechał z trasy w niewła-ściwą odnogę i pociągnął przeciwnika z sobą.

Nic nie widząc, Kimimaminnen i jego pilot jechali z tak silnym pragnieniem dopadnięcia Barana, z tak mocną nadzieją, że ten złapie gumę lub przekoziółkuje, iż nie zwrócili uwagi na wskazania busoli. W końcu, zamiast na północ, pędzili ku wschodowi. Byliby może spostrzegli swą pomyłkę, gdyby nie przebiegłość Moburi. Poradził Baranowi zwolnić i wypuścić ich na prowadzenie. Kimimaminnen wziął się na ten haczyk i przekonany, że własną sztuką wywalcza przewagę, jechał dalej, na nic już nie bacząc, z tą mściwą uciechą, że teraz on sypie kurzem w oczy sukinsyna.

Baran z wolna zostawał, na tyle daleko, by pył zwiewany powiewem przestał mu dokuczać, jednak wciąż dbając o kontakt wzrokowy. Po blisko dwu godzinach Fin ujrzał przed sobą przeszkodę i zaczął hamować. Za późno to zrobił, wpadł na piasku w poślizg i grzmotnął o szlaban. Pękł suchy pień palmowy, a z blaszanej budki wyrzeli strażnicy. Dowiedział się od nich, że dotarł do Bardera, na granicy Somali, dwieście pięćdziesiąt kilometrów na wschód od trasy Safari, ze stratą najmniej czterech godzin i już praktycznie bez szansy wygrania wyścigu.

Daleko za nim, na płowej równinie, biały Mercedes już sunął z powrotem, a jego odbicie w gorącym powietrzu leżącym nad ziemią, było wysokie jak wieża, jak chuda śmierć, widmo w białym całunie lecące nad pustynią. Gdyby się przejął tym zwidem, przeżegnał i splunął przez ramię, lub trzy razy obrócił, może uniknąłby tego, co Baran mu jeszcze gotował.

Baran i Moburi dotarli nad jezioro Rudolfa, gdy wszystkie załogi dawno już tam były. Godzinę po nich zjawił się Kimimaminnen. Twarz miał tak ściągniętą rozpamiętywaniem tego co się stało, iż był podobny do chorego szczura. Odżył nieco, kiedy się dowiedział, że nie przekroczył limitu spóźnienia i utrzymał się jeszcze w wyścigu.

Po raz drugi przerobili Kimimaminnena na rzeczce Ariala, powtarzając swój wypróbowany manewr. Właśnie powtarzając. Wprawdzie nie było potrzeby, bo Fin począł unikać ich niby zarazy, lecz wydarzenia wymknęły się spod kontroli Barana. Znużony monotonią jazdy, działał podświadomie, a podświadomość jak potem zrozumiał, poddała się potędze wzoru.

Minawszy po lewej Mt. Elgon z ośnieżonym szczytem, jechali na południe Wielką Ryftową Doliną przez liczne strumienie. Łało na domiar złego i na błotnistej powłoce wóz raz po raz kosił poślizgami. Z setką na liczniku wypadli ze szlaku prosto w gęste krzaki. Kiedy je przebili, Moburi przysięgał, że przejechali pod brzuchem słoniowi. Wpadali w potoki i odkładając falę jak ścigacz bojowy, gnali przed sobą stada zmokniętych bawołów.

Moburi oswoił się z wyczynami Barana, bardziej niepokoiły go właściwości wozu. Przyspieszenia jakich nie zaznał w swym życiu nalewały mu ciało ołowiem. Nie śmiał wprost zapytać, niepewny czy przypadkiem zmysły tak go nie zawodzą, gdy wskazówka dochodziła już do końca skali, a kraj za oknem śmigał z szybkością trzystu na godzinę.

A więc, zbliżając się do rzeczki Ariala, wyprzedzili Fina i wówczas, reszta dokonała się jak gdyby sama, utartym już torem. Przed brodem, znanym Moburiemu, czując Fina za sobą, zamiast skręcić wzdłuż brzegu i zjechać ukośnie w łożysko potoku, skoczyli na wprost by go zwabić za sobą. Z dwumetrowej skarpy spadli brzuchem w wodę. Na kilka sekund znikli z oczu Kimimaminnena pod osłoną brzegu. Ujrzał tylko rozpryski strzelające w niebo, lecz to było zwykłą rzeczą na przeprawach. Nie zobaczył za to, że na krótką chwilę Mercedes całkiem znikł pod wodą. Znalazłszy oparcie dla kół w kamienistym korycie, wjechał i ukazał się Finowi na wyższym, przeciwległym brzegu.

I w przypadku Fina zadziałało prawo powtórzenia. Choć przyrzekł sobie strzec się jak ognia Barana, ogarnięty bezwładem, poszedł za nim jak w ogień. Zaś gdy skarpa urwała mu się pod kołami, choć dobrze znał właściwą przeprawę, nic już nie mógł zdziałać. Skoczył, plasnął w wodę, zatonął do dachu. Silnik zgasł zalany. Woda wypełniająca kabinę sięgała do szyi. Siedzieli, on i pilot, jak sparaliżowani. I byliby tak zostali nie wiadomo jak długo, gdyby nie pomoc Barana. Ten, z największym pośpiechem rozciągnął linkę holowniczą, wszedł po piersi w wodę, dał nurka i zaczepił hakiem zderzak Kimimaminnena. W ciągu kilku minut

miał go już na brzegu. Drzwi się otworzyły i Fin wypadł z falą mętnej wody.

- Wymyło cię jak ze spluczki w klozecie - z udaną wesołością zauważył Baran. Poczuł, że sam wyścig już go mało obchodzi. Ten Fin go przyciągał z potęgą magnesu, to go zresztą bawiło. Zamiast ruszyć dalej, stał z rękami w kieszeni, chłodno śledząc Finą postarzałego o lata, klęczącego z rękami na trawie i mamroczącego pod nosem.

- Son of a bitch... - wciąż się powtarzało. Musiał zwątpić czy w ogóle dojedzie do mety, bo nie ruszył się, nawet gdy jego pilot podniósł maskę i zaczął osuszać aparat zapłonowy.

Inne wozy ryczały w pobliżu pokonując właściwą przeprawę, wrzeszczeli Murzyni zgromadzeni przy brodzie, podstawiając plecy pod prysznice, jakby mała im było deszczu lejącego się z góry. Oprzytomniawszy, Kimimaminnen wychrypiał:

- Ile?

- Co „ile”? - spytał Baran.

- Za ile dasz mi spokój?

- To jest niemożliwe - rozłożył dłonie Baran - do końca przerobię cię na makulaturę - rzekł z ubolewaniem.

Fin naprężył mięśnie jakby chciał skoczyć na nogi, lecz oklapł z powrotem.

- Wygrałem kiedyś z tobą? - podniósł na Barana swoje blade oczy. Gdyby we właściwym czasie porównał swoje niskie czoło z poziomymi bruzdami, z pionową bruzdą między oczami Barana, dawno by już wiedział, kto z nich dwóch musi być górą.

- Też coś! - parsknął Baran.

- Więc za co się na mnie uwziąłeś, za co, ja się pytam?

- Za to - dostał odpowiedź - że nie stwarzasz faktów, ale same pozory.

Fin spojrzał w osłupieniu, otworzył usta i zamknął jak ryba.

- Ten, kto zbudował tam kładkę - wskazał palcem Baran - zmienił rzeczywistość, a ty jej nie zmieniasz. Robisz tyle krzyku wokół swojego jechania, co w żydowskim chederze, a śladu tego nie ma w materialnym świecie. Stwarzasz tylko pianę, informację o niczym. Bo czym jest ściganie się na hulajnogach kilkudziesięciu podstarzałych grzybów? I co po was zostaje? Trochę decybeli i dym w atmosferze!

- Ludzie za to płacą... - bąknęła ofiara.

- Ale ja nie będę! - odkrzyknął jej Baran wsiadając do wozu. Odjechał z Moburim zostawiając tamtego w ulewie. Jeśli sądził, że już ostatecznie zdołał go pokonać, to bardzo się mylił.

Przekonał się o tym już po kilku godzinach, usłyszawszy wybuch. Wyskoczył z namiotu i zobaczył płomień bijące spod swego samochodu. Stało się to na nocnym postoju, gdy wreszcie mógł się na chwilę położyć. Ledwo zamknął oczy i usłyszał cykady, rozległ się huk na całą okolicę. Kierowcy wyskakiwali z ustawionych w półkole namiotów i gnali do maszyn, otoczonych siatką na palikach. Gdy zgasły płomień, spod auta Barana rozchodziły się czarne smugi przypalonej trawy. Znaleźli puszkę po benzynie i kawałek lontu. Mercedes był nieuszkodzony. Jakim cudem się nie zapalił, nikt się tam nie głowił, szczęśliwy, że to nie pod jego wozem. Moburi też nie odgadł niczego. Tylko Baran wiedział, uchylił drzwi, wsadził do wnętrza głowę i wyjął z korytka niklowaną kulę.

Zakończył tę sprawę na przedmieściach Nairobi, tuż przed metą całego wyścigu. Kimimaminnen, pół żywy, niemal wszystko dał z siebie, żeby wygrać przynajmniej ten ostatni odcinek. Zdecydowany dojechać albo zginąć na trasie, nogi nie zdejmował z pedału.

I niemal dojechał, zyskawszy swą szaleńczą odwagą pół godziny nad resztą zawodników. Nie zdołał tylko zgubić Barana. Ten trzymał się z tyłu, tak długo, dopóki nie dostrzegł sposobności dla siebie. Stało się to, gdy w dali wyrosły nad horyzont, niby blade szparagi, gmachy tkwiące w powietrzu rozedrganym od żaru. Coraz więcej ludzi zjawiało się przy trasie, jechali na rowerach, kręcąc wolno, jakby zanurzeni w syropie, siadali na płotach i na brzegach rowów, patrząc spod oberwanych kresów kapeluszy w stronę skąd wyścig miał

nadjechać.

Baran wyszedł przed Fina i tak się ustawiał, by zasłaniać mu widok. Jednak na zużłowym trakcie zmoczonym niedawną ulewą, było mało kurzu, a ponadto Kimimaminnen widział jeszcze sporo na wskroś Mercedesa, patrząc przez jego tylną szybę. Odkrywszy to w lusterku, Baran kazał swemu pilotowi położyć się brzuchem na oparciu fotela, sięgnąć packę na muchy i zasunąć roletę. Moburi wprawdzie chętnie to zrobił, lecz w następnej chwili zrodziły się w nim jakieś skrupuły. Począł się wiercić i oglądać do tyłu, a wreszcie powiedział:

- Nie może tak jechać, przecież nic nie widzi, a tutaj są ludzie. Nie jesteśmy już w buszu.

- Siedź cicho! - warknął Baran, na tym tylko skupiając uwagę, by wciąż wychodzić przed nos Kimimaminnena, gdy ten próbował wysunąć się w bok, choćby na pół dłoni.

- Zaraz będą zakręty - przypomniał Moburi. - Przynajmniej zwolnij trochę... - dorzucił nieśmiało. - Dwieście dwadzieścia to tutaj za dużo... - jego słowa zostały bez echa, więc zsunął się nisko, złapał za uchwyty i patrzył na oczy Barana, dziwnie odbarwione, pod brwiami nabitymi kurzem, ogniste, jak pożerane przez febrę i na bruzdy w twarzy, koryta potu wyzłobione w pyle. Odsunął się na bok, zaparł się nogami. - Nie! - począł krzyczeć

- Nieee! - od razu wiedział co się teraz stanie, gdy kilometr za nimi, zjawili się dwaj zgarbieni pod tobołami śmieciarze, odwróceny tyłem.

Szerokim łukiem trakt prowadził między wysypiska śmieci, pod ścielące się dymy i chmary sępów szybujących nad ziemią. Moburi widząc już nieuniknione, rzucił się do kierownicy, ale zbyt był słaby, żeby ją wyrwać z uścisku Barana... Jeden ze śmieciarzy spojrział poza siebie i Moburi, mocujący się z kołem, gotów raczej przeokożkować, a nawet sam się zabić, ujrzał jego oczy, olbrzymiejące w każdej mikrosekundzie, jak dwa mleczne koła w hebanowym obliczu, jak białe oczy sowy wyzierającej z czarnej dziupli w Nieskończoność. I Moburi pojął, dopiero w tej chwili, zbyt późno, dokąd zawiódł go ten związek i kim jest ten Baran.

Dondoa, „zerwanie” musiało się dokonać i to tak straszliwe, jakiego nie mógłby wymyślić człowiek.

Baran odszedł w lewo, po dłuższym promieniu, od wewnątrz wypuszczając Fina. Na tyle wcześniej to uczynił, by ten mógł dokładnie zobaczyć i wchłonąć obraz, który zostanie z nim na resztę życia. Na tyle późno, zarazem, by nie mógł już podjąć działania. Kimimaminnen uderzył.

Hamulce wyły długo i czarny dym o siarczany odorze popłynął nad drogą.

- Diabeł... - skamlał Moburi, prawą ręką szarpiąc klamkę, lewą odczyniając znaki pomiędzy sobą a Baranem. Wyrwał się, gdy tylko stanęli i pobiegł kulejąc. - Diabeł! - wołał pokazując za siebie.

Dwaj policjanci wyjęli Kimimaminnena zza rozbitej szyby i przenieśli do swojej Toyoty. Baran stał i patrzył z rękami w kieszeni, nie bacząc, że gapie już go pokazują palcami, szepcząc: „Mungu Mbaya”.

- Bwana, niech pan nie zwraca uwagi, to ciemne czarnuchy, niech pan dalej jedzie - policjant zachęcał Barana. - Szkoda każdej minuty, ma pan etap w kieszeni.

Nadjechał ambulans i z sanitariuszami Baran podszedł do Fina. Błękitne oczy, stężałe jak dwie bryłki lodu, śledziły coś z uwagą nikogo nie poznając. Obraz, który widziały tkwił we wnętrzu głowy.

- No i załatwione! - powiedział cicho Baran, nie zależało mu na tym żeby Fin usłyszał. - Będę ci tam siedział z butami do skończenia świata i nie będziesz miał miejsca na cokolwiek innego...

Dobrze wiedział, że śmieciarzowi nic się złego nie stało, nie było tam w ogóle drugiego śmieciarza. Kimimaminnen uderzył w ławeczkę na dwu nogach, podtrzymującą worek ze

śmieciami, przekonany, tak jak i Moburi, że uderza w człowieka schowanego za worem.

Śmieciarz brodząc po kostki w tłących się tekturach i hałdach zgniłej kapusty palmowej, podsuwał się nieznacznie, aż stanął przy Baranie. Schylony w pół, podobny do Pigeja, patrzył w górę spod cuchnącego tobołu.

- On dobrze powiedziec - pokazał głową w stronę, gdzie zniknął Moburi - On krzyczeń ty diabeł. Ja widziec co ty zrobic - szemrał bezzębnymi od szkorbutu dziąsłami.

Baran spojrział sennie, nic mu się nie chciało w tym suchym upale. Stałby tak pod słońcem równika, nadśluchiwał krakania, oddychał zgliszczami. Patrzył w twarz śmieciarza, bulwy i kulfony, szukając gdzie są oczy w tym brunatnym grzybie.

- Wiesz gdzie plac targowy? - zapytał na koniec.

- Moja wiedziec - odparł śmieciarz przestępując ze stopy na stopę. Miał wielkie jak u słonia, uginająca się pod nimi ziemia.

- Idź tam! - rozkazał śmieciarzowi - Znajdź żebraczkę bez nogi, ona siedzi przy bramie i...

- Moja wiedziec, Zulfira!

- Miałaś ją?

- Ja? Czy ty nie wiesz Mbaya, że ona nie z takim? Ona miec generał, ona miec marszałek, ona miec minister... Zulfira!

- Sprowadzisz ją tutaj, jeszcze dzisiaj w nocy!

Wozy śmigały z wyciem i wreszcie musiał pojechać za nimi, by przekroczyć metę, spotkać Zuckmayera i wziąć swoje czeki. Popołudnie i wieczór przeleżał w hotelu nie zmrużywszy oka. Bez żadnej myśli w głowie patrzył w sufit. Wezwał obsługę pociągając za sznurek. Kazał się umyć nie wstając z tapczanu. Odzież wziąć do prania. Pozwolił się rozebrać i obmywać gąbkami. Wytartego, przesunęli służący na suchy materac. Nakryty prześcieradłem przyjął Zuckmayera.

- Nie wiem jak pan to zrobił - rzekł Niemiec, kładąc mu kopertę przy boku. - Miejsce wprawdzie słabe, jeszcze obliczają wyniki, ale ten samochód! Aha, coś się także mówi o przyznaniu panu nagrody za postawę sportową. Widziano jak wyciągał pan Kimimaminnena, tego pechowca, z potoku.

- Odlatuję rano - powiadomił go Baran.

- Może to i lepiej. No... - podniósł się Zuckmayer i sięgnął po kluczyki - to auto jest moje!

Przyniesiono z pralni wykrochmaloną koszulę i spodnie z kantami, a niklowaną kulę, wyjętą przez praczkę z kieszeni, w torbie tekturowej z nadrukiem hotelu.

Pod tarczą pełnego księżyca stał na kupie śmieci. Patrzył w dół na drogę, gdy czarną taksówką z kocimi oczami podjechała Zulfira. Taksówkarz, siwy staruch, zaczekał, aż wysiadła i drżąc z pożądania popchnął ją na błotnik, język mu wypadł na brodę. Trzasnęła go po głowie kulą, że aż kość chrupnęła, a kiedy odjechał złorzecząc, pokuśtykała naprzeciw Barana.

Spotkał ją w zagłębieniu niewidocznym z drogi, zasnutym dymami. Szła coraz prędzej, a oczy obojga błyszczały jak połączone księżycową smugą. Kule grzęzły jej w śmieciach, zaczepiały o szmaty, aż zniecierpliwiona rzuciła je na bok i w szkarłatnej sukni przyklepionej do ciała, jęła skakać na swej jednej nodze. Padła na kolana i uderzyła czołem przed Baranem, szepcząc zaklęcia swojego plemienia. Podczołgała się bliżej, sięgnęła pod suknię po woreczek, rozerwała sznurek i sypnęła monety na stopy Barana.

- Weż, szatanie... - mówiła urywanym głosem - weż, to wszystko twoje...

Kiedy się schylał, jęła zbierać grosze, zgarniać mu pod buty, chciała wciskać w dłonie. Mówiła:

- Nie odmawiaj Zulfirze. Wcześniej od śmieciarza poznałam diabła w tobie, już tam, na targu, po tym jak jadłeś melona, jakbyś mnie wysysał. Diabeł nic nie gryzie, on tylko wysysa.

Odtąd czekałam, aż mnie wezwiesz, pojawisz się zarazem, żeś ty moje dziewictwo ochraniał dla siebie!

- Co? - zdziwił się Baran - A dziecko?

- Ja je tylko pożyczam.

- A generałowie? Śmieciarz mi nakłamał?

- Mówił to co wiedział. Byłam w tyłu pałacach, ale nikt mnie nie tknął, to znaczy w pewien sposób... Wypowiadasz mi teraz?

- Słucham.

- Zapalam tyłu wielkich ludzi! Niestety, gdy tylko usłyszą, że przed nimi nie miałam nikogo, wszystko się odmienia. Każdego rozczula moja niewinność tak niespodziewana i mój wiek, jak mówią, nieświadom swego цару. Rozbierają mnie w zamkniętych na trzy spusty pokojach, obmywają szampanem, sami osuszają, czeszą, gładzą, łaskoczą, przyciskają, sadzają na siebie, całują, cmokają, krążą między ustami a pachą...

- Generał?

- Generał i marszałek! Obaj tacy sami. Łaskoczą orderami po udach, wciskają medale. Marszałek trzyma szablę, jakby to on właśnie odrąbał mi nogę, polewa ją sokiem, jak wojenną ofiarę i darowuje mi cnotę, krzyczy, aż mu twarz sinieje: „Nie zgwałcę cię, dziecię!” Mówi, że w ten sposób podważa na chwilę sens swojego bytu i takim sposobem odświeża w sobie potrzebę gwałcenia. Minister to samo, twierdzi, że jeśli mnie nie zdeprawuje wbrew samemu sobie, potem, z czystym sumieniem, będzie mógł powiedzieć ludowi, że on także znosi wyrzeczenia. Przybił mi pieczęć państwową.

W końcu każdy mnie obdarowuje i odsyła limuzyną na bazar. „Dziecko - mówią żegnając - jestem starym grzesznikiem. Kłamstwo i obłuda, okrucieństwo i władza przestałyby mnie bawić, gdybym czasem nie zrobił też czegoś dobrego”. Więc znów ja im mówię, że bardzo się myślą, że właśnie robią mi najgorszy uczynek. Złorzeczę im, wyzywam, a oni się śmieją. Myślą, że dziewictwo jest to coś wzniosłego. Wzywają mnie znowu i znów nie pozwalają sobie, myśląc, że ocalają coś jasnego jak diament.

Baran patrzył i słuchał, przyszła senność na niego. Dopiero teraz, po tylu dniach wyścigu, ogarnęła go fala, émiło mu się w głowie. Chwiał się odurzony wyziewami śmietników, oczy łzawiły mu od dymu tłących się odpadów. Kaszlał i widział sępy dookoła, łączące po ziemi z rozpostartymi skrzydłami, przeżarte, z padliną kapiącą im z dziobów.

- Weź mnie, Bwana Mbaya! - błagała Zulfira, czołgając się przed nim. - Zaznaj mnie, szatanie! Zawsze będę ci płacić. Chcę cię przyjąć w siebie, choćbyś miał mnie spalić i przepalić smołą i żagwią mnie przebić. Patrz... - ściągnęła sukienkę przez głowę i przywarła do kolan Barana, rozłożyła ramiona i opadła na plecy. Chcąc by ugiął kolana, zahaczała mu nogę kikutem. W mroku i oparach zalśniła jej wilgotna różowość, jak pęknięcie owocu. Znow się poderwała, chwyciła go za dłonie i pociągnęła na siebie. Upadł i usłyszał jej oddech przy uchu.

- Dlaczego mnie odrzucasz? - szeptała, chwytając jego skórę parzącymi wargami.

Uniósł twarz i widział, niby półkole rubinów, oczy sępów tłoczących się w mroku, szarych, lśniących piórami pod pełnym księżycem, rozkraczonych jak senne ropuchy.

- Zmęczony jesteś, Mbaya - szepnęła mu czule.

- Nie wiem co się dzieje - wyznał jej do ucha. - Jesteśmy w rzeczywistym świecie?

- Ależ my żyjemy!

- Nie ma na to dowodu. Bo czy poza myśleniem możliwa jest tak straszna szmira? Te sępy, ten śmietnik, te cuchnące opary, twoje imię, zebraczka bez nogi i jej piękne ciało, namiętna i dziewica i księżyc do tego, twoja opowieść o generałach, twoja wykształcona mowa... W życiu tego nie ma.

- Cóż chcesz, chodziłam do misyjnej szkoły... Zresztą nie trap się niczym. Leży pod tobą ciepła, młoda dziewczyna z hebanową skórą, gładką jak aksamit, więc może nie musisz

się trapić?

- To prawda - odpowiedział, a w myśli dorzucił: „Przecież nie muszę niczego, oraz wszystko mogę”! Spojrzał w jej źrenice, przepastne jak studnie głębokie. W jej pełne wargi powiedział: - Są jak paki kwiatu, jesteś różą Jerycha, twe oczy jak stawy ocienione trzcina, twe piersi dwoje jagniąt... Teraz to rozumiem! Trzeba mi właśnie było na śmietniku, na końskiej padlinie! - mówił coraz szybciej, przerywał aby ją całować - Trzeba było tej żebraczki bez nogi! Twój brzuch jak kość słoniowa...To piękniejsze i lepsze od wszystkiego co znałem. Nie mogłem już kochać, a teraz ...Zulfiro, jakże to się stało, że umiałem cię znaleźć? Cała jesteś pragnieniem tylko mnie jednego, tylko na mnie czekałaś! Tak, ty jesteś marzeniem i chcę żeby tak było! Twoja szyja jak łabędzie puchy - wybełkotał na koniec - Zulfiro, bądź moją...

6.

- Massa! - Służący w hotelu rozsunał zasłony. - Południe dochodzi, czas jechać... Spodnie trzeba znów czyścić, jakiś żużel przyczepił się do kolan, koszulę też pan podarł, a zaraz samolot!

- Pal lichu... - ziewnął Baran. - Zawołaj taksjarza.

Po drodze, taksówkarz, siwy staruch ze świeżym plastrem na skroni, obejrzał się na niego:

- Będą chyba rozruchy - powiedział. - Wyjeżdża pan w porę... Nic massa nie słyszał?

- A to niby o czym?

- Jeden taki, dawny kierowca rajdowy, stoi przed meczetem i głosi, że w człowieku jest sprzeciw. Naucza, że w Białym jest Czarny, i że w Czarnym jest Biały, że złe ma dobre, a dobre złe w sobie... - Murzyn zachichotał - To jeszcze nie koniec, niech massa posłucha: Jeden taki karzeł, śmieciarz bez imienia, chodzi po Alei Kenyatty i wygłasza kazania. Powiada, że szatan objawił się na miejskich śmietnikach. Ludzie się gromadzą, policja puszcza w ruch pały i mówi, że to bzdura, że śmietników nie ma, chociaż naród czuje. Gdyby nic nie było na rzeczy, po co wezwano by Zulfirę do prokuratora? To taka bez nogi...

- Uważaj, żeby nie łupnęła cię w łeb z drugiej strony! - znienacka rzucił Baran.

Kierowca zamilkł jakby porażony. Siedział przez chwilę z otwartymi ustami, po czym z błyskiem zrozumienia w oczach wbił nogę w hamulec i wyskoczył z wozu. Pognał przed siebie i przepadł krzycząc:

- Zimwi, demon!

Baran, w podartej koszuli i z torebką bananów kupionych w hotelu, wkroczył pod dach dworca lotniczego. Zapiął pas i z głową odchyloną na oparcie fotela, patrzył przez owalne okienko na odpływające ku ziemi warstwy rzadkich chmur. Poczuł się jak pływak wyrzucany się z głębi ku powierzchni wody, jak mucha co uciekła z lepu. Tamci pozostali, na zawsze beznadziejnie sklejeni. Fin wystrychnięty na dudka, pijaczyna Moburi, ropucho-sępy, nawiedzony śmieciarz, zmysłowa Zulfira, gruchoto-Zuckmayer. Czuł się wolny i świeży, ponownie w nim wzbierał równy i jasny płomień, ciągle miał go w sobie i świat stał otworem.

Jedynie głęboko, gdzieś tam, w głębi głowy, nitką cieńszą od włosa przewijała się myśl, że nie zrobił tego, tak jak oczekiwał. Można było inaczej, lecz widać, nie można od razu... Usłyszał srebrzyste pobrzękiwanie przy uchu, dostrzegł kątem oka i odprawił dłonią tacę z kieliszkami.

Patrzył w mleczne chmury, w ich pustkę i ciszę. W tym chciał się zanurzyć, by tam

gdzie nic nie ma, pośród śnieżnej bieli, móc zacząć od nowa. Już wiedział, gdzie się uda. Odnajdzie tam siebie i stamtąd się wyłoni, z niebosiężnej wyżyny, od razu widoczny każdemu i całemu światu.

W Rzymie czekał niecierpliwie w sali tranzytowej. Wykończył banany, rzucił się na fotel i oparł nogi na drugim. Próbował się zdrzemnąć, gdy włoski młodzieniec z kręconymi włosami, krzyżykiem na szyi, w mundurze służby lotniskowej, lecz z pobożnym wejrzeniem, pochylił się nad nim i gorliwie doniósł, dotykając ramienia:

- Mi scusi, gentiluomo, jestem steward Giacomo, pewna dama chciała z panem mówić.

- Tenga le mani in tasca, pervertito! - ofuknął go Baran usuwając ramię.

- Nie jestem zboczony! - rzekł płaczliwie Giacomo, pospiesznie cofając rękę - A signora czeka tam, za szybą...

- Mostro informe... westchnął Baran rzuciwszy tam okiem. - Bezkształtna potwora, ile toto waży? - widział niską jejmość w otoczeniu dziątek, brzuchem i biustem przylepioną do przejrzystej ściany. Nieśmiało kiwnęła mu dłonią, dzieci na szkle rozpląszczyły języki.

- To małżonka goryla - uświadomił go ze słodyczą Giacomo - tego co zginął na służbie w zaszczytnej walce przeciw terrorowi.

- Fa schifo!

- Zniosę upokorzenia, ale proszę o trochę współczucia dla niepokieszanej wdowy - steward począł się wycofywać.

- Stój! - zatrzymał go Baran. Uświadomił sobie, że odkąd posiadał Siłę, rzeczywistość z łatwością przechodziła w teatr albo kino, w czyste urojenie. Słuchał swoich słów i odkrywał nieznanego siebie. Czyżby podświadomość? - O czym mam z nią mówić, stupido scimmione?

- Tego to już nie wiem.

- No, to ja ci opowiem całą tę rozmowę. Ja ją zapytam: „Z czego pani żyje?”, a ona: „Jestem modelką, signore.” Ja: „Też coś”, a ta, bijąc się w cycki: „Niech mnie zgaga spali”

- Questo é scandalo! - obruszył się Giacomo, ale nie odchodził.

- Spokojnie! - Baran nie miał zamiaru przerywać - Wtedy ja ją spytam: „Modelka i te dwieście kilo?” „Właśnie dzięki temu! - zaskoczy mnie ona - Pewien fotograf od weterynarzy...robili broszurę, jak się... no, ten tego... unasiennia trzodę, a świnki nie chciały tak przed obiektywem.” „I co, wzięli panią?” - zapytam. „A żeby pan wiedział! Maciorki się wstydziły, no to ja klękałam, słoma była czysta, nie powiem, knurek też wymyły...”

- Questo é lurido! To brudne! - Giacomo załamał palce, lecz tkwił przed Baranem.

- „Nawet nieźle płacą! - pochwaliła się ona - A zdjęcia naukowe to i nie ma grzechu...”

- Immorale! - Włoch bładł i czerwieniał, stojąc jak przykuty. - Volgarone osceno! - wykrztusił - Nie mogę tego słuchać, idę do spowiedzi.

- To się ksiądz uśmieje!

- Jaki pan zepsuty! - Giacomo cofał się tyłem, uszy miał czerwone.

Baran podszedł do szyby, Gorylowa dygnęła i wąsate usta wcisnęła do szpary między pancernymi płytami.

- Signore Varan, czy coś podobnego? - spytała.

- Mniej więcej - odpowiedział.

- Przyszłam, bo przysnił mi się świętej pamięci małżonek i polecił to zrobić. Powiedział, że leciał razem z panem i dziś pan będzie znowu w sali tranzytowej.

- I o co mu chodzi?

- Kazał podziękować. Mówi, ja tego nie rozumiem, więc tylko powtarzam... zaraz, zaraz, zapisałam sobie, bo to zbyt zawile - wraziła palce w dekolt po zmięty karteluszek - zaraz, zaraz, już czytam... Więc - sylabizowała - on to robi w tym celu by „dać panu do myślenia”, signore, albowiem to świadczy, że on „w jakiejś formie istnieje, pomimo że zginął.”

- Niech pani mu powie, matrona, że bredzi, że uroił sobie, to da pani spokój. Signore Varan jest jego wymysłem, jak Emmanuelle.

- Ale filut z pana... Już to zapisuję, a gdyby obstawał?
- Niech mnie pani pocałuje...
- Nie przy dzieciach! - kwiknęła.
- No, dobrze - przystał Baran. - I lepiej nie mnie, lecz panią, a dzieci niech popatrzą, tym razem.

- Co za świntuch z pana!
- Właśnie! - odpowiedział - Spotkamy się na zdjęciach u weterynarza?

Upadła, i gdy pasażerów z sali tranzytowej prowadzono już do maszyny, ujrzał Baran przez szybę, jak zemdlną, dzieci i obsługa, usiłują zatoczyć do drzwi toalety.

Skakał po dwa schody, a gdy stanął pod drzwiami swojego mieszkania i celował kluczem, odkrył, że zamek jest zmieniony. Łupnął w drzwi ramieniem. Stał się niecierpliwy. Już przywykł do życzeń spełnianych od razu. Zadzwonil jak kominiarz, kopnął aż załomotało na klatce schodowej. Wyjrzała sąsiadka, nakryta gazetą, bo nie chciało się jej narzucać peruki.

- Co za hałas? - burknęła. - Żona wymieniła zamek, wszystko na głowie kobiety... A niech was zaraza! - wygłosiła życzenie. - Tylko dziwki i piwo! Spraw, Boże, niech przestaną się rodzić, niech im usycha zaraz po porodzie! I kogo ja proszę z moim dyplomem doktora filozofii? - sama się zdziwiła - Boga, który zaczął od stworzenia Adama niezdolnego, rzecz jasna, do urodzenia kobiety? - podpita cofała się chwiejnie, a jej bełkot dochodził przez szparę - Gdyby Bóg był kobietą, w ogóle nie stworzyłby chłopca...

Pognał na Żurawią, w oknach się świeciło. W biegu wraził klucz w zamek i wpadł do pokoju. Owca, Baranowa, siedziała na tapczanie, cicho grało radio. Przed nią, na fotelu, przyjaciółka z kawą na kolanach. Ciasteczka na niskim stoliku. Obie w kręgu lampy, tak zajęte sobą, nastrojem wieczoru, że jego wtargnięcie nie od razu pojęły.

- Szukałaś tam czegoś? - krzyknął zadyszany.
Podniosła spojrzenie, nie rozumiejąc o co może mu chodzić.
- Czy to nie moja kolej na pytania? - odezwała się z chłodem.

Przemknęły mu przez głowę kolorowe obrazy: szafirowy Adriatyk, skryty odjazd sprzed domu, paszport z rozwianymi kartkami padający na szosę, baby przed kościołem... To było tak odległe jak w innej epoce.

- Przyszedłem po klucze.
- Było tam włamanie.
- Ukradli coś?

- Nie zdążyli. Sąsiadka spostrzegła złodzieja i wezwała milicję. Złapali go w pokoju. Musiałam zmienić zamek - sięgnęła do szufladki i podała mu klucze. Baran zawrócił bez słowa.

- Występuję o rozwód - usłyszał za sobą.

- To nie jest zły pomysł! - lekko zauważył. Obejrzał się w jej stronę i nagle uświadomił sobie, że tego małżeństwa przecież nigdy nie było. Ujrzał to tak jasno, parsknął głośnym śmiechem. Jak mógł tak długo tego nie widzieć! Ogarnął spojrzeniem przyjaciółkę żony. Ubrana w sandały sznurowane na krzyż rzemykami, pod same kolana, w kwiecistej sukience z dekoltem i z kwiatem we włosach, podobna do wiejskiej pasterki, nie odrywała od Owcy spojrzenia. Oparła dłoń na jej dłoni, jakby dodając otuchy. Wydała się Baranowi podobna do prawdziwej pasterki gdzieś w polu, radej osłonić swą owieczkę przed tyranią tryka.

- Z nią mogłaś się ożenić! - ciepłe zrozumienie objęło go całego, schylił się ku żonie i począł tłumaczyć: - Nie ma jak kobieta! Z przerobieniem mężczyzny za dużo kłopotu, a ona nadaje się do małżeństwa od razu... poczuł przyptyw natchnienia. - Jej nie trzeba wykładać doniosłości ściereczki do kurzu i taką samą, jak ty, ma subtelność ducha. I wie, sama z siebie, że życie składa się z drobiazgów, a najważniejsze są we wszystkim szczegóły - w podnieceniu przechylił abażur i puścił na Pasterkę snop jasnych promieni. Nadal siedziała wdzięcznie, złożywszy kolana, na nich splótłszy dłonie. Tak je pozostawił i wybiegł na schody.

Wpadł do swego pokoju. Rzucił się na tapczan i wyjął z kieszeni uwierającą go kulę. Bliski był zaśnięcia, gdy pojawił się przed nim Vujkovič. Nieoczekiwanie, z mroków spowijających już głowę, wychynęło przypomnienie człowieka utopionego pod skałą. Wyraźne, jakby miał je przy sobie i mógł z nim rozmawiać.

Baran otworzył oczy, spojrzął w sufit nad sobą. Wciąż był sam w pokoju, a przecież, w jakiś dziwny sposób, doznawał istnienia tamtego.

- Posłuchaj Vujkovič! - Zwrócił się do niego - Czy ty wiesz właściwie gdzie się teraz znajdujesz?

- Co wiem, to wiem! - rzekł Jugosłowianin - Niby o co ci chodzi?

- Pamiętasz co się stało nad morzem?

- Pamiętam, co nieco. Dostałem po głowie... Byliśmy pijani, wziąłem gałkę z łóżka do jakiejś skarpety i poszedłem na plażę bić się z tą hałastrą z Lošinia. Nogi mi się plątały, wsadzili mi kulę do kieszeni i spuścili do wody. Na tym się urwało, zachłysnąłem się wodą.

- Nie ma cię już. Vujkovič, jesteś utopiony.

- Wątpię, choć czuję się tak jakbym istotnie wyszedł z ciała. Ale przecież istnieję. Ogromna przestrzeń mnie przenika, wszechświat mnie otacza, jakby moje myśli połączyły się z jakimś bezmiarem. Dawniej były małe i ściśnione, a teraz wyrwały się i rozprzestrzeniły.

- Widziałem cię pod wodą - rzekł Baran. - Jesteś mokrym trupem.

Bracie, nie wiem - mówił, zdawało się, Vujkovič. - Pomyliłeś się chyba. Czuję wszechświat. Bezmiar informacji nazywam wszechświatem. To dziwne istnienie i nie chcę go stracić.

- A myślałeś, że mógłbyś kiedyś wrócić do domu?

- Kto wie? Albo takim zostanę już po wszystkie czasy.

- Niezły wybór! - zakpił Baran - Nieśmiertelność albo zmartwychwstanie!

- Mam takie uczucie lekkości i odcieleśnienia - ciągnął dalej Vujkovič - taką jasność myśli, wyzwolenia od wszelkich spraw ciała, że tylko krążyłbym myślą na najwyższych poziomach, przenikał niewyobrażalne w ziemskim życiu sprawy...

Baran słuchał, lecz go już nie obchodził Vujkovič. Pojął w jakiś sposób, dzięki tej rozmowie, że to co w nim się działo, było czymś przejściowym, może zaledwie etapem do czegoś głębszego, co Vujkovič określił jako nieograniczenie. Co się w nim otworzy, już nie jako błysk światła lecz cała świetlista przestrzeń bez wymiarów. Był od niej oddzielony najcieńszym z ekranów, dość było go przebić...

Donośne stukanie w drzwi wejściowe wdarło się w jego skupienie.

- A kogo tam niesie! - krzyknął niecierpliwie, zrywając się z tapczanu. Jak najprędzej chciał się pogрузić znów w swych rozmyślaniach. Otworzył. Ujrzał kobiecinę. Chudą, nieco wypsiałą, w chustce z frędzlami zarzuconej na głowę, z siatką plastikową wiszącą jej z dłoni, szurającą w miejscu białymi stopami w sandałach. Zwęszył piwniczny zapach i poczuł się nieswojo, jakby ujrzał zjawę.

- Czego tutaj chcecie? - spytał podejrzliwie. Jej widok, nie wiedzieć czemu, przypomniiał mu włamanie.

- Ja bardzo przepraszam - zaczęła piskliwie - jestem kobietą złodzieja, tego co go zamknęli tu przez jaśnie pana.

- Czego znów, do diabła!

- Niech się jaśnie pan nie rzuca, bo nic nie pomoże. Niczego prawdziwego nie ma w tej rozmowie.

- Bredzisz coś kobieto - rzekł nieswoim głosem.

- A, no właśnie, bredzę - zgodziła się ona - to co małżonek mój wymyśla w celi. A pan szanowny opowiada także jego zmyślenia.

- Brednie! - warknął znowu, chciał odsunąć ją na bok, lecz nie pozwoliła. Oburącz złapała za klamkę.

- Jaśnie pan posłucha! - nie dała się zbić z tropu. - Tak jest za każdym razem gdy go zamykają...

Baran słuchał jej głosu dobiegającego jak gdyby zza szklanej przegrody. Rzeczywistość znowu traciła wyraźne kontury. W swoim nowym stanie zyskał niezwykłą wrażliwość. Pomyślał, iż zmysłem nieznanym mu dotąd, dostraja się do świadomości złodzieja i odczytuje sobą jego umysłowość. Postanowił jej ulec, miał przecież dość siły, aby w każdej chwili przerwać ten eksperyment i znów stać się sobą.

- Mówcie dalej! - przyzwolił.

- Więc mówię - podjęła kobieta - że on ma taki sposób, żeby przetrzymać więzienie. To tak jakby żakiet wywrócić podszewką do góry, a wierzchem do spodu. Tak samo z myśleniem, on je sobie nicuje. Jak tylko go zamkną, wyobraża sobie, że strażnicy, kibel, cementowa podłoga, sprzątanie wychodka, zupa z brukwi i miska blaszana, podwórze i kraty to tylko urojenie, jakby sen na jawie. Wypycha to z głowy i nie myśli o tym. Myśli zamiast tego o tym co na zewnątrz, co zostawił w domu i to dla niego jest prawdziwym życiem.

- Więc i was tutaj nie ma? - spytał Baran w dziwnym odrętwieniu.

- Tego nie mówiłam. Jestem, jaśnie panie. A to się zgadza z tym jego myśleniem... Po prawdzie, to na utrapienie moje, bo myślenie to ma robaczywe! No, i jaśnie pana też wykombinował, tyle że się trochę pomylił, bo rudego z łysiną, zezem, garbem i pryszczami, czemu nie można się dziwić, bo zamknęli go przez jaśnie pana! Pan mu pośle jaką fotografię, mece-nas zanieś, to on to poprawi, on nie jest zły człowiek.

- Mówcie o co wam chodzi! - zniecierpliwiał się Baran.

- Właśnie, jaśnie panie! - podchwyciła kobieta - On spostrzegł, że jaśnie pan nas zaniebduje, to znaczy rodzinę, więc pomyślał, że przyszedł tu do jaśnie pana, a pan nie odmówił. Jaśnie pan jest mu bliższy od brata, bo go ograniczył, więc ma nad nim władzę. Są kłopoty z synem. Dryblas nie chce się uczyć, o, tutaj dzienniczek - sięgnęła do siatki - z wezwaniem do szkoły. Pan ze mną pojedzie!

- I co odpowiedziałem? - zapytał ją Baran, podnosząc swe dłonie, jakby chciał pod światło zobaczyć czy nie są tylko przezroczystym cieniem.

- Jaśnie pan się zgodził - w myślach wie się z góry - znalazł w kawiarni chłopaka i zaciągnął do szkoły.

- A jak się nie zgodzę?

- A po co się sprzeciwiać? Jeszcze by pomyślał o jaśnie panu coś nieprzyjemnego...

- Słowo daję, pojedę! - zdecydował Baran - Zobaczymy czy to wszystko zrobię.

Pospieszyli na dół, uruchomił samochód. „Jasne, że nie wierzę - mówił sobie w duchu - ale to ciekawe! Bo jeśli on myśli tam w celi - rozważał - i przez czysty przypadek to samo co ja tutaj robię, to jak rozsądzić czy jest to istotnie przypadek? A jeżeli nie jest, to ja teraz nie zależę od siebie i mogę lekceważyć...”

Przejechał na czerwonych światłach skrzyżowanie i nic się nie stało. Więc spróbował znowu i z przejścia dla pieszych spędził nie spieszących się ludzi. Na widok krótkiej spódniczki, ostro przyhamował i jadąc przy chodniku pogwizdywał z uznaniem.

- Tego jaśnie pan wykonać nie musi - rzekła kobiecina - bo by trzeba stałe. On wiecznie w głowie ma te damskie nogi. Ale widzę, że jaśnie pan zrozumiał - pochwaliła Barana. - A tutaj jest szkoła i kawiarnia obok.

Wysiedli, a Baran czuł się jakby wyszedł z siebie i kroczył, płynąc uwolniony od ciała. Przy nim kobiecina spieszyła w sandałach, długimi, leniwymi susami, a frędzle jej chusty powiewały jak w filmie zwolnionym. Kopnął drzwi kawiarni, odepchnął szatniarza.

- To ten, tam! - pokazała z dumą - Krótko ostrzyżony. Dryblas zawsze idzie pierwszy z modą. Wstawaj! - krzyknęła z daleka na syna.

Baran nad nim stanął.

- A to niby dlaczego? - spytał Dryblas skrzywiony, bo mu czyrak doskwierał na szyi.

Nogę miał założoną na nogę, podrygiwał stopą, międlił w gębie papierosa i koleżankę obejmował za biodro ramieniem.

- Jasnie pan będzie cię dziś wychowywał - objaśniła kobieta. - Zagna cię do szkoły.

- Znowu? - Dryblasowi nie chciało się spojrzeć na Barana, gapił się gdzieś obok. - Daje się pan starej nabierać - międlił niedopałek z niesmakiem. - Idź pan spokojnie do domu - poradził. - Stary i tak myśli, że pan nic nie wskóra, ja dalej będę się szlajał po lokalach, a matka i tak na noc pójdzie do pasera. Stary tak to sobie w pudle wyobraża, więc po co mu mieszać?

- Wstań - poprosił Baran.

- Przejął się pan rolą? - zauważył Dryblas międząc zaślinionego Marlboro - Mówię po dobru: stary i tak myśli, że ja z krzesła nie wstanę i nikt mnie nie ruszy jak zobaczy te graby - podniósł przed siebie pięści jak bochenki chleba. - Nauczyciel czyli Geograf alias Wskaźnik Wykonania także się mnie boi, chociaż pisze w dzienniku. I co pan chce w tym zmieniać? Jak coś wyjdzie inaczej niż pomyślał stary, to mu pęknie w głowie i pan będzie winien. Matka, zabierz typa!

Nim coś więcej powiedział, Baran złapał go oburącz za pasek na biodrach i niby koszyk za uszy, uniósł ponad ziemię. Wymiędlony papieros upadł na podłogę. Dryblasowi nogi wyszły do kolan z nogawek, krzyczał, że pije go w kroku, ale Baran nie zważał, tylko niósł go przed sobą, otworzył nim drzwi wahadłowe, przeniósł go przez skwerek i wkroczył do szkoły. Zapytał o drogę portiera, wciąż nie odstawiając Dryblasa, przemierzył korytarz, otworzył drzwi nogą i wrzucił go do klasy.

- Pan Wzrost Wydobycia? - uprzejmie spytał profesora - Eheu... - zakaszłał, nie przyzwyczajony do takiego zgęszczenia smrodku nikotyny i chlorku przyniesionego na butach z toalety, nóg nie domywanych, zepsutego moczu i perfum „Być może...”

- A, tutaj cię mamy! - Wzrost Wydobycia wpił spojrzenie w Dryblasa.

Ten, niepewny czy powstać, czy lepiej zostać na podłodze, poskarżył belfrowi:

- To nie jest mój stary! - i tarł, pochlipując, obolałe uda.

- To nic nie ma do rzeczy - złapał oddech Baran. - Będiesz wydawał lekcję.

- Panie profesorze! - Dryblas podjął próbę przeciągnięcia na swoją stronę Wzrostu Wydobycia - Niech pan położy na to obojętną lagę! Mój stary zaraz wyglówkuje inaczej i ten facet się zmyje. Ja wrócę na kofi, a pan po staremu zapisze w dzienniku.

- Nieprawda! - wtrąciła kobiecina nad słuchującą za drzwiami, wetknęła nos do klasy - tym razem pomyślał, że będziesz się uczył!

- Nie chcę... - jęczał Dryblas - Mój stary nigdy tak nie kombinował, to dlaczego teraz?

- Nie umie niczego! - Wzrost Wydobycia poinformował Barana.

- Zaraz to sprawdzimy - Baran zabrał podręcznik najbliższej uczennicy. Otworzył i przeczytał: - „Wydobycie gipsu...” No, gadaj, co dalej! - stanął nad Dryblasem.

- Gipsu... - powtórzył za nim chłopak, żeby grać na zwłokę. Zerkał to na matkę, to na profesora, ciągle mając nadzieję, że ojcu się znudzi.

- Prędeż! - rozkazał Baran i nacisnął mu stopę.

No! - krzyknął Dryblas w okno - Co ojciec myśli, że to nic nie boli?

- Nie żaden ojciec, tylko ja cię pytam. Wydobycie gipsu... - odpowiedział Baran - Za Piasta Kołodzieja, za Królowej Bony...

- Bony... Bony... - Dryblas międlił słowo jak przedtem Marlboro.

- Za Sasów, pod Mościckim oraz w Pięcioletnim Planie!

- Planie! - zabrzmiało jak echo.

- Nie umiesz - stwierdził Baran.

- Nie umie! - poparł go Wzrost Wydobycia.

- Zobaczymy dalej - Baran wraził palec pomiędzy stronicę. - Wydobycie żwiru, jazda! - ponaglił Dryblasa - Za Piasta Kołodzieja, za Królowej Bony...

- Żwiru...
- Tego też nie umie.
- Nie umie! - zgodził się profesor.
- Teraz spróbujemy... - otworzył nową stronę - Wydobyćcie gliny, jak ono wzrastało?
Tym razem Dryblas tylko wzruszył ramionami.
- No tak... - rzekł Baran, jakby słabszym głosem. - Więc dalej, wydobyćcie piachu...
Dryblas spuścił głowę.
- Nie wiem - przyznał szczerze.
- To może jeszcze... - Baran gorączkowo kartkował - Wydobyćcie kamienia? Powiesz? - łagodniej poprosił - Za Piasta Kołodzieja, za Królowej Bony, no, chociaż w Pięcioletnim Planie!
Dryblas milczał i obgryzał paznokcie.
- Nie umie! - Wzrost Wydobyćcia syknął Baranowi nad uchem.
- Znajdę coś innego - niepewnie rzekł Baran, otworzył na ostatniej stronie - Wydobyćcie mułu! - przeczytał z osłupieniem
- Nie, nie, poszukamy! - powrócił na pierwszą - Wydobyćcie granitu... Czekaj! Wydobyćcie kruszywa... Kruszywa! - krzyknął aż szyby zadzwoniły. Coś się przełamało w Baranie, strach ścisnął mu szyję. Zląkł się, że nigdy nie wyjdzie z tej szkoły. Miał może tu błądzić, aż złodziej odsiedzi swą karę?
- Dlaczego nic więcej w tym nie ma? - wrzasnął i strzelił o stół podręcznikiem.
- Teraz sam pan widzi! - krzyknął Dryblas i jał wstawać z podłogi. - Tam jest tylko to co umiał wymyślić mój stary! Pan wreszcie kapuje? To ja już lepiej pójdę, koleżanka czeka. Dopiero jak starego wypuszczą, będę mógł się zmienić - obiecał. - Co ja jestem winien? Spytaj pan kolegów czego tu się uczą. Każdy ojciec myśli o szkole co innego, są inżynierowie, działacze, lekarze...
- Bzdura! - Baran kręcąc mu ucho próbował ratować swe trzeźwe spojrzenie.
- Panie! - Dryblas wił się jak piskorz - Co pan robi hecę? On niczego innego pomyśleć nie umie, przecież ostrzegałem, pan mu zrobi krzywdę, a jak wykituje, sam będę musiał myśleć o sobie!
Było już za późno na odwrócenie wydarzeń. Wbiegła sekretarka:
- Telefon z więzienia, panie profesorze! Wzywają Dryblasa, żeby złożył ojcu ostatnią wizytę. Coś pękło mu w głowie, długo nie pożyje.
- Mówiłem! - zapał Dryblas - Cóżes mi pan zrobił? - pięścią palnął się w głowę. - Sto fur za Piasta - począł recytować - na bielenie chałup. - Tysiąc kop mendli razy dziesięć za Królowej Bony na gzymisy w pałacach, za Mościckiego brak dokładnych danych, za to w Pięcioletnim Planie, Pierwszym, Drugim, Trzecim...
- Łachmyto skórkowany! - kobieta złodzieja przypadła do Barana i pięść mu przytknęła do nosa - Tak mnie urządziłeś? I kto teraz pomyśli za mojego starego, że paser mnie usypia? Ja nie usnę sama!
Jeszcze człowiek w fufajce zjawił się za drzwiami szeleszcząc asygnatą.
- Pani kierowniczo - wziął sekretarkę za łokieć - podpisze mnie pani, gips my przywieźli dla szkoły.
Baran runął za drzwi, przebiegł korytarzem i przez otwarte okno skoczył na dziedziniec. Wpadłszy do pokoju był już znowu sobą, a poczucie siły, której nic nie zmoże, znów go ogarnęło i to w natężeniu, które natychmiast domagało się czynu. Rozejrzał się po ścianach i od razu wiedział. Obrazki, plakaty, proporce, dyplomy. To wszystko czym żył niegdyś, jeszcze go więziło. To go ściągało do przyziemnych działań. To nie pozwalało mu rozwinąć skrzydeł. Wzlot wymagał bezwzględnej rozprawy z przeszłością. Zniszczenia skorupy, w którą był wtłoczony, do której sam się wtłaczał mozolnie ją lepiąc z odpadków i śmieci. Ściubił je w nadziei, że one nadadzą mu kształt i osobowość. Lecz teraz już wiedział, odkrył w mgnieniu

oka, że kształt raz określony był tylko sarkofagiem i nie służył życiu lecz letargicznemu trwaniu.

To bezkształt zdawał się być najwyższą postacią istnienia. Zdolność przybierania dowolnej postaci, nieustannych przemian, wolność bycia kim innym w każdym miejscu i chwili. Począł zdzierać ze ścian zgromadzone trofea, znaki i symbole. Pamiątki chwil, których już nie chciał wspominać. Podarunki od osób, których widzieć nie musiał. Świadczenia przewag, które lekceważył. Gniótł, łamał, rozdzierał i ubijał butem w kartonie po piwie. Zaciągnął go do kuchni i otworzywszy okno na podwórze, cisnął go na skwerek. Nim odgłos uderzenia przyplłynął na górę, Baran był już w pokoju i z szafy wyrwywał ubrania. Wcisnął je pięściami do płaszcza deszczowego zapiętego na wszystkie guziki, w rękawach ubił swetry i koszule po czym, taki manekin, rzucił w okno, na ślepo.

- Samobójca, ludzie! - starczym dyszkantem rozległo się z dołu.

Wyczyściwszy mieszkanie, zanim ostatnia doniczka z paprocią wybuchła na betonie, znalazł się na schodach, zbiegł kilkoma susami, zgarnął wszystko na stos pod oknem staruszka piniacza, rozbił denaturat i zapalką podpalił. Staruch dębową łagą usiłował sięgnąć głowy Barana, lecz ten mu ją wyrwał, złamał na kolanie i rzucił w płomienie. Nie oglądając się więcej, w radosnym poczuciu, że jest teraz nikim, więc każdym zarazem, pojechał do portu lotniczego.

7.

Znalazł się na śniegach, pośród białych stoków. Mleczna mgła wisiała nad nim, przestając szczyty, a przez nią sączyła się, jak przez gęsty abażur, radosna poświata, jasność, promieniste próśnienie. Świat, jak Baran oczekiwał tego, był tutaj bez cieni, kolorów, nie miał nawet konturów, kształty rozmazane, płynne, jedne przechodzące w drugie, zbudowane z bieli.

Karawana tragarzy została gdzieś z tyłu, wiedział, że wyprzedza ją o dobrą godzinę. Złożył na lodowcu plecak i odszedł ze szlaku między spiętrzone seraki, krystaliczne odłamy, bryły szkliwa. Podniósł oczy i patrzył w świetliste opary. Był sam w tej nicości, pustce, ciszy, jak w wacie. Przesączała się w niego, tkwił wśród niej leniwie, wolny od potrzeb, od zimna i głodu. I w środku pustki, z białością wypełniającą też głowę, odkrywał istnienie i takiego świata, ponad tamtym światem zgiełku i chaosu.

To, co widział tutaj, było jak płótna dobrze wybielone, z których zostało sprane malowidło świata: ruch, dźwięki, zjawiska, spięcia, uderzenia. Zostało tło samo. Dokonywał wyprawy do początku istnienia, do jasności i bieli, na których nikt jeszcze nie odbił niczego. Nawet ciekawość nie miała tu o co zaczepić.

Wyobraził sobie, że tutaj zdoła się oczyścić dla przyjęcia Daru. Czuł, że nie jest z nim w zgodzie. By móc właściwie go użyć, sam winien stać się tak biały jak śniegi, tak czysty jak one. I sądził, że górskie wichury wywieją do końca zgiełk myśli jeszcze brzęczący mu w głowie.

Tkwił w bieli dopóki nie usłyszał głosów. Czarne plamki nadpełzały szeregiem. Wrócił do swych rzeczy, do wrzasków tragarzy, do podeptanego śniegu, targów o zapłatę, o pół papierosa.

Przed tygodniem znalazł się w Bombaju, przyleciał tam LOT-em i nie wychodząc z portu lotniczego, czekał na kurs Air India do stolicy. W Delhi miał przerwę do rana, wykupił miejsce na pierwszy lot do Nepalu i ruszył do hotelu. W połowie drogi tak miał już dość

duszej, nocnej wilgoci, że kazał taksówkę zawrócić. Przesiedział do świtu w fotelu, pod krawką nawiewu, na przemian drzemiąc i objadając banany z wiązki kupionej po drodze.

W Katmandu był w południe, ale nie od razu mógł ruszyć w Himalaje. Dwa dni kupował ekwipunek i wynajmował wysokogórskich tragarzy, górali z plemienia Szerpów. Nic im nie powiedział o swoich zamiarach, prócz tego, że w Zachodnim Kotle pod Everestem chce spędzić trochę czasu. Gdyby ktoś podejrzewał co mu się kołacze w głowie, nikt by się nie zgodził zanieść jego bagaży. Nie dostałby też zezwolenia na wejście w doliny.

Wynajęty samolot przerzucił ich dwoma lotami do Thiangboche. Stąd, szybkimi marszami, ruszyli w górę lodowca Khumbu, spiesząc się, by wyprzedzić zimę. Szerpowie chcieli uniknąć wichur, mrozu i zamieci. Baranowi na tym nie zależało, choć się z tym nie zdradzał. Też przyspieszał kroku, pragnąc raz jeszcze znaleźć potwierdzenie, że się istotnie odmienił. W tajemnicy przed nimi wykonywał próby. Kamień, który jak widział, Szerpa, stawiający namiot, z wysiłkiem odtoczył, on wepchnął w nocy do plecaka i przeniósł trasą następnego etapu, nie wysilając się więcej niż przy dźwiganiu kurtki zarzuconej na ramię.

- Sahib! - Szerpa Thondup zażartował wieczorem, poznając ów kamień. - Wróciliśmy w to samo miejsce, na głazie jest lizaj z żółtych porostów w kształcie pierwszej litery mojego imienia!

By sprawdzić odporność na zimno, już po zmroku, gdy tragarze skupili się przy ogniu z dymiącego łąjna jaków, poszedł na skraj lodowca i zanurzył się goły w płynącym po lodzie strumieniu.

Najpierw, gdy się już rozebrał, przesiedział kilka minut nad burzącą się wodą, nie mając odwagi wsadzić choćby nogi. Zbyt dobrze pamiętał swe dawne odczucia. Ale kiedy pojął, że trzyma bosc stopy na lodzie, z ust bucha mu para, a mimo to nie odczuwa chłodu, wszedł w strumień po kolana. Zacisnąwszy zęby mimo woli, przysiadł i położył się w wodzie. Dobrze wiedział, że tu kilka sekund wystarcza by zginać, zamienić się w drewno, sztywny sopel. Tymczasem nic nie czuł, prócz dotyku wody i szarpania wirów. Chłodzenie było nie większe niż wywołane przez zefir, ciepłym wiosennym wieczorem. Wszedł na mróz nie szczękając zębami, pod gwiazdzistym niebem, bez dreszczy i bez pośpiechu wytarł się ręcznikiem i ubrał, niezbyt wiedząc po co. Wrócił do namiotu niosąc sweter w dłoni.

Rano się dowiedział, że podejrzwał go któryś z tragarzy. Robili mu docinki, że ma ogień w żyłach. Sądzi, iż tylko się umył, bo gdyby wiedzieli jak długo tkwił zanurzony po szyję, pewnie by stracił tragarzy, uznany przez nich za demona górskiego co wszedł w ludzkie ciało, jak się to zdarza w Nepalu.

Dwa dni zajęło im pokonywanie lodospadu Khumbu. Pięli się pośród labiryntu szczelin i splekanych bloków. Trwałoby to dłużej, gdyby nie chorągiewki zatknięte na szlaku i mostki aluminiowe porzucone przez ostatnią wyprawę. A także, gdyby nie siły Barana, na których ukrywanie już nie bardzo zważał. Wysokość już wynosiła sześć tysięcy metrów, i on, jedyny tu nie zaaklimatyzowany, powinien był odczuwać trudności oddechowe. Tymczasem, brał ciężki ładunek od zmęczonego tragarza, dokładał sobie drugi i gnał z nimi na górę, nie dając się najlepszym dogonić. Po pierwszym zaskoczeniu nie byli zbyt zdziwieni. Mówili mu wieczorem, że wśród nich też się zdarzają podobni siłacze.

Western Cwm, Zachodni Kocioł Everestu, nie był tak pusty, jak się tego spodziewał. Zobaczył namioty i przy nich snujących się ludzi, na masztach flagi kilku krajów. Większe to na nim zrobiło wrażenie, niż widok gór nad głową. Po raz pierwszy właśnie ustąpiły chmury, odsłaniając tak wyniosłe ściany, iż z zadartym nosem, jakby z dna studni patrzył na krążek szafirowej emalii w zenicie, wieńczącej zerwy cukru, nawisy lukrowe, wodospady piany, piramidy kryształów. Stałby tak oniemiały pod drącymi się jak gaza mgłami, gdyby nie wzbierający w nim gniew na hołotę. Miał być tu sam, do jasnej cholery! Sam wchodzić na Górę!

Zdobyć ją samemu, znaczyło nie tylko w pojedynkę wykonać działania fizyczne, ale i nie mieć wsparcia także psychicznego. To chciał właśnie pokazać, winien być sam tutaj! On,

jedyny wyzbyty instynktu stadnego, mający w nosie wszelkie słowa otuchy, krzepiącą obecność, serdeczne współczucie, życzliwą zachętę oraz bratnie dusze. Chciał się tu oderwać od całego swojego rodzaju, być samotny, sam w sobie doskonały, silny bez tej siły jaka płynie z gromady, być pierwszą żywą komórką w tym pierwotnym świecie, zdaną tylko na siebie, z przodu, z tyłu i z boków.

Nikt go nie uprzedził o tej zapóźnionej wyprawie. W Kathmandu, gdy się dogadywał z Reuterem, ten też nic nie zdradził, najpewniej nie wiedział, choć po to był tam przez Agencję trzymany.

Baran zszedł ze szlaku kilometr przed obozem, znalazł płaśń lodową nie przeciętą szczeliną i sprowadził tragarzy. Śnieg udeptali nogami i rozbili namiot. Część ładunków ułożyli dokoła, przyciskając okapy. Odprawił ich zaraz, wypłacając umówione sumy. Mieli czekać w Monastyrze Thiangboche i za dziesięć dni znowu się tu zjawić, by go zabrać na dół.

Przyzwyczajeni do zjawiających się z dołu znerwicowanych dziwaków, choć w swym języku nie mieli takiego określenia, sądzili, że jest jednym, co w obliczu szczytów będzie kontemplował. Patrzył w nie, robił zdjęcia, modlił się, rozmyślał nawet, jak ich nepalscy lamowie w podniebnych klasztorach. Pohukując ruszyli w dół lodowca, by, jeśli się uda, jeszcze przed nastaniem mroku dotrzeć do pasterek na hali, pasących tam jaki.

Wieczorem, gdy kocioł był pełen fioleto, a szczyt oblał się złotem, Baran wziął lornetkę i wyszedł przed namiot. Był boso, przysiadł na śniegu w pidżamie i oparty o skrzynkę, mając szkła przy oczach, przeglądał swą jutrzejszą trasę. Trzymał fotografię wręczoną mu przez Reutera, na której ten wyznaczył markerem szlak wejścia klasyczną drogą, przez lodowiec Lhotse i Żebro Genewczyków. Całą drogę Baran miał dokumentować, robiąc sobie zdjęcia aparatem przypiętym do czekana, na tle panoramy.

Reuter, Angliczyna, który zrazu pił po to, by uniknąć tropikalnych chorób, a z czasem dlatego, by nie pozwolić rzeczywistości na przybranie wyraźniejszych konturów, od dawna zagrożony utratą posady, przypiął się jak rzep do Barana, z jego samobójczymi, jak je nazwał, planami. Mieli puścić bombę, pierwszy w dziejach reportaż radiowy bezpośrednio ze szczytu, nadany przez samotnego zdobywcę tej góry. Sam dostarczył aparat, wojskową radiostację ważącą dwadzieścia pięć kilo, z akumulatorem, choć nie mógł uwierzyć, żadną miarą i nawet pijany, że Baran zdoła ją wtaszczyć na Everest. W dodatku krzywił się trochę, że Polak: - Żeby chociaż Arab... - wzdychał, lecz w końcu się zgodził, nic nie ryzykował, a powodzenie, chociażby częściowe, mogło mu uratować posadę choćby na pół roku.

Patrząc przez lornetę, Baran odkrył od razu, że szlak jest przetarty. Z kotła, przez lodospad Lhotse spływający fałdami, jak mleczny budyń, ciągnęły się plamki chorągiewek. A wyżej, w skos wymiecionego zbocza, w lewo, ku Żebru Genewczyków i Przełęczy Południowej, rozsunięły się pajęczce nitki lin poręczowych i paciorki nie zawianych śladów. „Gównno!” - myślał Baran. Nie mógł tutaj czekać, aż wyprawa się zwinie. A dopóki widział ludzi ponad sobą, pustka była zapełniona, samotność połowiczna i wyczyn zmniejszony.

Usłyszał głosy i skrzypienie śniegu. Wstał w zmokniętej pidżamie. Chociaż nie czuł chłodu i siedział jakby w stogu siana. Śnieg topniał od ciepła jego ciała. Czuł się jak foka czy jak biały niedźwiedź drzemący na lodzie. W trzaskającym mrozie dwu ludzi nadchodziło od strony obozu. Schował się pospiesznie i wszedł do śpiwora, aby się nie zdradzać.

Zaproszeni do namiotu, kucnęli w przedsionku. Twarze mieli zeszytniałe i z trudem mówili, szron okrywał brody. Gdy przyszli do siebie, dowiedział się, że to międzynarodowa wyprawa, że są już wysoko, mają obóz powyżej Przełęczy Południowej i już cztery dni temu ruszył z bazy pierwszy zespół szturmowy, by jutro, pojutrze znaleźć się na szczycie. W nim nawet kobieta, chyba rodaczka Barana. Drugi też jest w drodze.

- Ona się nazywa Uurtkyevitsch - wykrztusił Austriak - czy coś podobnego.

- Nie znam - bąknął Baran.

- A co zamierzasz? - Francuz z Chamonix zapytał z kolei.

- Chyba też tam wleżę - stwierdził od niechcienia. - Jestem pierwszy raz w górach - wyznał, patrzył w dach namiotu. Nie chciał od nich niczego, udawał, że nie słyszy kiedy rechotali po jego odpowiedzi. Pragnął ocalenia, pustki jakiej doznał tu w sobie, uciszenia. Niestety.

- Dajże spokój, brachu - zaczęli odradzać - na co się porywasz!

Zamiast odpowiedzi wypełził ze śpiwora. Gdy siedzieli przed nim zakutani w puchy, z czapkami na oczy, buchając parą przy każdym oddechu, otrząsając z siebie kryształki lodu sypiące się z dachu namiotu, on rozpiął pidżamę i wachlował jej połą.

- Nie wiesz co ci grozi! - próbowali tłumaczyć, jęli podsuwać mu nogi przed oczy, ściągać buty filcowe, pokazywać bandażę.

Baran ściągnął pidżamę i goły, przeciągał się, jakby leżał na plaży. Nic nie dostrzegali zajęci podsuwaniem mu przed oczy napisów. Mieli je na sobie, z przodu, na rękawach, z tyłu: Internazionale, Montañ, Ekspedicia, Berge, Jahre, Everest, Sreklich, Magnifike... Winien był się przekonać, że nie są, w odróżnieniu od niego, jak koperty niezaadresowane, jak drzwi bez wywieszek, szuflady bez nalepek, teczki bez napisów, WC bez oznakowania: Panie czy Panowie.

- Zrezygnuj zawczasu! - czytał w ich oczach namowę. - Chcesz się z nami mierzyć? Nie wiesz co cię czeka, jaki mróz jest w górze, jak tam mało tlenu...

Jeszcze się powstrzymał, otworzył okienko przy głowie, wsadził rękę do pachy, wyciągnął garść śniegu i jął się posypywać.

- Kto cię będzie ratował jak odmroziś nogi? - nie dali za wygraną - Wiesz w co się pakujesz? To piekło lodowe, te śnieżne zamiecie...

Baran wreszcie miał dosyć.

- A ja wam tam wejść! - wstał na równe nogi. - I zobaczę czego tak bronicie dla siebie! Teraz won z namiotu! - krzyknął do Francuza - Tata de luxe! - i kopnął go w tyłek swoją bosą nogą. Potem Austriaka - Parfümierter Schwüler!

Gdy zniknęli w mroku pochłonięci zawrozczeniem wichury, ułożył się na noc, a nim zamknął namiot, leżał z wystawioną głową pod gwiazdami, w trzaskającym mrozie, patrząc w blade lśnienie srebrzystych pancerzy wyłaniających się z czarnego nieba. Wydało mu się, że wypchnął już z siebie to spotkanie i w oczach miał tylko, znów jak w dniu Stworzenia, zanim światłość się stała, majaczące w mroku masy materii, gęstniejącego eteru. Bezkształtne i nieokreślone, zestalające się w roztworze ciemności, twory. Znów poczuł się pusty, zdołał wmówić sobie, że prócz tego co widzi, niczego w nim nie ma, został czysty w nicości i jego świadomością były tylko góry.

Usnął i spał długo, a gdy rano wyszedł znów przed namiot, w słońcu zimnym jeszcze jak sople, przez lornetkę zobaczył wysoko na zboczu sznureczek ludzi wysuwający się z górnego obozu, tak wolno sunący, jakby w miejscu stali.

Na dno plecaka wrzucił radiostację z akumulatorem, na to palnik butanowy, dwa patrony z gazem, kilka paczek jedzenia, upchał swetrem, wiatrówką, śpiworem, pod kłapę zwinął materacyk piankowy i płachtę biwakową, do butów przykrępował raki, wziął czekan do garści i ruszył do góry. Niósł czterdzieści kilo, lecz mógł to poznać jedynie po śladach, zapadał się w śniegu głęboko, oddech niewiele się zmieniał, nie musiał przystawać.

Obszedł dalekim łukiem bazę, nie zważając na ścigające go krzyki i wstąpił na ślady wiodące wzwyż zbocza. Gdy spostrzegł, że zostawił w namiocie kamerę, nawet nie przystanął. Szlakiem chorągiewek i lin poręcznych, w chaosie seraków, szczelin, ścianek, rumowisk, progów i zaułków lodowych, pokonał do południa, nie odpoczywając, osiemset metrów podejścia.

Na wysokości siedmiu i pół kilometra, u początku trawersu wyprowadzającego ze ściany Lhotse na Przełęcz Południową, dogonił sześciu ludzi. Szli łańcuszkiem, związani jedną liną, niezmiernie wolno przestawiając nogi. Zmęczenie sprawiło, że co kilkadziesiąt

kroków, zwisali pod ciężarem plecaków i dyszeli wsparci o czekany. Właśnie w takiej chwili począł ich wyprzedzać, zszedł z przetartego szlaku i obchodził dołem. Ostatni na linie, Szwajcar, przykryty swoim narodowym sztandarem, jak koń bojowy kapą, drgnął na widok Barana i krzyknął:

- Achtung! Już tu przylazł!

Można było stąd zgadnąć, że się dowiedzieli przez radio co tam zaszło w dole. Jak jeden mąż, wszyscy sześciu odwrócili głowy, gapiąc się bez słowa.

- Salü! - pozdrowił ich podnosząc palec do czoła, a gdy nie dostał żadnej odpowiedzi, zapytał - Przepraszam, tędy na Everest!? - począł grzebać w kieszeniach udając, że szuka. - Wyciąłem sobie z gazety opis tego spaceru, zalecają dla zdrowia... Państwo też tam idą? - to mówiąc nie przestawał kroczyć wzdłuż szeregu ciemnych okularów, on jeden bez czapki oraz z odsłoniętą twarzą. Dopiero gdy się znalazł obok prowadzącego ten zespół Anglika, ten, ujrzawszy, że zaraz będzie wyprzedzony, ze złością zapytał:

- Gdzie się tu pakujesz?

- A co, nie w tę stronę? - udał głupka Baran, jeszcze miał cierpliwość. - Zresztą, byle w górę... - wypiął pierś do przodu. - Tylko się wypróbować, pokonać swą słabość... - oznajmił nieśmiało.

Anglik zamilkł jak zamurowany, za to drugi z kolei, z gębą wysmarowaną białą pastą do tenisówek, dla ochrony przed promieniowaniem ultrafioletowym, poradził głuchym głosem:

- Lepiej spylaj na dół! My mamy rezerwację do końca sezonu!

- A ja nie mam! - radośnie odparł Baran - nie mam też okularów, ciepłych kałesonów, pastylek na kaszel i na przeczyszczenie, butów wysokościowych i butli tlenowej! Ciao! - kiwnął dłonią. - Spotkamy się jak będę schodził już ze szczytu! - odwrócił się i wywijając jak laseczką czekaniem, ruszył w poprzek strasznego skłonu, który kilometrową pochylnią lodową sprowadzał na dno Kotła Zachodniego.

Nim zrobił trzy kroki, alpiniści jednym ożywieni duchem, jedną myślą, jakby ona przebiegała z szybkością prądu wzdłuż liny, rzucili się biegiem po śladach, by odciąć mu drogę. W spokojnym powietrzu rozlegały się świszczące oddechy, w ciężkim truchcie zadzwoniły raki. Po dwudziestu krokach wysiłek okazał się zbyt duży, poczęli już zwalniać, potykać się, choć jeszcze ich pchało wzburzenie, jeszcze podbiegali, a w ich zamglonych oczach ćmiła się postać Barana, lekko biegnącego obok, z czekaniem nad głową. Gdy oni wypluwali już płuca, on donośnie jodłował.

Skończyło się na tym, że jeden za drugim padał na kolana, kładli się na brzuchy, czołami na lodzie, rżąc, chrypiąc i dysząc. Baran też się zatrzymał, zaczekał, aż ich wysadzone oczy powrócą w orbity, a języki wywalone na brody znowu się schowają. Z niezakłóconym oddechem cały czas podśpiewywał „Begin The Beguine”, potem w stronę człowieka, który nie mogąc się ruszyć tylko przyszpilał go wzrokiem, zawył pełną piersią: „Volareee... ahahaha...”, zaś na zakończenie, Niemcowi, gdy ten spojrzał niebacznie w jego stronę: „You're the Boogie Woogie King!” Wreszcie, gdy się upewnił, że wszyscy wrócili do życia i zdolni są zrozumieć co mówi, wstał na sznureczek śladów prowadzących ku górze i wzniósł dłoń w pożegnalnym ruchu.

- Teraz popatrzcie jak się chodzi po górach. Zaraz będę na przełęczy, a jutro na szczycie. Ktoś chce coś powiedzieć?

Szwajcar nie wytrzymał:

- To są nasze stopnie! Nie ty je wykułeś!

- I nasze obozy! -zawtórował mu drugi - Nie waż się zbliżyć do naszych namiotów!

- To mi przypomniało... - rzekł Baran swym niewinnym tonem - że właściwie nie macie już tam po co włączyć. Tutaj, w tym plecaku - obrócił się bokiem by lepiej widzieli - niosę radiostację wojskową, dwadzieścia pięć kilo, dla mnie to fasola! I wiecie co zrobię? Podłożę

wam świnie! Jak tylko wejdziecie na czubek, ja nadam wiadomość dla agencji światowych, ale tylko o sobie! Mam umowę z Reuterem... O tym, że sam wszedłem od samego dołu, bez obozów, z noclegiem na śniegu, w dwa dni i bez tlenu, niosąc wszystko na plecach. Nadam też, że spotkałem wycieczkę emerytów, to o was, i żeście zawadzali w drodze. Odtąd będziecie tacy pomniejszeni - pokazał palcami - i zawsze będą was widzieć przez moją osobę, jak się widzi przez mrozoną szybę, niewyraźnych, małych. Myśleć o was będzie można tylko z pobłażaniem, resztę wiecie sami!

Ruszył, a w tej samej chwili, Anglik, stojący tuż za nim, syknąwszy:

- Miara się przebrała - i - „Long Live the Queen!” - odwinął się, wziął zamach czekaniem i jego cienkie ostrze chciał wbić w plecak Barana, tam, gdzie pod cienką tkaniną rysował się prostokątny kształt skrzynki radiowej.

Baran złowił ruch kątem oka. Będąc sobą dawnym nie zdołałby uciec, lecz teraz, poddany przemianie, ze zmysłami wyostrzonymi jak u leśnych zwierząt, z łatwością uskokzył.

Anglik, trafiwszy powietrze, runął w dół na głowę, grzmotnął w lód jak worek i począł koziółkować. Naprężywszy linę porwał za sobą następnego, ten wyleciał jak z procy i choć próbował ryc skorupę czekaniem, jechał za Anglikiem. Szarpnął trzeciego z kolei, czwarty się też nie utrzymał, bo wbicie czekana w lód było niemożliwe. Gdy piąty wylatywał w powietrze, Baran znalazł się przy nim, z siłą młota parowego wraził czekan w zmarzlinę po samą rękojesć i przerzucił linę. Wówczas, ostatni z zespołu, Szwajcar nakryty narodową flagą, przyciągnięty do drzewca nylonową żyłą, powstrzymał upadek całego zespołu.

Leżeli bezwładnie, gramoląc się i dysząc. Baran czekał aż się podniosą, ale sił nie mieli. Anglik, przywalony plecakiem, wisiał głową na dół. Inni grzebali konwulsyjnie nogami, próbując zaczepić lód zębami raków. Widząc, że bez niego nie wstaną, począł im wykuwać stopnie, brał kolejno pod pachy, podnosił jak dzieci i stawiał na nogi.

- Może cię wysadzić? - spytał tego z bielidłem na twarzy - Pipi?

- Łatwo się naśmiewać... - rozmazał się wspinacz - Lepszy jesteś od nas i to cała sztuka.

- Tutaj cię złapałem! - Baran, wskazującym palcem, dotknął jego nosa obłażącego ze skóry - O tę lepszość chodzi! Tutaj mi mówisz, że być lepszym to żadna zasługa, ale tam, w dole, dobrze to sprzedajesz! Zamiast mnie, powiedz to tym na nizinach! Tym czytaczom gazet! Tam swoją lepszością zapędzasz ich w fotel... Biały świat nadludzi! Pokazujecie się im na ekranach i nic nie mówicie, że co drugi z nich może dokładnie to samo - niech drętwieją, niech w palce chuchają przy kaloryferze... Te wasze zmagania to wcale nie z okrutną naturą, ani nie ze sobą, ale z wygapiaczem-się-na-telewizor, pantoflarzem! Jego chcecie czarować, dla niego tak sapiecie, smarujecie kremami, niech wie jaki wysiłek, jak trzeba się zmuszać, prosić każdą nogę by wyżej stanęła. Dyszycie w mikrofon, gwizdźcie jak wichura, sypiecie styropianem spod wentylatora, puszczacie lawiny ze zbiornika w klozecie; każdy oddech to dolar, a najlepiej się zabić, wtedy to Kanada!

Zostawił ich i poszedł. Dopóki nie zniknął, żaden się nie ruszył. Śledzili go zezem, ukradkiem, zza ciemnych okularów, jak swobodnie kroczy, lekko jak w dolinach, wstępuje po zboczu, idzie ku tarczy słońca w aureoli promieni, ku niebu z ciemnego granatu i znika za wybrzuszeniem Żebra Genewczyków.

Szlakiem lin poręcznych umocowanych do lodowatych haków, wspiął się na Przełęcz Południową i zatrzymał tam na noc.

O zachodzie Everest przez chwilę był złoty i powiewał ze szczytu złocistym sztandarem śniegu, miecionego wichurą. Gdzieś w połowie grani czerwieniały dwie plamki namiotów. Baran znalazł dołek w zakolu zasy pod głazem, rozwinął swą piankę i skrył się głową w płachcie biwakowej. Jadł długo w zacisznym półmroku i, nieczuły na zimno, zasnął z zapadnięciem nocy.

Obudził się późno, widoczności nie było. Ruszył dalej w chmurach przelewających się z Tybetu do Kotła Zachodniego. Minał pusty już obóz i po świeżych śladach dogonił czwórkę

ludzi. Zdołał ich rozwścieczyć, ledwo się pojawił. Nim jasno pojęli, że szalenię zapowiadany przez radio już się przy nich znalazł, on obszedł ich w koło i gramolącego się w pionowym kominku wspinacza, wyciągniętą ręką podsadził nad przeszkodę. Uchylił głowę przed morderczym kopnięciem rakami i zwracając się do najbliższej zamaskowanej postaci, uprzejmie zapytał:

- Bardzo mi przyjemnie, koleżanka z Warszawy?

- C'est pas moi, to tamten! - zachrząściło pod maską tlenową.

- O, pardon monsieur! - Baran umiał się znaleźć, odwrócił głowę ku następnej osobie - Czy to pan jest panią?

- Nie wejdiesz przed nami! - ostrzegła Uurtkyevitsch, wpijając w niego zaśniewane oczy - Posłuchaj, kochany... Co mamy czarować, nie jesteś dzisiejszy! Jak jest, to wiadomo, każdy chce coś z życia - rozwijała swą tezę. - Zrobmy tak, żebyś ty dostał swoje i nam pasowało! Jest do zakoszenia dwusetne, dwieście pierwsze i dwieście drugie wejście na Everest. To dla nas. Ty możesz być dwieście trzeci!

- Mogę? - spytał Baran, niby z roztargnieniem, obejrzał się ku czwartemu na linie.

- To tylko Szerpa - wyjaśniła Uurtkyevitsch - jemu nie zależy. Wiedziałam, że nie zechcesz mi zrobić koło pióra... - zalotnie dodała.

- Nie zechcę? - powtórzył i nie wiedząc sam kiedy, znalazł się na progu. Śnieżno-skalnym ostrzem, w kilkanaście minut dotarł na wierzchołek. We mgle nie było nic widać. Zostawił tam plecak i natychmiast zawrócił. Spotkawszy sunących naprzeciw wspinaczy, jął im wykrzykiwać:

- Dwusetne już zrobione! Teraz będzie dwusetne pierwsze! - znów pobiegł przed nimi, dotarł do wierzchołka i zawrócił na dół.

Nie patrzyli na niego, brnęli krok za krokiem, wkładając wiele uwagi w to, by nie stawiać butów na śladach Barana. Udawali, że go wcale nie widzą, że są sami na górze, a on nie istnieje. Gdy tylko zrozumiał jak bardzo pragną ocalenia wyczynu, dopadł pierwszego na linie, chwycił oburącz i zarzucił na ramię.

- Ja cię na szczyt zaniosę! - wrzasnął w zalodzone ucho.

- Puszczaj! - śmiertelnie przeraził się złapany - Nie chcę! - wierzgał w panice - Ja sam, ja sam, do cholery! Zostaw... - począł błagać, czując jak uchodzą mu siły - I co ty mi robisz... - maska spadła mu z twarzy, bezsilny jak dziecko bił pięściami Barana, gdy ten, nie zważając, rwał z nim ku szczytowi, wlokąc pozostałych. - No i coś mi zrobił... - zapłakał nieszczęsny, rzucony na wierzchołek.

- A co? - zadrwił Baran - Źle ci, no to zejź kawałek i wejź sam po raz drugi!

- Kiedy nie mam siły...

- Nie martw się - Baran pogłaskał go po głowie - nikomu nie powiem.

Z gęstej mgły wysunęła się reszta zespołu. Podeszli, tylko Szerpa pozostał na długość wyprężonej liny. Wpatrzony w Barana, ściągnął z głowy kapuzę i drżąc całym ciałem, dłonią czynił znaki na czole, ustach i piersi.

Baran ustąpił z najwyższego wzniesienia:

- Aaa! Kobieta, proszę! - powitał Uurtkyevitsch - Winszuję! Wnieść biust i to biały na taką wyżynę, to szczególna zasługa, tylko dwa żółte, azjatyckie tu były! A może mniej obfite? - zapytał sam siebie i zastanawiał się dalej - Może lżejsze przez to, więc łatwiejsze w dźwiganiu? Tak, lecz wówczas z kolei nie tak opływowe, więc znów utrudnienie wynikłe z praw aerodynamiki!

Nic nie było widać w tumanie, zrzucili plecaki. Ledwo oddychali, on śmiał się i używał swoich płuc bez miary. Szykowali się z powagą do zdjęć z proporcami, odczuwali wzruszenie, on śpiewał „Milonga” i „Wisła dołem płynie”.

- Kobieta? A gdzie dowód dla prasy? - przyczepił się znów do Uurtkyevitsch - Coś trzeba pokazać! Zawsze się znajdzie jakiś niedowiarek i cały wysiłek na nic. Ja też się rozbiore -

wyraził gotowość - będzie widać różnicę! - jął rozpinać pasek. - Tyle samozaparčia niech się nie zmarnuje!

- Odpieprz się ode mnie! - Uurtkyevitsch, wpijając w niego zaśnieżone oczy, wzięła zamach czekanem.

- Aj, waj! - odskoczył Baran w udanym przestkach, lecz nie przestał gadać. - Ciekawe - zapytywał - czy było już pierwsze wejście kulawego? - pokuśtykał w koło - A kogoś z przepukliną? - przycisnął pachwinę - Ludzie! - palnął się w czoło - Ile jeszcze pierwszych wejść jest do zrobienia! - Szpotawy tu nie był, inwertyta, albinos! A czy po damskim i męskim wejściu, nie czas na obojnaka? A jeśli... - przyszło mu do głowy - ktoś pleć zmieni po zdobyciu góry, to jak się wejście liczy? Do męskich czy kobiecych? - zamilkł przypomniawszy sobie o Reuterze.

Wysypał radiostację z plecaka i wysunął antenę, podłączył baterię, kręcił pokrętlami, aż złapał połączenie.

- Halo, halo! Skąd mówisz? - rozległo się z głośnika pytanie Reutera.

- Zrobione! - krzyknął Baran w mikrofon. - Tu kabaret Everest!

- Przestań się wygłupiać... dotarłeś do bazy?

Już nie odpowiedział, gdyż wiatr powiał w tej chwili i przegonił chmury. Zaraz wyszło też na jaw, że zmyleni przez mgłę i przez Barana, stoją nie na głównym lecz na południowym szczycie. Troje alpinistów z ożywioną nadzieją jęło się szykować do drogi. Zerkali na Barana, pewni, że ten ruszy przed nimi, nikt nie chciał mieć go za plecami. Lecz on się nie ruszał, jakby stracił ochotę. Wszedł na radiostację, z podwyższenia, z rękami w kieszeni patrzył w stronę Tybetu. Z pudła dochodziło nawoływanie Reutera. Zamiast odpowiedzieć, podrygiwał nogą, nucił coś pod nosem. Zaczynało mu świtać coś poważniejszego niż ta dziecinada. Szukał tego w sobie. Już się wykluwało w sercu, w głębi duszy...

Chcąc nie chcąc, poszli wreszcie gęsiego. Tylko ostatni, Szerpa, mijając Barana, zatrzymał się jak wryty i nie dał się ruszyć choć Uurtkyevitsch szarpała za linę.

- Kształcie objawiony! - bąknął - Zostanę tu z tobą!

- Bloody karahdoorah! - pieklił się Reuter w głośniku. - Wlazłeś na ten kopiec?

Baran zszedł bez pośpiechu, powoli wzięła zamach i kopnął radiostację w przepaść.

Szerpa uderzył się w piersi i padł na kolana.

- Ojczy świata! - mamrotał - Słowo objawione!

Baran spojrział na niego. Tak, zaczynał pojmować swoje przeznaczenie. Ile mógł dać z siebie! Wszak Słowo, nie pięść było najcenniejszą z rzeczy. A on przecież Wiedział. Jak Nauczyciele, z nieodpartą siłą, przenikał treść istnienia.

Uurtkyevitsch wpiła w Szerpę zaśnieżone oczy:

- Prędeż, samcze nasienie!

- Sahini - odparł z godnością - choć chcesz połknąć Matkę naszą, Górę, jesteś tylko kobietą i mnie nie zrozumiesz, ja dobrowolnie pozbawiam się Góry...

- Naprzód! - zrobiła dwa kroki by go szturchnąć czekanem.

- Nie! - odparł i odwiązała linę - Przenajświętsze Przybycie! - powiadomił Barana - Wyrzekam się tego!

- Dobrześ zrobił, synu! - pochwalił go Baran, gdy Uurtkyevitsch odeszła śladem towarzyszy. - To jest tylko wata, którąś się chciał wywatować, by zabić lęk, który czujesz w obliczu wszechświata, a to niepotrzebne, bo sam jesteś wszechświatem - uniósł ręce w górę.

- Święte Wyjaśnienie - spytał Szerpa z pokorą - dlaczego mnie to wsysa? Nie chcę iść na szczyty, ale coś mną porusza. Co mną powoduje?

- To nadzieja, synu - Baran nie dał mu czekać. - Twoje spodziewanie, że zdołasz się zmienić, wznieść i przeistoczyć siebie przez połknięcie Góry. Bo kiedy jej imię zrośnie się z twoim imieniem, cząstka jej wielkości przypadnie i tobie. Tak uległeś złudzie, bo prawdziwej wielkości w tym nie ma.

- Rzekłeś, Boskie Wspinanie! - Szerpa westchnął w pokorze. - Więc na próżno wchodziłem?

- Niezupełnie, mój synu! - pokrzepił go Baran. - Zostało wchodzenie, dokonany wysiłek i twoje pragnienie, które najwięcej waży na ścieżce do wiecznego bytu.

- A więc on istnieje?

- Jego nadzieja dana jest żywej istocie - odpowiedział Baran.

- Zejdę teraz w niziny - zapowiedział Szerpa - i do szałasów na halach zaniosę Nowinę o twym objawieniu.

- Zrozumiałeś mnie, bracie... - Baran rozpostarł mu ręce nad głową, pozwolił biec mu przodem, po czym rozpoczął schodzenie, które trwało tydzień.

Zatrzymywał się w drodze na wyniosłych skałach, na szczytach seraków, tkwił ponad chmurami, w prawie czarnym niebie, śledził spadające lawiny, dudniące zlebami jak pociągi w tunelach. Nie baczył, że wspinacze wracający ze szczytu już go wyprzedzają. Teraz on unikał ich widoku, patrzył niewidzącym spojrzeniem. I Szerpa dawno przepadł w dolinie.

Zstępował krok za krokiem, jak gdyby wsłuchany w echo swej przemowy i jakby jej znaczenie dopiero teraz dotarło do niego. Oglądał się na Górę Lśniącą przy księżycu, w słońcu czarno-białą lub owianą mgłami, jakby oczekiwał, że ona coś mu jeszcze objawi, lecz ona milczała.

Siódmego dnia zstąpił do Kotła Zachodniego, przeszedł obok bazy wytykany palcami, dotarł do namiotu. Znów siedział pod słońcem i przewiany wichurą próbował zebrać rzeczy, wcisnąć do plecaka. W końcu tego poniechał, porzucił swój namiot i cały dobytek. W rozciągniętym swetrze nawleczonym na gołe ramiona ruszył ku dolinom.

Nim przebył kilometr już go dogonili. Usłyszał chrzęst śniegu, lecz się nie odwrócił. Nadbiegli półkolem, kto tam żyw był w bazie, dyszeli tuż za nim. Choć z łatwością mógł uciec, jeszcze zwolnił kroku. Rzucili się tłumem i nakryli go sobą. Czuł, że dość ma siły żeby strącić ich z siebie, ale palcem nie ruszył. Poczęli tłuc go i walić. Obserwował kułaki jak z wolna spadały, mógł ich łatwo unikać, a jeszcze się podstawiał. Jak Nauczyciele co zawsze cierpieli od tłumy. Pojmował, że w ten sposób, za sypane jej perły, odpłacała Małość. Ale on był po to, aby wszystko znosić i nadal nieść Słowo.

Nos mu rozkwasili, rozplatali ucho i nabili limo. Żaden z nich nie wiedział skąd się bierze ta wyższość Barana, ale węszyli w nim coś nadludzkiego i to chcieli zmiażdżyć. Gniotli obcasami jego wyjątkowość, tym bardziej jątrzeni, że się wcale nie bronił. To ich też dręczyło, więc wzmacniali ciosy.

Puścili go wreszcie zmęczeni i poszli do siebie. Baran leżał bez ruchu rozpostarłszy ramiona, jak krzyżem przybity do lodu. Nic nie czuł, nic go nie bolało. Patrzył prosto w niebo i tylko kurczył i otwierał pokrwawione dłonie. Leżał, póki się nie przekonał, że nikt nie patrzy na niego, tylko wiatr gwizdał nad lodem. Gdy nic się nie działo, dał spokój, wstał i powłókł się dalej. A choć marnego psa nie było w pobliżu, jeszcze powłóczył nogami, rozhuśtywał bezwładnie ramiona, chcąc by krople krwi z palców padały i zraszały śniegi. Lecz nic nie kapowało.

Zaszczepiona w nim siła przywracała mu zdrowie, wybielała siniaki i plamy fioletu, znieczulała stłuczenia, wchłaniała nacieki, zasklepiiała zranienia. Została tylko krew rozmazana po skórze. Tak, czerwony i okryty strupami, przebył całą drogę i dotarł na halę. Tam rzucił się na siano w napotkanym szałasie. Tam też go znaleźli zwołani przez Szerpę pasterze i pasterki i samotni mnisi z górskich monastyrów. Dostrzegli dalsze znamię boskości w takim pokrwawieniu, obmyli go kłębkami wełny, najmniejszej, z brzucha jaków, maczanymi w rosie. Gdy chciał sam to zrobić, usłyszał od młodego mnicha:

- Przecucie nam mówi, że mamy czcić Niezwykłe Zjawienie, budząc co w nas najlepszego, łagodność, gotowość posługi...

- Święte Obnażenie - zapytał stary pasterz - wieczór zapadł w Himalajach, nim wygło-

sisz poranne kazanie, czym cię mamy ukoić?

- Widziałem czarnowłose pasterki jedwabistych jaków - odparł na to Baran - a w ich oczach, ciemnych niby górskie stawy, zarazem ogień i słodycz.

- One czekają, Pielgrzymie - odrzekli - byś je napełnił jak spragnione dzbany.

- Niech więc wchodzą zaraz - przyzwolił - a ja im zostawię cząstkę mnie samego, ziarno, które wszędzie w ich łonach, narodzi się i będzie żyć z wami.

- Błogosławiona ta chwila! - westchnęli, cofając się ku wyjściu zawieszonemu skórami.

- Niech się palą bierwiona - poprosił - a mężczyźni niech śpiewają mantry dokoła szałasów.

Leżał wyciągnięty pośród blasków pełgających w mroku, a one wchodziły, rozpinają klamry swych mosiężnych pasów i siadały na nim w rozchylonych guniach, okryte jak namiotem. Trudziły się, gdy on patrzył w ich zamknięte oczy, w usta rozchylone szczeliną, skąd błyskały zęby niby kość słoniowa. Śledził ich pełne policzki, wyszczypane przez mrozy, jak nabierały koloru, wargi jak pęczniały. Ich oddech się przyspieszał, piersi kołysały i wyrwały z za połów szorstkiej, zgrzebnej wełny, białe niby himalajskie śniegi, z czubkami różowymi, jak szczyty gór o pierwszym świtanie. Dostrzegał, jak na koniec pękały ich powieki ukazując niewidzące źrenice, z ust wyrwał się jęk, fala gorąca na brzuch mu spływała, a wtedy, sam sprężony jak struna, z lędźwi objętych słodyczą i on też wybuchnął, pękał jak pęk wyrzucający życiodajne soki. Wstrząśnięte tym cudem, nieruchomiały wsłuchane w swe wnętrza. Ciche, trwały przez chwilę, po czym odchodziły, zatulając poły.

O wczesnej godzinie, uchyliwszy skóry, Baran wyszedł na zewnątrz, rześki, jak po nocy głęboko przespanej, bosy, jak na pielgrzymia przystało, goły, tylko rozciągniętym swetrem przepasany u bioder i, w jasnym promieniu, zasiadł pod wiekowym cedrem w pozycji lotosu. Wówczas mężczyźni obsiedli go kołem, szepcząc:

- Będzie nauczał...

Nie śmiejąc wpatrywać się w jego oblicze, patrzyli mu nad głową, przez gałęzie, nad ciemny dach szałasów, gdzie w przeczystym niebie stała szklana góra, Sagarmatha, cała jarząca się światłem kryształu, doskonale czysta, pozbawiona znaczeń, ucieleśniony niebyt, nirwana zestalona w bryłę.

- O, bracia! - przemówił - Zstąpiłem z wyżyny, aby was objaśnić czym jest ludzkie życie. Dowiedzcie się przeto, że ciało jest niczym i jego postać nie ma żadnego znaczenia w obliczu wszechświata. Zaś tym co się liczy, jest wasza świadomość oraz jej odmiany. Właśnie ona sprawia, że raz się stajecie łotrem bezlitosnym czy wyrodnym synem, a w następnej chwili możecie być już kryształem miłosierdzia i kwiatem współczucia.

- Możemy? - spytali nieśmiało.

- Nie całkiem, niestety! - odpowiedział im szczerze - Tak jak jest w was pragnienie do przeistoczenia siebie, tak jest też i opór przeciw wszelkiej zmianie. Minione doświadczenie tak już was oplata, że chociaż nikczemne, łatwiej się go trzymać, bo bliskie i znane, niż się przemagać i próbować innego. Niż sobie zadawać wysiłek narodzin od nowa. Lecz starajcie się, bracia, gdyż to tylko wam dane, pragnijcie, dążcie i chciejcie, bowiem to was zbliża do Najpierwszej Siły... - tutaj głos zawiesił, urwał swą przemowę i pozostawił ich własnym domniemaniom.

Wśród świergotu ptaków jał się zbierać do drogi, a widząc jego zamyślenie, nikt nie odważył się już o nic pytać, odstąpili na bok. Tylko stary zakonnik, budda w szafranowej szacie siedzący na uboczu, skinięciem dłoni przywołał Barana. Ten podszedł i usiadł, nieoczekiwanie dla samego siebie, zniewolony łagodnym uśmiechem.

- Synu - powiedział lama głosem szemrzącym jak powiew - plotleś nie rozumiejąc, choć była prawda w tym co powiedziałeś. Jesteś obdarzony, choć nie znasz twego daru, ani nie wiesz jak właściwie go użyć. Jesteś już na ścieżce, choć jeszcze jej nie widzisz i kroczysz w niewłaściwą stronę. Jeśli nie chcesz jej stracić, zaniechaj tych nauk. Nie sądź, że możesz

kogokolwiek uczyć prócz siebie samego. Nawet cień przekonania o własnym znaczeniu zawraca cię z drogi. A teraz posłuchaj.

Za plecami lamy widział Baran jaki. Spod ich zwichrzonych grzywek, zwisających na oczy, bystre, wesołe źrenice patrzyły w Barana jakby z lekką kpina.

- Widzę cię przejrzyscie - ciągnął stary lama. - Człowiek jest świetlistą chmurą, jest obłokiem światła podtrzymywanym przez własną świadomość. Twoja jest okaleczona. Jest potężna zarazem, wywiera przemożne działanie, ma siłę kształtowania, lecz jest całkiem ślepa. Spróbuj zważyć, synu, co z ciebie zostało. Cały świat tak zmałał w twoim mniemaniu, że zostały z niego tylko twoje urazy i żalosne pragnienia. Uwierzywszy w swą siłę, widzisz tylko siebie i tylko się miotasz. Tylko inne świadomości ograniczasz, rozbijasz, chcesz zmieniać zamiast się dostrajać i harmonizować z nimi. A wszystko dlatego, że jesteś uśpiony. Tylko najbardziej zewnętrzna powłoka twych odczuć i wrażeń, cienka jak skórka ziemniaka, tobą powoduje. Pozwól, by twe wnętrze też się odezwało. Bo dotychczasowe działania prowadzą do rozpadu. Nie innych, lecz ciebie.

Jaki ciągnęły za sobą długie frędzle włosów zwisające do ziemi. Nad zielenią hali rysowały się, niby solne kryształy stojące na niebie, oblodzone góry. Złomowisko bieli odległe tak jak glob lodowy wschodzący spoza horyzontu trawy.

- Pojmij, synu - brzmiały znów łagodne słowa - winienes się przyczynić do trwania, budować sieć bytu, wspierać własne i innych istnienie. To co dotąd czyniłeś tylko rozbijało, kruszyło tkankę wszechistnienia. Jeśli będzie tak dalej pierwszy rozsypiesz się w popiół. Teraz odejdz w pokój.

Baran wysłuchał i odszedł, nie dając nawet znaku, że pojął te słowa. Jedna z pasterek, mniej niż inne nieśmiała, uwieńczyła go wieńcem świeżych dzikich kwiatów. Ruszył w dół doliny i wkrótce znikł im z oczu. Zbiegając ku Kathmandu przez lustrzane tarasy wodnych pól ryżowych, myślami był już daleko.

8.

W domu tymczasem nic nie zaszło, prócz tego, że przez okno, którego nie domknął wyjeżdżając, deszcz zalał podłogę. Ledwo wszedł między cztery ściany poczuł, że się dusi. Już nie był zdolny zostać tu na dłużej. Rzucił się na tapczan by doczekać rana i wodził oczami po ogołoconym pokoju. Dostrzegł w pewnej chwili, zapomniany pod ścianą, otwierany model egipskiej piramidy.

Z nieoczekiwaną jasnością, jakby teraz czytał, przywołał przed oczy zwariowany artykuł, który niegdyś, jako student na politechnice, studiował nocami. Nieznany autor jasno wykazywał - ku hańbie historyków i archeologów utrzymujących, iż piramidy to wytwory kultu zmarłych i miłości sztuki - że należy w nich widzieć zwykłe chemiczne fabryki.

Nie mogąc teraz zasnąć, wspomniął owe wywody o własnościach materii ukształtowanej w postaci ostrosłupa, o określonych kątach i zależnościach wymiarów, o samoistnym powstawaniu pola siłowego w tak stworzonej bryle i ukierunkowanym przebiegu wolnych elektronów. I o tym, na koniec, że proste urządzenie, złożone z elektrod i kondensatorów, umieszczone tam, gdzie w piramidach jest rzekoma komora grobowa, dokonuje w sposób ciągły syntezy chemicznej mocznika ze składników czerpanych z powietrza i zawartej w nim pary, w ilościach proporcjonalnych do masy całej bryły.

To właśnie miało sprawiać, że w dawnym Egipcie muł nilowy był żyzny, bynajmniej nie sam z siebie, lecz co roku nawożony mocznikiem i stąd dawał plony, które pozwalały

sprzedawać egipską pszenicę do odległych krajów. I właśnie oparte na moczniku leki miały dać sławę medyczną egipskim kapłanom.

Wtedy przed dwudziestu laty, skończyło się na lekturze, lecz teraz Baran nie był dawnym sobą. Teraz wiedział, że nie ma rzeczy niemożliwych. Zeskoczył z tapczanu, by bez zwłoki wykonać własne doświadczenie. Działając jak w transie, rozbił magnetofon, z żelazka wyrwał płytki mikowe. Upadło mu przy tym z hukiem na podłogę i z niższego piętra rozległo się stukanie w sufit. Zbyt był niecierpliwy by czekać na otwarcie sklepu z częściami radiowymi. Zbiegł na podwórze łomocąc butami po schodach i sprawił, że rozczochrane głowy poczęły się wychylać ku pustym jeszcze butelkom na mleko. Z kołka na garażu sąsiada ściągnął pęk zużytych kabli i przewodów.

Ześciubiał elektrody, łączył je drutami, na koniec umieścił swą konstrukcję wewnątrz piramidy i podstawił talerz. Z otworka począł ściekać strumyk płynu. Powąchał, dotknął językiem. Z pewnością nie była to woda. Talerz napełnił się, strużka płynęła po stole, byłaby zalała podłogę i całe mieszkanie, gdyby nie zdjął gipsowego czubka piramidy.

Baran oszołomiony, nie wiedząc czym bardziej: ograniczeniem umysłu ludzkiego, wielkością dawnych mędrców, prostotą maszyny czy horyzontami jakie otwierała, rzucił się by ponawiać próby. Rozbierał i na powrót składał urządzenie. Odsłaniał komorę, wyjmował elektrody i cewki, oglądał je, składał, piramidkę zamykał i... ciurkało znowu!

Przed wieczorem, gdy otrzymał wyniki analizy chemicznej: wodny roztwór mocznika, dokładnie już wiedział co dalej ma zrobić. Kilka dni upłynęło nim znalazł się na promie. Stojąc przy relingu patrzył na horyzont szary i zamglony, czekając na ukazanie się szwedzkiego brzegu. Morze kołysało, pusto było przy barze, gdzie wreszcie zawędrował przez równie puste pokłady. Usiadł nad szklanką grzechocząc lodem i postawił obok górną część piramidy. Wyglądała jak przycisk na biurko z białego kamienia.

Znów go nawiedził Vujkovič. Baran, choć nie palił się zbytnio do tego, pochłonięty zamiarem, który przeprowadzał, nie zdołał jednak nic na to poradzić, gdy zabrzmiały mu w głowie słowa Vujkoviča o mierności władzy. Jugosłowianin, dzięki osobliwości swojego położenia, naturalnie pozbawiony wszelkich, jak się wydawało, możliwości działania, z pewnością pojmował to w szczególny sposób i nie wiadomo dlaczego, zechciał się tym podzielić z Baranem.

Twierdził, że jego ograniczone odcięcie od możliwości wpływania na cokolwiek i kogokolwiek, zbliżyło go do wolności prawdziwej: wolności od potrzeby działania. Baran, zbyt oczarowany wizją tego co właśnie chciał wprowadzić w życie, nie mógł z nim podzielać aż tak skrajnego widzenia. Wysłuchał, zapamiętał, być może, po czym dość brutalnie wypchnął Vujkoviča z głowy.

Zszedł na ląd w Ystad, przy siąpiącym deszczyku, z torbą plastikową bananów, kupionych na promie, i z leżącą pod nimi, w dwu osobnych kawałkach, piramidką Cheopsa-Barana. Nim znalazł autobus, w swej koszulce polo przemókł aż do skóry. Kiedyś trząsnął się może i dostał kataru, teraz nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Podobnie jak i spojrzenia czystych Skandynawów, podejrzliwie mierzących spod swych parasoli zmokniętego typu z rękami w kieszeni i strąkami włosów przylepionymi do czoła.

Do Uppsali jechał na pół pustym wozem, w którym, prócz kierowcy i niego, był tylko męsko-żeński pododdział Armii Zbawienia. Tryskając wewnętrzną pogodą, chórem wyśpiewywali psalmy na melodie przebojów. Zrazu słuchał ciekawie, jak muzyka „Złotej Łodzi Podwodnej” służy słowom „Zanurzymy się w Panu...” Spróbował spać, gdy go to znudziło, aż w końcu, gdy nie dali mu drzemać, jął się niecierpliwić. Nie widząc innego sposobu, ze swego miejsca na końcu autobusu, ryknął:

- Baa... czność! Do raportu staa...waj!

Zamilkli zmieszani, jeśli się oglądać na niego, to znów kapitana, który nimi dowodził. Ten, zamiast dać spokój Baranowi, który zamknął oczy i udawał, że drzemie, wychylił się ku

niemu z fotela i tubalnym głosem spytał:

- Bracie, coś cię niepokoi?

- Decybele! - odparł Baran nie otwartymi oczu - i nie żaden „bracie”, kukło mundurowa!

- Lżysz mnie - podjął natychmiast kapitan z zawodową wprawą - gdy my się troszczymy o twoje zbawienie!

- Własnego wam mało? - nie wytrzymał Baran, choć miał szczyry zamiar uniknięcia tym razem awantury, zbyt dobrze pamiętał czym się one kończyły.

- Będzie jak Bóg rozkaże! - niby z tuby spiżowej zadźwięczało ufne i dziarskie przekonanie, iż co do przychyłnej treści owego rozkazu nie może być wątplenia, rzecz jest zaklepana.

Ten ton jak iskra poderwał Barana.

- Tu ja rozkazuję! - huknął, że aż zadzwoniły szyby, otworzył wreszcie oczy i ujrzał przed sobą oblicze kapitana pokryte czerwonymi pryszczami.

Kierowca podniósł mikrofon z haczyka i przez głośnik poprosił:

- Trochę ciszej, panowie, nie mogę pracować.

- To wysiądź, ofiaro! - poradził mu Baran, senność mu minęła i poczuł ogarniające go falą natchnienie. Wstał, postąpił do przodu, złapał za uchwyty nad głową, a gdy tak stanął z ramionami w górze, poczuł się jak Atlas dźwigający planetę.

- Jestem tylko prostym sługą Najwyższego - ze słodyczą powiadomił kapitan, zaś młode żołnierki wpatrzone w Barana, jęły szybciej oddychać - Nasz strój o tym mówi, nie poznałeś, bracie?

Tego tylko trzeba było Baranowi.

- Włożyłeś uniform w imię Ojca i Syna! - począł się rozpalać. - Aby każdy wiedział, że jesteś wybrany, lepszy, bliższy Bogu od tych co nie noszą munduru! Ty gabłoto co sama siebie reklamuje! Ty słupie do ogłoszeń wyklejony plakatem na swój własny temat!

- Będę przymuszony zatrzymać autobus! panowie - ostrzegł kierowca przez głośniki.

- Ale tego ci mało! - przekrzyczał go Baran - Mundurem dajesz do poznania, że nie jesteś sam, lecz Armia Zbawienia za tobą! Grozisz w ten sposób swym umiłowanym braciom, wy także grozicie... - zwrócił się do żołnierzy i żołnerek siedzących parami. - Grozicie każdemu, że całą Armię ma naprzeciw siebie, wy, najpokorniejsze sługi Zbawiciela...

- Ty nie jesteś zły, ty tylko tak mówisz... pewność siebie znikła z głosu kapitana.

- Znamy te numery! - Baran zaczerpnął oddechu. - Dobrze cię szkolili! Na bluźnierców mowa numer siedem.

- Jesteś lepszy niż ci się wydaje... - raz zacząwszy, nie mógł już przestać kapitan.

Dosyć! - zagłuszył go Baran - Ściągać te mundury! Tylko maluczcy wejda na niebiosa, łachman i nagość najmilsze są Panu! Dalej! - Wysunął stopę i kopnął w kolano kapitana - Pan ci dał przybranie: gębę jak zadek pawiana i ją będziesz nosił, to jest twój uniform! - postąpił znów do przodu. - Ściągać! - krzyknął w stronę pododdziału. - Teraz musztra boża, zwlekamy zło z siebie! Na „raz”, rozpiąć guziki, na „dwa”, ściągnąć bluzy!

Żołnierze i żołnierki, przywykli do posłuchu, tylko czekali na znak kapitana, toteż dosyć było, aby ten bezwiednie sięgnął palcami do zapięcia kołnierza, by dla naprawienia winy jęli się rozbierać i rzucać mundury pod nogi.

Kierowca spojrzawszy w lusterko, zatrzymał autobus i oznajmił:

- Nie jadę.

Nikt nie zważał na niego.

- Teraz „trzy” i „cztery”! - rozkazywał Baran - Na „trzy” rozpiąć suwaki, na „cztery” wyskoczyć ze spodni i spódniczek! Pododdział wykonać!

Zamki zazgrzytały, gabardyna spadła na ziemię, błysnęły obciążone nylonem kolana żołnerek, figi kolorowe, albo z czarnych koronek z wyszytym purpurowym płomieniem, co miał przypominać, iż kto nie zgasi żądzy, będzie miał ją wypaloną piekielnym płomieniem.

Chcąc nie chcąc, kapitan, chociaż z ociąganiem, zdjął z grzbietu kurtkę i rozpiął pasek. Pół gołe żołnierki i żołnierze bezwiednie mieli się ku sobie, szukając osłony przed zimnem i gniewem Barana.

- Spóźnienie pięć minut - oznajmił kierowca - zaraz skończę z tą hecą! - zagroził i wysiadł z autobusu.

Baran nie ustawał:

- Za co masz być zbawiony, skoro uciekłeś od życia! - wycelował palcem w kapitana. - Schowałeś się w Biblii i w Regulaminie!

Kapitan w spodniach zsuniętych z siedzenia, upadł na kolana, zacisnął powieki, splecione dłonie przycisnął do czoła i modląc się żarliwie próbował umknąć między fotelami. Pełzając na kolanach, przy wejściu do wozu, natrafił na parę wysokich, czarnych, lśniących butów. Podniósł twarz z nadzieją, objął za kolana granatowe nogawki i przycisnął do siebie.

- Bracie - wymamrotał - ty też mundurowy...

Dostał pałką po plecach. Wywleczony za kołnierz oprzytomniał dopiero w policyjnym wozie. Tłumek przechodniów gromadził się dokoła, wspinał na schodki starych kamieniczek, aby lepiej widzieć jak wyprowadzano pary. W pustym już autobusie, do rzędu ostatnich już foteli podszedł sierżant Öre i szarpiąc za ramię, skłonił śpiącego Barana do otwarcia oczu.

- Będzie pan świadkiem w tej sprawie.

- Jakiej? - ziewnął Baran - wypadek drogowy? - usiadł drapiąc się w głowę.

- Nie wierzcie mu, to jest ich generał! - kierowca szeptem złożył donos sierżantowi.

- Wy też coś nie tego... - spytał drwiąco sierżant i palcem przytkniętym do skroni pokreślił jak kluczykiem. - Jechać dalej! - polecił - Nie tamować ruchu!

W Uppsali, w uniwersyteckiej dzielnicy, snuł się dobrą godzinę nim znalazł instytut fizyki. Mógł dawno zapytać, lecz umyślnie zwlekał. Jak akumulator chciał się naładować przed czekającą rozmową. Patrzył w średniowieczne mury, chropowate kamienie, bramy i filary, jakby się spodziewał, że zdoła przeniknąć zaklętą w nich wiedzę.

Zobaczył tylko siebie. Na szarym kamieniu, jak w projekcji filmowej zamierchłego wspomnienia, ujrzał młodego Barana w dawno już minionej, lecz nigdy nie zatartej w pamięci, licealnej scenie. Stoi przed tablicą z oczami wbitymi w podłogę, za sobą ma klasę, przed sobą łysego Kruka, który zwisa nad nim swym nosem podobnym do dzioba i kracze:

- Gdyby Nobla dawali za głupotę, to ty, Baran, zostałbyś pierwszym laureatem.

A potem, już w domu, małe oczki ojczyma patrzyły ze współczuciem:

- Nie masz co próbować, nie przeskoczysz siebie, nie wysilaj się, Baran, pochodzisz z Baranów, i tak nic nie zdziałasz...

Znalazł właściwy budynek. Zanim wszedł, wypił kawę na rogu. Trzem studentom z ostatniego roku, postawił po kieliszku likieru. Rozparł się wśród nich łokciami na stole, wkupił się historyjką o Armii Zbawienia.

- Potrzebna mi świnia - powiedział na koniec - młoda, zdolna Świnia z wydziału fizyki, z dorobkiem naukowym, ale jeszcze daleka do szczytu, choć drapiąca się w górę pazurami.

- Świnia i pazury! - wzruszył ramionami słuchacz filozofii, ale dwaj z fizyki odparli bez wahania - doktor Margrud!

Znalazł go w pracowni, schylonego nad stołem. Wszedł tam bez pukania, z rękami w kieszeni, z torbą plastikową wiszącą na przegubie. Obejrzał łysą czoło, pewne siebie ruchy, nim Margrud podniósł oczy znad obwodów scalonych. Podniósłszy, omiół nimi Barana, rozczochraną głowę, wytarte kolana i skrawek koszuli, który wymknąwszy się spod paska, zwiślał postrzępiony.

- Czego tutaj chcecie?

- Widzisz kilku? - zdziwił się Baran.

- Proszę wyjść, bo zawołam woźnego!

- Uspokój się, Margrud - rzekł Baran - bo mi szkoda czasu - przysunął sobie krzesło i

usiadł okrakiem. - Przestań się gapić na moją koszulę - poprosił - nie myśl o grzebieniu. Informacja jest w tym tylko, co zaraz ci powiem. A teraz do rzeczy, mam tu wynalazek - wysypał na stół piramidę - który przyniesie nam Nobla, mnie i tobie razem! - nim Margrud zdołał cokolwiek powiedzieć, łupnął w stół podstawą, nakrył ostrosłupem i płyn począł wyciekać.

- Papiery zalewa! - oburzył się fizyk.

- A wiesz czym? Mocznikiem!

Dziesięć minut było mu potrzeba do napełnienia dwulitrowego naczynia, do przekonania fizyka, że jest to objętość kilkakrotnie większa od samej piramidy, a w końcu do skłonięcia, by zszedł dwa piętra niżej, do pracowni chemicznej i zrobił analizę.

- Mocznik - przyznał Margrud powróciwszy z dołu, mówił już inaczej. Począł rozkładać i składać piramidę, patrzeć skąd płyn kapie, grzebać śrubokrętem wewnątrz, aż w końcu, z wypiekami na twarzy rzucił się na fotel.

- Jakie warunki? - spytał mrużąc oczy.

- Nie jestem fizykiem ani powagą w nauce - skromnie przyznał Baran - potrzeba mi twojego, doktorskiego tytułu, żeby dostać Nobla i to jeszcze w tym roku. Przy okazji ty go też dostaniesz. Sam nie przepchnąłbym tego.

- Zwariowany pomysł! - Margrud zerwał się z fotela i biegał po pracowni trącając przybory. - Musisz się tak spieszyć? Pogadamy z przemysłem. Po co ci od razu Nobel? Po pięćdziesiąt lat ludzie na to czekają.

- A ja muszę mieć zaraz - odpowiedział Baran.

- To jest niemożliwe! - rzekł Margrud z rozpaczą. - Co ci przyszło do głowy? Mając taki wynalazek... Trzeba to opisać i opublikować, uruchomić produkcję, wziąć pożyczkę bankową, wymyślić znak firmowy i zarejestrować. Biorę to na siebie, trzeba krok za krokiem, a nie podskakiwać od razu wyżej swojej głowy! - w podnieceniu wyłamywał palce, aż kości trzeszczały. Gdy się uspokoił, Baran począł cedzić:

- Mówili, żeś wielka i ambitna Świnia, a ja widzę, żeś prosiak i wystarczy ci malutki chlewik i malutkie korytko i troszeczkę pomyjek...

- Co pan opowiada... - Margrud nie rozumiał. - Skończmy już te bzdury.

- Siadaj! - polecił mu Baran - Nie chce mi się szukać innego. Na tym polega cały kłopot z tobą, żeś ty nie wymyślił siebie. Ojciec ci nie mówił, jak miałeś trzy lata, że on z mamusią zrobił tylko ciało, a resztę sam musisz sobie wyobrazić? I nikt ci nie wyjaśnił, babcia ani wujek?

- E, tam! - burknął Margrud zmieszany.

- Zrozum - ciągnął Baran - jeśli sam tego nie zrobisz, będziesz tylko taki, jak cię widzą ludzie... Chcesz być ulepiony z cudzego myślenia? Ale to się już stało! - machnął zniechęcony dłonią. - Pomyśleli, żeś jest karierowicz, a ty się już wysilasz, żeby zrobić Karierę! Mówią sobie w duchu: Klarnet chuderlawy, tak, studentki to samo, no i jaki wynik? Już nie możesz przytyć! Łysoń! - to też mi mówili i wszystko się zgadza, tracisz resztkę włosów. Zasmarkany podmacywacz! I proszę, na ćwiczeniach z fizyki, pociągając nosem, łokciem uciskasz dziewczyny przy aparaturze...

Płynęło to z niego, nadśluchiwał co wyrzucą usta i nie próbował się wstrzymać. Skądś wiedział, tym razem, że to prawda głęboka i żywa, prawdziwa nauka, którą znalazł w sobie i tycząca w pierwszym rzędzie jego, chociaż i fizyka... Tak działo się życie, tak pozwalał mu płynąć.

Spojrzał na Margruda i podjął od nowa:

- Dupowlaz profesorom, kopacz dołków kolegom i przedpokojowy wspinacz, każdą z tych rzeczy posłusznie wykonasz, byle tylko komu zaświtała w głowie! I zostaniesz taki - uderzył w stół dłonią - jak cię wymyślili, jeśli nie dasz odporu swoim własnym myśleniem!

- Przecież myślę! - postawił się Margrud, blady był jak ściana, mówił cienkim głosem.

- Myślisz - zgodził się Baran - tylko głupio. Wykombinowałeś, że będziesz prawą ręką profesora, a w tym więcej jest myślenia o nim, niżeli o sobie. No, i czym się skończyło? Jesteś nią, jak chciałeś! Teraz ci się zdaje, że on cię nagrodzi, a kto rękę nagradza? Wsadza do kieszeni i drapie się w kroku. Taka twoja kariera. Też mi pomyslane! Tak, tak, Margrud, szkoda tego gadania, wszystko zmarnowałeś. A taki, weźmy, Edison, siedem lat chłopczyzna. nie myślał o bzdurach, tylko od razu do Encyklopedii wejść mu się zachciało i już wytrzepał z rękawa żarówkę, telegraf, lokomotywę i prawo Newtona! Tak trzeba ci było! Myśleć, że masz Nobla w kieszeni, chodzisz we fraku między kolumnami, podpisujesz czeki...

- Ale Nobla od razu? - Margrud wiał się w fotelu.

- Wiem, że tego nie umiesz - z pogardą rzekł Baran - więc sam to zrobiłem za ciebie. Nic już nie kombinuj, nic nie myśl po nocach, musisz się wysypiać, bo próżne staranie i za późno na twoje myślenie. Teraz moje ma siłę, wymyśliłem siebie, a ty się przyczepisz. Ja jeden w tym kraju i na całym świecie widzę Margruda z Noblem i to już w tym roku...

Siedzieli w pracowni do czwartej nad ranem.

- Zrobisz plany piramidy - wydawał Baran polecenia - powielisz i wyślesz z opisem zgłoszenia patentowe na nasze nazwiska do ważniejszych krajów przemysłowych. Piramidkę skopiujesz i z materiałami wyślesz do najwybitniejszych profesorów chemii i fizyki na świecie z prośbą o ocenę, a prócz tego, do każdego z członków Komitetu Nagrody, niech sklerotycy w domu poprobują. Tylko ani słowa do gazet i żadnych wywiadów, bo cię świat naukowy tak pomyśli za to, że się nie pozbierasz!

- To nie da tak prędko wyniku - Margrud zważył znowu.

- To jest jak doniczka z balkonu, rąbnie w łeb każdego! Do tego jesteś Szwedem, a na swojego zawsze przymkną oko, byle sława kraju i te, tam dalej... - już się poczuł znudzony, mówił coraz ciszej, aż umilkł stopniowo.

Teraz Margrud gadał i tak się rozpałił, jakby to on musiał zachęcać Barana. Przypomniał o medalach dla producentów syntetycznych żywic, obliczał dochody, stuknął w kalkulator... Wyszli szarym świtem, przy siąpiącym deszczu, rozstali się za bramą.

Baran kupił bilet, leciał nad biegunem. Anchorage, Seattle. Wysiadł w Los Angeles. Zostawił buty pod fotelem, stewardesa wołała, ale nie odwrócił głowy, w skarpetkach szedł do taksówek.

9.

O zachodzie słońca znalazł się w Hollywood, pojechał bulwarem, wprost w czerwoną tarczę nurzającą się w morzu. Kaminsky był w domu, pamiętał Barana. Wyszedł do niego w szlafroku, zostawił mokre ślady na podłodze. Poklepał po ramieniu i poprosił siadać.

- Co ty mi nie powiesz? - podrapał się w głowę, gdy mu Baran wyłożył z czym właściwie przybywa. - Ty mnie bardzo zmartwiłeś, ty chyba jesteś trochę myszygene... Pytasz czy ja ją znam? A kogo ja nie znam w Hollywood? Ja ci więcej powiem, my teraz filmy kręcimy razem, och, co to za cymes kobieta... - zacmokał grubymi wargami - Ale ty mnie posłuchaj, ty, Baran wybij sobie z głowy, żeby ona nawet niechcący popatrzyła na ciebie! Jakbym ja ci powiedział ile ona zarabia... To największa gwiazda!

- Właśnie o to chodzi! - upierał się Baran, grzebiąc w koszyku bananów Chiquita.

- Ona jest taka wielka - Kaminsky rzucił się w fotel ze skóry słoniowej - że mnie już słowa brakuje, żeby to wyrazić. Tobie się zdawało, że ona z byle kim rozmawia? - spojrzął na Barana od góry do dołu - Ja cię bardzo przepraszam, ale sam rozumiesz...

- Dobra! I co dalej? - zniecierpliwiał się Baran, ciamkając banana.
- Och, co z ciebie za człowiek! Ona ma faceta.
- Kto taki?

- Po co ty mnie zadajesz takie pytania, Baran, po co? Czy ja się muszę zdenerwować na noc? Przy takiej kobiecie może być tylko taki sam mężczyzna, jak ona. Słyszałeś kto to jest Vurton? Baran, ja cię bardzo proszę, ty nie mrugaj powieką, on zarabia... Och, po co ja tyle mówię, ja cię poznam z Liii, ja cię poznam z Pipi, ja cię poznam z Żuzu, tu pełno dziewczynek jest najpierwsza klasa...

W końcu, kiedy Baran, jakby nic z tego nie słysząc, przypierał go nadal do muru, obiecał mu przepustkę na zdjęcia plenerowe, sto dolarów za statystowanie i nadzieję ujrzenia żywej Aaylor na planie.

- Ty nie licz na więcej! - poprosił - Ja nawet nie mogę pomyśleć, żeby ona jedno słowo powiedziała do ciebie, a co dopiero napisać!

- Co tu do pisania? - zdziwił tym Barana.

- Oj, bo nie wytrzymam... - westchnął Kaminsky w kierunku sufitu - Ale ja cię lubię, przez twojego tatusia... Tobie się wydaje, że bez scenopisu się zrobi? A jak zawiązesz intrygę, jak posplatasz wątek, żeby z takim jak ty, spotkać taką gwiazdę jak ona? Bez tego nic nie zrobi reżyser i montażysta nic nie skleji, ja ci mówię, Baran. A w dodatku, choć ja do polityki nie mam - zasłaniał się rozcapierzonymi palcami - ale ty wiesz, Baran, skąd ty przyjechałeś!

Przyjęty jako statysta, czekał kilka godzin zanim się zjawiła. Jemu upał nie szkodził, ale byli tacy co się przewracali. Skrapiano ich wodą i ściągano z planu. Kilka razy, na próbę, przejeżdżał landrover, wlokąc bronę po wyschniętej ziemi, a dmuchawy ustawione w rowie, podnosiły tumany brunatnego pyłu. Przeganiano ich obok, biegli z samochodem, zrywając kapelusze. Mieli wivatować, ale kurz zalepiał krtanie i w końcu Barana tylko było słychać. Odsuwali od niego mikrofon, aż dźwiękowiec przysłał jakiegoś faceta, który Baranowi kazał zamknąć japę, jeśli nie zechce wylecieć. Baran schylił się nad nim, złapał za nos palcami i kwaczącego jak kaczką, przyciągnął go do mikrofonu. Na tym skończyłyby się zdjęcia Barana, gdyby reżyser nie zarządził ciszy.

Nadjechała otwartym Mercurym, po moście, zza rzeki. Szal za nią powiewał. Zaszumiwały dmuchawy i zamiotły kurzem. Pchnięto statystów biegiem, obok samochodu, pod wiatr, przeciw pyłowi. Mógł ją teraz zobaczyć, lecz połowę twarzy kryły okulary automobilowe, resztę szal tiulowy.

Rozległy się strzały, petarda rozerwała oponę i auto utknęło. Kierowca skrwawionym czołem padł na kierownicę. Aaylor nacisnęła balonik z kolorem i czerwona plama wykwitła na jej rękawie. Jadący z nią Mercurym Vurton, uniósł ją w ramionach i wyskoczył z wozu.

- Stop! - zabrzmiało z głośnika - Ujęcie z kaskaderem.

Podprowadzili drugiego, tak samo jak Vurton ubrany, w kapeluszu wciśniętym na czoło, wziął ranną od Vurtona, którego w tej chwili, wachlując mu czoło, odprowadzono na miękkich kolanach w cień, pod parasole.

- Kręcimy!

Szczęknął klaps, kaskader ruszył biegiem z Liss Aaylor w ramionach. Od spęczniałych mięśni pękały mu guziki. Okrążył samochód, nogi wyrzucał wysoko, nawet kropla potu nie zalśniła na twarzy. I byłby ją doniósł do makiety domu wspartej na patykach, gdyby się nie potknął o kabel. Zanurkował głową, zaś Liss, trzymaną na dłoniach, wysunął do przodu, jakby ją komuś na półmisku podawał. Tam, gdzie miało nastąpić jej zetknięcie z ziemią, pierwszy znalazł się Baran. Podstawił swe dłonie i w locie przejął ją od kaskadera, który zarył nosem.

Znowu był w tym transie, w owym upojeniu, których doznawał odkąd odkrył Się. Parł więc w przód, jak burza, nie bacząc na nic i nikogo. Wprawdzie mnich w Himalajach ostrzeżał, nakłaniał, wskazał inną drogę, lecz to mogło zaczekać... Teraz przed nim leżało Holly-

wood i rozpetany Projekt-Piramida. Czyż miał rezygnować, zanim całym sobą, do głębi, zmysłami i każdą tkanką ciała pozna i odczuje jak rzeczywistość poddaje mu się niby plastelina? Czyż nie na to czekał całe swoje życie?

Nie zastanawiając się wiele, zawrócił na pięcie i z Aaylor w ramionach ruszył ku ścianie. Wbiegł przez bramę, za dyktą zawrócił, wziął odbicie i skoczywszy przez okno wysokiego parteru, znów się znalazł na planie. Biegł w stronę samochodu, nabierał rozpędu, skoczył nad Mercurym i dobrze wylądował.

- Kręcić! - wołał reżyser - Kręcić! Wszystkie kamery!

Baran pędził dalej, a Liss, zapomniawszy o ranie, ramionami otoczyła mu szyję. Rozglądał się co tu by jeszcze przesadzić. Na szerokiej piersi czuł ciepło jej ciała. Jednym susem znalazł się na dachu mikrobusu ekipy dźwiękowej, zeskoczył, runął w stronę kamer, okrakiem przefrunął nad pierwszą z jej operatorem, odbił się nad drugą, przeleciał nad trzecią, potem znów do ściany, wpadł przez balkon pod dachem, wypadł teraz bramą. Nic nie czuł zmęczenia, mógł tak biegać dalej, ale, że nie znalazł nic do przeskoczenia, zatrzymał się przed reżyserem. Liss Aaylor wciąż była bezwładna, więc dalej ją trzymał. Rąk oplatających mu szyję też nie cofała, więc wachając z bliska kosztowne perfumy, dźwigając ciężar nie ciężący mu wcale i patrząc w jej oczy uniesione ku sobie zza szkieł okularów, nieznacznym szeptem wyznał, że ją kocha.

- Jestem wieczorami w domu - odszepnęła ona - tylko dla przyjaciół... - zsunęła się na ziemię, wymknęła z jego dłoni. W ciszy jaka zapadła na planie, odeszła do charakteryzatorek.

- Hi, chłopcze! - reżyser zagadnął Barana - Gdzie się dotąd chowałeś? Angażuję cię zaraz!

- Zobaczymy, kto kogo! - odparł na to Baran.

- A wiesz ile biorę? - grobowym głosem zapytał reżyser.

- Ja nie o filmie, ja mówię o życiu - objaśnił go Baran. Stał przed nim rozkraczony, bosymi stopami, bo nie zdążył kupić jeszcze sandałów. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął banana. Ściągnął skórę palcami i brał się do jedzenia, gdy sekretarz podszeptał mu z boku:

- Dodawaj „sir” co dwa albo trzy słowa, to sam Hiczukoku!

- Odczep się, fagasie! - poradził mu Baran i dalej ciągnął swoje. - Napiszę scenariusz i będziesz żył według niego, powiedzmy, przez miesiąc.

- Ma pomysły chłopak - zauważył reżyser.

- Każdy dzień rozpiszę ci na godziny, minuty - rozgrzewał się Baran - którą nogę spuścić na podłogę rano, jak włożyć pantofel, w co się najpierw podrapać. I nie koniec na tym, podam ci nastroje, czy masz śmiać się czy płakać na widok twych dzieci, jak długo, ze łzami czy na sucho, z pociąganiem nosa i dalej, do wieczora, noc i dzień następny... mówił w chytrze zmrużone, skośne oczy Hiczukoku. - I tak zostaniesz największym reżyserem świata!

- Nie jestem? - Hiczukoku zatrzęsł swoim grubym brzuchem.

- Co tam! - parsknął Baran - Reżyserem-super, wprost nadreżyserem: takim co wyreżyserował siebie i uczynił sztukę ze swojego życia. Stworzysz nowy kierunek, otworzą wydziały w Akademiach Filmowych. I więcej, spowodujesz ruinę tej szmatławej Muzy. Każdy będzie wołał sobie wyreżyserować spotkanie z seksowną dziewczyną na własnym tapczanie, niżeli na to samo wygapić się w kinie. Pojmujesz ideę? Nie lepiej wmontować przejazdkę po zatoce błękitnym ślizgaczem we własny życiorys, niż patrzeć ze skrzypiącego krzesła, na cuchnącej sali, jak inni to robią?

Popiół z cygara Hiczukoku spadł na stopę Barana.

- Idziemy na lunch, chłopaki! - klasnął w dłonie reżyser, zatrzęsł podbródkami, zagarnął ramieniem sekretarkę planu i podreptał, jakby nie było Barana, jakby z całej przemowy nic nie trafiło do niego.

Jeszcze kilka dni temu Baran nie pozwoliłby na to, a tutaj stał jak kołek, owiany dziwnym chłodem, z uczuciem, że jego słowa całkiem się odbiły w nic nie przenikając, w niczy-

ją świadomość. Więc może wcale jej tutaj nie było, może tylko ją grali? Może zawsze pozostaną sobą, choćby się starał nie wiadomo ile? Dotąd ludzi ugniatał, przerabiał po swojemu, ale ci byli odporni, jak z miękkiego plastyku, który można ścisnąć, wetknąć w niego palec, a on się rozprostuje i wróci do dawnej postaci. Patrzyli na niego przez te światłomierze i przez obiektywy, słuchali go przez mikrofony, słuchawki, głośniki, i jeśli im włożył do głowy, to tylko na ich własny sposób. Mógł domyślać się w jaki: „statysta na planie, osobliwy typek, zaraz wróci do swoich i będzie opowiadał, jak to rozmawiał z samym reżyserem, do końca życia z tym wspomnieniem zostanie”. Na pewno myśli, że z wielkiego wrażenia stanął niby wryty, pocziwina z prowincji, byczek z Alabamy, wyszczeakał przed reżyserem, czego się nauczył, a teraz, z wyczerpaną głową, bo nigdy się tak nie napracował, sterczy zamroczony...

- Masz, napij się, brachu! - usłyszał - Pewnie, że cię rąbnęło, sam Hic z tobą gadał, ale ci się udało... Tam, u was, w Alabamie kiepsko ze szkołami, ale skakać umiesz...

Uderzeniem pięści wytrącił butelkę z dłoni mówiącego. Ujrzał zdziwioną gębę kaskadera i opuścił ramiona.

- Przepraszam... - bąknął, pierwszy raz od wieków. - To nie twoja wina.

- Nie szkodzi - rzekł tamten. - Skoki to masz, bracie! Chodźmy gdzieś do cienia, postawię ci piwo. Gdybyś jej nie złapał, gdybym nią pieprznał o ziemię... Ludzie! Nie chcę mówić! I tak jestem skończony.

Stanęli przy barze.

- Przyszło mi do głowy - zauważył Baran od niechcienia, łykając hot-doga - że kiedy niesiesz tę Aaylor, przebrany za Vurtona, to jesteś nim wtedy! Więc dlaczego nie zagrasz go dalej? W następnej i następnej scenie? Musiałaby zjeść z tobą obiad, potem pojechać do domu...

- A nie! - odparł chłopak - Niestety, to już inny kaskader udaje Vurtona przy stole, ktoś kto zna maniery.

- Też coś! - zdziwił się Baran, tając swe własne nadzieje. - A sceny łóżkowe, to już chyba sam odgrywa?

- I tu się mylisz, Niestety. Vurton za bardzo sapie jak na gust publiki, więc jest jeden z Alaski, chłodniejszy, który to odgrywa.

- To może wcale go nie ma? - zastanowił się Baran - Tylko kaskaderzy! Jeden to, drugi tamto, a ona ma wszystko w najlepszym wydaniu.

- Co wy tam chrzaniecie! - wtrącił się asystent planu, sączący mleko z drugiej strony stolika. - Jest dokładnie na odwrót, niż wam się wydaje. Wszystko co niezwykle Vurton sam odgrywa, kaskaderów mu trzeba, żeby w kapciach, na fotelu siedzieli za niego.

- Może... - zgodził się Baran.

Kaminsky był w domu, poznał od razu Barana. Wyszedł do niego w szlafroku, zostawił mokre ślady na podłodze. Poklepał po ramieniu i poprosił siadać.

- Panie Kaminsky - rzekł mu Baran zdziwiony - tak samo było przy pierwszym spotkaniu, źle się pan dziś czuje?

- Przy pierwszym, mówisz? - Kaminsky podrapał się w głowę. - A teraz jest...

- Drugie!

A, to w takim razie... Tak, tak, pamiętam - nie był nic zmieszany - widziałem cię rano na planie, kiedy z nią biegaleś. Teraz już wiesz, Baran, co to za kobieta!

- Zostałem zaproszony.

Kaminsky nie uwierzył, ale dał mu kluczyki, sprowadził do garażu i opisał drogę.

Baran łatwo trafił, z pagórka obejrzał różowy dom w ogrodzie, basen i leżaki. Ktoś spacerował pod różaną pergolą. Podjechał do bramy, nikt jej nie otworzył. Dwaj strażnicy przesuwali po nim spojrzenia, jak gdyby był szklany. Gdy nacisnął dzwonek też się nie ruszyli, tylko głos z taśmy jął powtarzać w koło:

- Pani nie ma w domu... Pani nie ma w domu...

Odjechał aleją, zatoczył koło uliczkami i z drugiej strony ogrodu przystawił wóz do żywopłotu, wplecionego w stalowe sztachety. Wziął rozbieg i po Fordzie, z odbiciem po dachu, wskoczył na parcelę. Ładował w miękkiej trawie, za linią czujników i truchtem posznurował prosto do basenu.

- Stać! - Vurton wynurzył się z domu, z pistoletem w dłoni, a że Baran nie zwolnił nawet kroku, strzelił.

Baran poczuł, że został trafiony, nie żeby bolało, lecz wiedział, że przeszła go kula. Upadł na kamienne płyty, krew zbryzgała piaskowiec, a ręka wysunięta naprzód, zwiśla do basenu. Leżał tak przez chwilę, z mgłą zasnuwającą oczy i nagle zrozumiał, że nie, że jeszcze nie upadł, jeszcze biegnie po trawie, tamten wynurza się z domu, dopiero celuje.

Ujrzał wytrysk kuli, jednej, za nią drugiej i poczuł dwa uderzenia, smagnięcie ołowiem. Zwinął się i runął o krok bliżej basenu, przetoczył się przez ramię i zwiśł głową ku wodzie. W zamroczeniu pomyślał, nie wiedząc dlaczego: „Znowu nie najlepiej, chlupnięcia nie było...”

Jeszcze raz nadbiegał. Strzał był opóźniony i Baran, chwyciwszy się za serce, runął naprzód głową, szczupakiem, jak skoczek do wody. Wyrzucił fontannę, zanurzył się cały, wypłynął bulgocąc z zanurzoną twarzą. Z wolna się przesuwiał, a za nim rozkwitał w wodzie pióropusz czerwieni. „Teraz było dobrze...” - czyjaś obca i natrętna myśl tłukła się w zamierającej głowie.

- A ty co tu robisz? - zapytał Vurton zdziwiony zjawieniem się Barana. Ręce założył na tył głowy, przeciągał się leniwie.

- Darling - poprosiła Aaylor - daj spokój, w każdym widzisz rywala. Poznajcie się panowie!

Baran stał przed nimi, boso, tak jak przyszedł, lecz znów w suchym ubraniu i nie czuł w sobie kuli. Popatrzył po sobie.

- Co jest... bąknął ochryple - Przecież do mnie strzelałeś!

- Wątpię - Vurton był znudzony.

- Tutaj, teraz, przed chwilą... Nie słyszałaś strzałów? - zwrócił się do Aaylor. - Trzy razy padałem trafiony i za każdym razem, jakby ktoś mnie za kołnierz podrywał, znowu biec pozwalał, by Vurton mógł ponownie strzelić. A teraz nie ma nawet śladu, proszę! - podciągnął do brody koszulę na brzuchu.

- A cóż w tym dziwnego? - powiedziała Liss Aaylor. Stała przed Baranem w okularach automobilowych i z szalem na twarzy. - Po prostu kilka wersji wejścia do mojego domu, ostatecznie, nie wszedłeś przez bramę... Z kilku scen możliwych, zawsze wybiera się jedną, niekoniecznie krwawą. Nieraz powtarza się ujęcia kilkanaście razy, zanim jedno się uda.

- Do licha! - warknął Baran - Nie dam robić się w konia! To nie jest scenariusz, a ja... Ludzie! - krzyknął wreszcie - Co się tutaj dzieje?

- Nudno... - ziewnął Vurton - Pójdę na strzelnicę.

- To nie ty się nudzisz! - krzyknął mu w nos Baran - ale twój kaskader! Właściwy Vurton nigdy się nie nudzi. Nie musisz przede mną udawać, swoje zarobiłeś, a teraz zjeżdżaj i zostaw nas samych!

- Dobra, dobra, już idę - odpowiedział tamten - co się żołądkujesz, kolego...

- Jaki „kolego” - zdenerwował się Baran. - Ja nic nie udaję, ty ludzka protezo! Ja, to ja, i koniec!

- Akurat! - mruknął Vurton odchodząc - Jeszcze jeden frajer.

- Och! - Aaylor słysząc Barana, zakryła usta wypielęgnowaną dłonią - Co ty opowiadasz! Zabawny z ciebie chłopak, skąd się tutaj wzięłeś? Pa, Vurton! - przez swój szal tiulowy cmoknęła odchodzącego w policzek.

- Przyszedłem... - nieśmiało zaczął Baran, gdy zostali sami - żeby ci powiedzieć... Nie, ja tak nie mogę! Dlaczego nie zdejmiesz tego szala i tych okularów?

- Co? - zaśmiała się Aaylor - To ty widzisz szal i okulary? Przecież ja nic nie mam! -

dłonią przesunęła po twarzy - Ale nic w tym dziwnego - zaraz wyjaśniła - tak mnie musisz widzieć jak dziś rano na planie, przecież nie znasz mojej twarzy.

- Zdejmij, to ją poznam! - gorąco poprosił - Chcę zobaczyć twe usta, twe oczy...

- Tyko bez przesady, bo wypadasz z roli.

- No, więc co mam zrobić?

- Jeśli chcesz tak bardzo zobaczyć, to postaraj się o to przy pierwszym spotkaniu - chłodno poradziła.

- Jakim cudem? - krzyknął, aż mu żyły wystąpiły na szyi.

- To już twoja sprawa - odparła z niesmakiem, chciała odejść, lecz złapał ją za rękę, okrył pocałunkami, już się opanował.

- Liss, czy zechcesz być moją? - zapytał najłagodniej jak umiał.

Milczała i wahała kwiaty wijące się wokół słupków pergoli. Powtórzył pytanie, nawet nie spojrzęła. Znów zniecierpliwiony, spytał:

- Nie słyszysz?

- Słyszę, i co z tego?

- Odpowiedz.

- Żartujesz, a na co? Wiesz co ci poradzę? Mam w bibliotece takie różne sceny, idź, poczytaj sobie jak to się rozgrywa... Ja bez makijażu i na płaskich obcasach, ty na bosaka i z tą skórą banana wiszącą z kieszeni, człowieku! Światło też zbyt ostre, a powinno być miękkie, zamglone, coś nierealnego. A tu słońce świeci, wróbel ćwierka jak głupi, a tu trzeba szczególnego podkładu, długiej, miękkiej frazy, coś melodyjnego... Zielonego pojęcia nie masz o tych rzeczach!

Weszła do domu i zasunęła szklane drzwi za sobą. Baran tkwił przed nimi, patrząc we własne odbicie. Mrugnął powieką i odbicie mrugnęło. Poruszył paluchem i ono poruszyło. To go przekonało, że jeszcze me wszystko stracone. Istniały układy, które ponad wszelką wątpliwość jeszcze on kontrolował. Jeszcze nie cały świat stał się dowolnością, zbiorem odbić nie wiadomo czego, echem, czort wie czyjego, bełkotu.

Kaminsky był w domu, poznał od razu Barana. Wyszedł do niego w szlafroku, zostawił mokre ślady na podłodze. Poklepał po ramieniu i poprosił siadać. Baran chciał mu przypomnieć, że trzeci raz się widzą i prosić o radę, lecz po takim wstępie doznał nagłego olśnienia: tędy wiodła droga! To, o czym Liss mówiła - zaczynając od pierwszego spotkania, nadać nowy bieg zdarzeniom!

- Co ty mi nie powiesz? - pokręcił głową Kaminsky, gdy mu Baran wyłożył z czym właściwie przybywa. - Ty mnie bardzo zmartwiłeś, ty chyba jesteś trochę myszygene... Przy takiej kobiecie może być tylko taki sam mężczyzna jak ona! Ja cię poznam z Lili, ja cię poznam z Pipi, ja cię poznam z Żuzu, tu pełno dziewczynek jest najpierwsza klasa...

W końcu, kiedy Baran, jakby nic z tego nie słysząc, przypierał go nadal do muru, obiecał mu zdjęcia plenerowe, sto dolarów za statystowanie i nadzieję ujrzenia żywej Aaylor na planie.

Odbyło się podobnie jak Kaminsky przewidział. Stał w upale pięć godzin zanim się zjawiła. Za to gdy uniósł ją już z rąk kaskadera ryjącego nosem, nie tracił czasu na bezmyślne skoki i bieganie po planie. Jednym susem znalazł się w Mercurym, zabitego kierowcę wyrzucił kopniakiem, Liss złożył na siedzeniu, opartą o siebie i ruszył pełnym gazem. Trafił przeraźliwie, rozpędzając ekipę, wypadł na drogę, rozbił drewnianą barierę, rozpędzając strażników. Biorąc zakręt wpadł w poślizg, obróciło wozem, i pognął autostradą nie spojrzawszy za siebie.

- Przerwałem to! - zgrzytnął z triumfem zębami.

- Dokąd! - pięścią biła go w ramię - Z powrotem! Gdzie jedziesz? Rozkazuję zawrócić!

- Do twojego domu, aj law ju - powiedział. - Zobaczysz takiej miłości nie znał jeszcze Hollywood!

- Nie chcę! - szarpnęła kierownicą, aż się Mercury zatoczył i trącił Oldsmobile'a na sąsiednim pasie - Zawracaj, to jest niemożliwe!

- Dlaczego? - nie zrozumiał - Jeśli mnie pokochasz...

- Ty naprawdę masz bzika! - krzyknęła - Nie osiągniesz niczego w ten sposób, a ja cię nie pokocham, choćbym nawet chciała. Rozwinąłeś akcję w niewłaściwą stronę, zmieniłeś gatunek! Spójrz w co jestem ubrana, gram patriotkę w historycznej scenie, a ty wpadłeś w farsę z porwaniem damy przez prostego chłopca! Całkiem pomieszane... W dodatku ujęcie o wiele za długie, uciekasz już dobre pięć minut, choć nikt cię nie goni, umrzeć można z nudów...

- Darling! - przemówił Baran nie zrażony, już wiedział co robić. - Ty się przecież mylisz, my dalej jesteśmy na planie, leżysz pod osłoną domu, krwawisz, ciężko raniona i tylko w twojej rozognionej głowie jawią się obrazy, twe dawne wspomnienia. To tylko retrospekcja, cofnięcie się w czasie, to można wmontować! Jestem dawnym kochankiem, którego straciłaś oddając się karierze, to z nim tak pędziłaś, na rękach do sypialni cię wnosił, niecierpliwi oboje...

- Kochany... poczęła się tulić do niego - Niech trwa nim się wykrwawię, chcę umrzeć w twych ramionach, zapomniawszy o bólu, uciec z rąk siepaczy. Nikt nie będzie wiedział, gdzie krążyły myśli bohaterki w jej ostatniej chwili...

Baran wpadł na podjazd nim całkiem otworzono bramę, urwał pół błotnika, zgniótł na klombach kwiaty, wjechał na schody tarasu. Uniósł ją w ramionach na górę, drzwi otwierał nogą i omdlewającą złożył w różowej pościeli. Upadł na kolana i począł ją całować. Gruchał, wpijał się w skórę wargami, błagał zachrypnięty by wreszcie zdjęła okulary, aby mógł bez przeszkód zatopić spojrzenie w jej oczach. Na to była głucha. Walczył z szalem zasłaniającym jej połowę twarzy, w końcu, nie mogąc się go pozbyć, całował przez niego.

Rozgrzana jego żarem, objęła go za szyję, czuł na sobie jej dłonie ugniatające mięśnie, napinał bicepsy i rozdymał płuca.

- Darling - powtarzała - zawsze będę twoja...

Nie dostrzegł jej palców pociągających za dzwonek i przegrał w tej chwili.

- Kąpiel gotowa! - głos pokojówki zaskoczył Barana, zanim zebrał myśli, pomogła wstać swej pani i wyjść z nią różowymi drzwiami. Zanim je zamknęła, wskazała mu drugie, niebieskie. Stał chwilę pod prysznicem, wytarł się niedbale i znów był w pościeli. Patrząc w różowe drzwi, poczuł jak senność go morzy.

Zbudziło go pukanie, pokojówka rozsunała story i wniosła śniadanie na tacy.

- Pani jest na zdjęciach od świtu - powiadomiła Barana. - Samochód jest umyty, błotnik naprawiony.

Wsiadł do Mercurego skradzionego wytwórni filmowej, gdy ujrzał Vurtona w dresach, biegnącego wokół ogrodzenia. Tamten też go zobaczył, kiwnął ręką z daleka prosząc, by zaczekał. Nabrawszy rozpędu, przebiegł w poprzek basenu nie zamoczywszy stopy. Baran poznał z tego, że ma do czynienia z właściwym Vurtonem, nie jego dublerem.

- Hi! - rzekł Baranowi - Czy myśmy się już nie spotkali?

- Mijamy się raczej! - odparł Baran złośliwie - W łóżku twojej pani! Od dziś biegaj u siebie.

- Gdzie ja cię widziałem? - zastanawiał się Vurton.

- Nie jesteś zazdrosny? - zapytał go Baran. - Że ja w jej sypialni...

- A, o to ci chodzi! - pojał najdroższy aktor świata, wycierając szyję frotowym ręcznikiem - Wcale! - rozluźniając mięśnie podskakiwał w miejscu. - Dopóki się o tym nie dowiem, cóż mnie to obchodzi?

- Przecież ja ci mówię!

- Ależ skąd, kolego - rzekł Vurton łaskawie - co ty tam bełkoczesz... Dopiero ona mi to powie w scenie obiadu w El Toro, w czwartek, przy kawie i likierach. Owszem, mnie to nawet zaboli, dotknę serca dłonią, udam, że chcę odejść, a wtedy ona, biorąc mnie pod ramię w

zbliżeniu pełnoekranowym, przysunie mi usta do ucha i szepnie: „Kochany, tak od razu wierzysz! To tylko w mojej rozgnionej głowie zjawily się obrazy, moje dawne wspomnienia. To tylko retrospekcja, cofnięcie się w czasie, to zawsze można wmontować... Mój dawny kochanek, którego straciłam oddając się karierze. Pędziłam z nim wozem, na rękach do sypialni mnie wnosił, niecierpliwy, nieprzytomnie całował...”

- Jasny gwint! - szepnął Baran, ściskając się za głowę, język w ustach miał suchy, patrzył w Vurtona okrągłymi oczami.

- Słabo ci? Nic dziwnego, ten upał... Pójdziemy popływać?

Baran pchnął Vurtona aż ten się zatoczył, wskoczył do auta i ruszył z piskiem opon.

Kaminsky był w domu, poznał od razu Barana. Wyszedł do niego w szlafroku, zostawił mokre ślady na podłodze. Poklepał po ramieniu i poprosił siadać.

- Czwartym razem się widzimy - uprzedził go Baran.

- A, to bardzo przepraszam! - wycofał się tyłem z pokoju i wrócił po chwili ubrany. Miał apaszkę pod szyją, kosztowną koszulę z wiśniowego atłasu, czarne spodnie i pachniał Yardleyem. Niósł pod pachą plik kartek scenopisu.

- Prosiłem żebyś przyjechał - wyjaśnił gościowi - bo to i owo przerabiam. Mam, między innymi, dodać scenkę z tobą, to znaczy z Vurtonem, lecz ty będziesz go dublował, czyli skakał za niego... A tak między nami - Kaminsky ściszył głos i zakrył usta dłonią - to on będzie skakał, a ty będziesz wachlował się chustką pod jego parasolem. Reżyser mi polecił, musiałeś wpaść mu w oko, jeszcze zrobisz karierę! Nie cieszysz się, Baran? Tak za pierwszym razem zwrócić na siebie uwagę?

- Panie Kaminsky, szkoda na to czasu. - Baran przy barku nalał sobie coli - nie robi pan ze mnie gwiazdora - powrócił na fotel po puszystym dywanie.

- Ja? - obruszył się Kaminsky. - Ja z ciebie nie zrobię? Niech tylko napiszę, wszystko od tego zależy jak jest napisana rola! A kto zrobił Aaylor, a kto zrobił Vurtona?

- Może coś w nich było, ja się nie nadaję.

- A ja potrafię zrobić innego człowieka. - Kaminsky się zaperzył.

- Tak wiele pan nie może - przekonywał go Baran - mam pięć palców i koniec!

- Koniec? Jaki koniec? Kto powiedział, że koniec? To początek dopiero! Ja już biorę moje wieczne pióro i szósty dopisuję! Zaraz się przekonasz, Baran, pięć to przeoczenie. Jesteś sześciopalcowy. Ja nie umiem liczyć? Ja, Kaminsky? Ty mnie tylko słuchaj, z tą historią tak było: „Młody Baran urodził się z sześcioma - zaczął, skrobiąc się piórem po szyi. - Matka była zmartwiona, lecz ojciec za nic nie dał amputować. - Może mu się przydać! - zażartował grubo - W miłości nigdy palców nie za dużo... - A fe! - parsknęła akuszerka - Obrzydliwy staruch... Precz, ty stary satyrze! - pieluszką uderzyła po łapie Barana seniora, gdy ten, nie bacząc na obecność żony...” i tak dalej i dalej! Więc co? Dopiszemy - zachęcał Barana. - Pokaż rękę, Kaminsky ci krzywdy nie robi, no, nie bój się chłopie, paluchy masz grube, a może ci na cienkie przepisać, będziesz wirtuozem?

Nie - wykręcał się Baran, już szumiało mu w głowie.

- A może jednak? - droczył się gospodarz, udał, że już pisze.

- Nie! - krzyknął Baran i schował ręce za siebie. Wycofał się tyłem, zadudnił piętami po schodach i wybiegł na ulicę.

Przez trzy dni jej szukał, wymykała się stale. Gdy go nie wpuszczali, czatował pod bramą. Uprzedzony szofer, wioząc ją do domu wjeżdżał z drugiej strony i tylko z daleka mógł Baran zobaczyć, jak przesuwawała się różaną pergolą. Pokojówka wyłączała telefon, sekretarka odsyłała do biura wytwórni. Próbował, przekonany, że gdyby tylko zdołał zamienić z nią dwa słowa, znalazłby znów sposób na związanie jej z sobą.

Ogrodzenie nie było przeszkodą, łatwo mógł je przeskoczyć, ale z niechęcią myślał o scenie ze strzałami, znowu to powtarzać? Wprawdzie wyszedł cało, ale drugim razem? Niechby coś ktoś zmienił i zostały w wodzie...

- Stuknij się w mózgownicę! - poradził sam sobie - Już cię przerobili? - zaniepokojony takimi myślami, szukał najbliższego trawnika i wkładał głowę pod chłodne tryskacze. Orzeźwiony, właśnie w takiej chwili, wpadł na pomysł by się chwycić tego co usłyszał od Vurtona. Nie mógł w to uwierzyć, ale w końcu, czy musiał? Niech tylko zadziała!

W czwartek wieczorem, schowany w kaktusach, patrzył w poprzek ulicy jak Aaylor z Vurtonem wysiadają pod pasiastym baldachimem i wśród ukłonów portierów znikają w chłodnym wnętrzu El Toro. Odczekał godzinę, aby ich zastać przy kawie i likierach. Wówczas okrążył budynek i przez śmietniki wemknął się kuchennymi drzwiami. Nie chcąc się narażać na zbędne awantury, niósł pusty karton po piwie, udając, że dźwiga go z trudem. Trafił szczęśliwie do salki z lodówkami, a stamtąd za kotarę w bufecie.

Siedzieli przy stoliku, jedno blisko drugiego, przy świecach. Właśnie podano im kawę i likiery połyskujące szmaragdem i rubinem. Śledził wszystkie ich ruchy. Liss mówiła, Vurton słuchał z uwagą, nagle się odsunął, dotknął serca dłonią, udał, że chce odejść, a wtedy ona, biorąc go za ramię, przysunęła mu usta do ucha.

Baran nic nie mógł z tego słyszeć, lecz pamiętał dobrze swoje własne słowa: „To tylko w twojej rozognionej głowie...” Vurton się rozpromienił, spojrział ufnie w jej oczy, pocałował w rękę, jak gdyby przeproszał, że cię podejrzewa... Potrącił przy tym kieliszek i wylał na siebie likier. Podbiegł kelner z serwetą, lecz na białym smokingu pozostała plama. Gdy tylko Vurton zniknął w toalecie, Baran był już przy stole, już on całował jej dłonie.

Liss Aaylor poprawiała włosy, spadły jej na okulary automobilowe, usta kryła za jedwabnym szalem. Nie była zaskoczona gdy ujął jej dłonie, bawił się palcami i patrzył z bliska w oczy. Gorzej, był jak powietrze dla niej.

- Liss - szeptał jej gorąco w ucho - dziś znów będę u ciebie, jak wtedy!

Nie odpowiadała, wtulała pierścionkiem w kieliszek, spoglądała w okno, na ciemną ulicę. Nie mógł tego pojąć, musiała przecież czuć, że ją dotyka! Czy nie czuła tego?

- Liss, jestem z tobą! Darling, co się stało? Odpowiedz!

Coś jakby usłyszała, nieznacznie poruszyła nagimi ramionami. I nadal milczała.

- Czy boisz się czegoś? Dlaczego mi nie odpowiadasz?

- Po co, skoro cię tu nie ma! - odparła patrząc w okno.

- Ale jestem, przecież!

- Tu cię być nie może! - była już zniecierpliwiona.

- Słyszysz mnie, widzisz, nic się nie zmieniłem...

- Nie mogę się mylić - wciąż nie patrzyła na niego - w El Toro nie ma takich... Może gdzieś tam, w kuchni, ale przy stoliku?

Coś się w nim kruszyło, coś słabło, poczuł, że nie jest już dawnym sobą. Gdyby był jeszcze taki jak choćby w Uppsali, w rozmowie z Margrudem, umiałby ich zmusić, Vurtona, ją i wszystkich kelnerów, żeby mu na kolanach nosili szampana. Lecz coś się w nim rozplywało, topniało, odkąd się znalazł w Hollywood. Przejęty tą zmianą dał się wyprowadzić w pole.

- Przepraszam - szepnęła - zaczynam cię rozumieć...

Uwierzył, i gdy ona z kolei ścisnęła mu ramię, przyjął to za czułość. Zbliżając mu wargi do ucha, poczęła przemawiać:

- Darling, jakie cudowne marzenie, jakie słodkie, jak mnie to podnieca... Już wiem skąd się wzięło w El Toro to wyobrażenie ciebie: patrzysz przez szybę z ulicy i wiedząc, że mnie nigdy osiąść nie zdołasz, śniesz, że siedzisz ze mną tutaj... Tak, to jest nawet zgodne z zasadami Sztuki, co za piękny epizod, ile westchnień wzbudził Gwiazda i prostaczek! I co jeszcze marzysz?

Nic nie spostrzegając, Baran, przekonany, że mu się udało, że bliski jest zwycięstwa nad nią, i że podda sobie Kaminsky'ego, Vurtona, kaskaderów razem z reżyserem, brnął w pułapkę dalej:

- Liss, teraz śmiejemy się do siebie, całujesz mnie w czubek nosa, a wtedy - błysk flesza! To fotograf podkradł się i złowił tę szczęśliwą chwilę. Z porannej gazety cały świat się dowie, że w Hollywood zakwitła nowa miłość. Zobaczą nas razem, wielka Liss wybrała! Odtąd będziemy tylko razem wychodzić... - urwał bo błysk flesza w źrenice oślepił go na chwilę. Widział kręgi tęczowe, zza których wyłaniała się ona, jak Venus ze świetlnej kipieli. Reporter umykał między stolikami.

- Tak, tak, kochany - całym ciałem przywarła do niego - lecz boję się o ciebie, zatopiony w marzeniach, z nosem rozplaszczonym na szybie, nie widzisz policjantów, wóz stanął przy chodniku, masz ich za plecami... - w głosie Liss pojawił się przestach, zasłoniła świecę i z lękiem patrzyła w okno, czerwony sygnał kręcił się na dachu czarnej limuzyny.

Teraz Baran pojał, lecz na odparcie jej przebiegłości zabrakło już czasu, natężył się w sobie, chciał odsunąć tę scenę, nie przyjąc jej w siebie. Ale Liss wepchnęła mu ją już do głowy.

- Zjeżdżaj stąd! - usłyszał - Co tu kombinujesz? - dwaj policjanci kręcili pałami.

Cofnął się od szyby, nadepnął bosą stopą kratę wentylatora w chodniku, potknął się i zakulał. Nim zrozumiał co się z nim dzieje, oberwał uderzenie w ramię. Zatoczył się na donicę z bukszpanem, nadział na portiera. A że ktoś w smokingu wychodził właśnie z El Toro, więc portier chwycił Barana za włosy i popchnąwszy kolanem wepchnął z powrotem pomiędzy bukszpany. Tam już oni czekali, dostał znowu pałą, wreszcie rzucił się biegiem, w poprzek przez aleję. Syrena ryknęła, wóz zatoczył koło i na ułamek chwili złapał go w smugi reflektorów. W porę, by na resztę życia została glinom w oczach sylwetka Barana w locie ponad trzymetrowym murem. Tyle go widzieli.

Spał długo, już się nauczył nie myśleć, niczego nie starać się tutaj zrozumieć. Nie spiesząc się zjadł śniadanie w pokoju, zawołał fryzjera aby go ogolił, co ujrawszy, sprzątaczką spytała czy nie chciałby może jakichś butów, miała ich duży wybór zostawionych przez gości w rozmaitych pokojach: półbuty, sandały albo tenisowe? Warknęła coś spod piany, więc się wycofała.

Kupił gazetę i zasiadł na tyłach hotelu, na ławce między agawami. Otworzył stronicę i wreszcie ją zobaczył: tak, to była ona, bez tych okularów i szala! Nie było żadnego powodu, aby fotograf widział te przybrania, a już na pewno nie jego kamera. Nawet jeśli by założyć, że z takimi dodatkami mogła się pokazać w wieczorowej sukni i w najlepszym lokalu.

Poznawał jej pieprzyk, dawniej oglądany pod tiulem, a gdy dłonią zasłonił dół twarzy i przyjrzał się oczom, nabrał zupełnej pewności: podpis pod zdjęciem nie kłamał. Podpis nie, ale zdjęcie kłamało! Nie było na nim Barana! I nie dlatego, że redakcja obcięła, że coś retuszowano czy wzięto inny fotos, wcale nie dlatego! Tutaj, gdzie w El Toro on siedział, widniał tylko wzorzysty materiał kanapy, rysowała się każda, złota nitka ściegu. Dłoń Liss, która tam spoczywała w jego dłoni, tu zawisała w powietrzu. Jej usta wyciągnięte w dziubek, tam muskające koniec jego nosa, tutaj przesyłały całusa nie wiadomo komu, w ciemną przestrzeń sali.

Przyjął to spokojniej niż mógłby jeszcze kilka dni temu. Sam dał się złapać na swój pomysł z marzeniem! Lecz jednak zrobił pewien krok do przodu! Teraz, kiedy już poznał jej oblicze z gazety, pewnie mógłby je zobaczyć także w naturze. I kto wie czy Aaylor, stawszy się w ten sposób sobą, nie zmieniłaby na korzyść swego zachowania?

Wrócił do hotelu, spędził godzinę pod tuszem. Mocząc dywan dzwonił do bufetu, każąc przynosić sobie soki z lodem. Dziewczyna bała się zbliżyć do prysznicu, sądząc, że to jakieś wybiegi, więc tacę ze szklankami posuwała mu krzesłem po podłodze, by nie dać się złapać za palec.

Wszystko przebiegł w myślach i wykombinował, że raz jeszcze trzeba się cofnąć tam, gdzie się wydarzenia rodziły. Gdyby przy pierwszym spotkaniu nakłonił ją do odsłonięcia twarzy, wtedy dalszy ciąg mógłby potoczyć się inaczej, według znanych mu reguł. Nabrał

pewności, że kluczem od czarowania były okulary.

Kaminsky był w domu, poznał od razu Barana. Wyszedł do niego w szlafroku, zostawił mokre ślady na podłodze. Poklepał po ramieniu i poprosił siadać.

- Co ty mi nie powiesz? - pokręcił głową, gdy mu Baran wyłożył z czym właściwie przybywa - Ty mnie bardzo zmartwiłeś, ty chyba jesteś trochę myszygene...

W końcu, kiedy Baran, jakby nic nie słysząc, przypierał go nadal do muru, obiecał mu przepustkę na zdjęcia plenerowe, sto dolarów za statystowanie i nadzieję ujrzenia żywej Aaylor na planie.

Baran zgłosił się na zdjęcia następnego rana. Stał pięć godzin w upale, co mu nie szkodziło, ale w tłumku statystów byli tacy co mdleli. Skrapiano ich wodą i ściągano z planu. Kiedy na próbę uruchomiono dmuchawy ustawione w rowie, by podniosły tumany brunatnego pyłu, Baran wymknął się ze swojej grupy.

Aaylor z reżyserem omawiała dzisiejsze zadania. Stali pod parasolem przeglądając dialogi. Opośal Kaminsky coś kreślił w scenopisie, rozłożonym na przenośnym stoliku. Baran podszedł z rękami w kieszeni, widział Aaylor od tyłu. Pasek okularów otaczał jej włosy, szal powiewał przez ramię. Miał jeszcze nadzieję, że twarz nie jest zakryta, nie musiałby wtedy uciekać się do użycia siły. Stał przy niej i ujrzał, że znów się pomylił.

- Hi! - pozdrowił oboje.

Reżyser i Aaylor w okularach spojrzeli na niego, lecz go nie poznali. „To jasne - pomyślał - przecież pierwszy raz mnie zobaczą, kiedy ją złapię z objąć kaskadera.”

- Proszę nie przeszkadzać! - rzekł Hiczukoku surowo.

- To nie potrwa długo - obiecał mu Baran - chcę tylko ZAJRZEĆ pani Aaylor w oczy.

- Weźcie tego faceta! - zapienił się reżyser, jakby było o co.

Baran już nie czekał, wziął twarz Liss w swe dłonie i oburącz chciał zsunąć okulary na czoło. Tylko jeden Kaminsky spośród obecnych tam ludzi, pojął o co może tu chodzić. Skoczył od stolika prosząc i błagając:

- Ty ją zostaw, szalony! Czy ty chcesz nas zgubić?

Nic to nie pomogło. Gdy okulary nie dawały się zsunąć, Baran począł je szarpać, wcisnął pod spód pazury, ciągnął, a nie mogąc i w ten sposób dać rady, podniósł nogę, oparł Liss Aaylor stopę na klatce piersiowej i targnął co miał siły.

Kaminsky zawrócił, runął na scenopis, otwierał gorączkowo pióro, chciał tam coś dopisać, coś co mogłoby jeszcze odwrócić katastrofę, lecz nie zdążył w porę.

Baran zdarł okulary. Coś puściło ze zgrzytem, coś się odlepiło, zatoczył się, ciągnął je za sobą i wytrzeszczał oczy. Tam gdzie powinno się pokazać odsłonięte oblicze, świecił tylko gładki błyszczący celuloid... Zdzierał dalej emulsję i oddzielał pas nieba, oddał kamerę na statywie, coraz szybciej się cofał, przedarł na pół reżysera: biegały tylko nogi w pasiastych bermudach i mrugały oczy wysadzone na wierzch z przerażenia.

Teraz miał ich w garści! Rzucili się w popłochu, jak najdalej od niego, ale ucieczki nie było. Ciągnął tak długo, aż zdarł z celuloиду Kaminsky'ego z jego scenopisem, Vurtona z jego szerokimi barami i sprytnych kaskaderów, którzy rzuciwszy się płasko na ziemię, sądzili, że ocalą głowy.

Wskoczył na jakiś motocykl i jadąc pełnym gazem, przedarł na pół całe Hollywood. Stał w porcie lotniczym. Tam, po raz ostatni spojrzął na trzymany koniec oddartego pasa: oczy Liss ukryte za szklami okularów. Wypuścił to z dłoni.

- Teraz przyklejajcie... - powiedział przez ramię.

Przyszedł do siebie już nad Atlantykiem. Zajrzał do biletu, wpisany był Paryż. „Wszystko jedno – pomyślał - byle jak najdalej!”

10.

Obudził się w nocy i zrzucił na podłogę koc, którym stewardesy, litując się nad jego cienką koszulą, nakrywały go ciągle pod brodę. Poczłapał na koniec kadłuba, wśród przyćmionych świateł. Przewody syczały, sine twarze śpiących leżały, porozrzucane niedbale, na zagłówkach foteli. Na drzwiach obu toalet czerwieniały napisy „zajęte”, stanął więc, czekając za kimś w niedopiętej spódnicy, z siatką jak stara pajęczyna we włosach i burych pończochach zmarszczonych w obwarzanki. Poznawszy stąd, że ma do czynienia z córą mglistego Albionu, jął bezmyślnie się gapić w gazetę, którą trzymała pod pachą. Dotarła do niego treść jednego z tytułów: „Wręczenie nagród Nobla”.

- Mogę to przeczytać? - zapytał.

- Sure! - odparła spoglądając przez ramię. - Dam panu za chwilę. - Chciała wejść do toalety, która się właśnie zwolniła, lecz Baran ją przytrzymał pociągając gazetę.

- Ja tymczasem przeczytam - zaproponował.

- A ja chcę w t y m czasie! - odparła przyciskając łokieć. - Nie może pan zaczekać?

- Wejdźmy razem! - rzucił.

Angielka spojrzała niepewnie dokoła, lecz nim zdołała cokolwiek powiedzieć, za plecami Barana wyrosła stewardesa:

- Budzi pan pasażerów, o co tutaj chodzi?

- To ja się pytam! - rzekł Baran - Co za gazety trzymacie na pokładzie? Makulaturę sprzed roku! Proszę... - pokazał jej tytuł. - Nobla daje się w grudniu.

- Właśnie mamy grudzień, proszę pana, w Paryżu śnieg pada.

- Uf... - stęknął, wyrwał Angielce gazetę, wepchnął się do wnętrza i zamknął drzwi za sobą. Szarpała przez chwilę, wreszcie dała spokój.

„Wręczenie dorocznych nagród odbędzie się jutro – przeczytał - po czym dr Margrud wygłosi referat. W tym roku dzięki niemu i dr. Sorensenowi, nagroda w dziedzinie chemii pozostała u Szwedów.”

W Paryżu złapał najbliższe połączenie do Sztokholmu. Wylądował zbyt późno by zdążyć na samo wręczenie nagrody. Taksówce kazał się zawieźć pod Akademię, przebiegł zaśnieżone schody, wykiwał portierów w generalskich sznurach i gnając przez plusze i marmury, dla zmylenia pogoni, skrył się w męskim salonie. Tam, w blasku świetlówek, przy umywalni z czarnej porcelany, stał tylko jeden człowiek. Frak powiesił na haku, dokładnie mył ręce i patrzył w kartkę opartą o lustro.

„Wasza Królewska Mość, Czcigodni Zebrani...” - przeczytał mu Baran przez ramię i poznał Margruda. Tamten podniósł oczy i spojrzeli tak przez lustro na siebie, aż Margrud też rozpoznał Barana. Błysnęły mu źrenice, na policzkach wykwitły wypieki, z namydlonymi rękami rzucił się do nóg Barana, chciał całować mu dłonie, a gdy ten się cofał, szedł za nim na kolanach, upadł na posadzkę i cmoknął go w stopę.

- Dobroczyńco! - dziękował - Twoje pomyslenie! To dzięki tobie dostałem Nagrodę!

- A ja? - zapytał Baran. - O mnie nic nie było w gazecie.

- Święta Sygrydo! - jęknął Margrud patrząc na zegarek. - Muszę tam być zaraz i wygłaszać referat.

- Nigdzie nie pójdziesz! I pomyśleć, że ja cię wziąłem za małego prosiaka!

- Król nie może czekać!

- Tak mnie wyrolować... - Baran wyciągnął łapy do Margruda.

- Nie! - krzyknął laureat - To nie moja wina!

- Dostałeś nagrodę z jakimś Sorensenem - bulgotał mu Baran nad głową - o mnie zapomniałeś!

- A to ty nic nie wiesz? Słuchaj my przecież nie za to!
- Kłamiesz! - Baran trząśł go za szyję.
- Nie, nie! Ja ci wszystko powiem, to już z pięć lat temu, ja już prawie zapomniałem, taka mała praca, sama w sobie bez większego znaczenia, coś tam obliczyłem, ale bez niej Sorensen nie zrobiłby swojego odkrycia i dali nam obu.
- A co z piramidą?
- Powiem tylko puść mnie na górę!
- Gadaj...
- Muszę, tam król.. - błagał Margrud przyciśnięty kolanem do ściany. - Podzielę się z tobą forszą, dziesięć procent dostaniesz. I tak nie najgorzej, w końcu tylko myślałeś... A w ogóle, to nie miej do mnie żalu - zauważył złośliwie - widocznie wymyślając mnie z Noblem za mało myślałeś o sobie!
- Mów! - rozkazał Baran, już bez przekonania, zostawił Margruda i cofnął się od niego.
- Właściwie... - wzruszył ramionami - co mnie to obchodzi - pojął, że nie chce już niczego wiedzieć. Piramida, Nobel...

Wyprzedził Margruda biegnącego na czworakach do fraka, porwał mu go przed nosem i jął wbijać na siebie. Pękł mu szew na plecach, po nim wszycia rękawów. Nie zrażony tym wcale, złapał spod lusterka kartkę z przemówieniem i zostawiwszy tarzającego się po kafelkach Margruda, pognął schodami na górę. Kartkę zgubił po drodze, więc wpadłszy na podwyższenie w sali pełnej po brzegi, zawołał:

- Towarzystwo do domu, nie będzie przemówienia!

Rozległy się oklaski, nikt nic nie zrozumiał, bo wołał po polsku, a że nikt prawie nie znał też Margruda, więc sądzono, że to sam laureat.

- To genialny dziwak! - szeptało w fotelach. - Dziwak, ale ma głowę! Nobel, więc ma prawo do ciasnego fraka!

- Laureat wrócił do chlewu! - wykrzykiwał Baran - Chrrum... chrrum... - zakończył chrząkaniem.

Tłumacze bezradnie siedzieli w kabinach, a publiczność na Sali przyciskała słuchawki do uszu i na próżno kręciła gałkami.

- Po eskimosku przemawia - padały domysły - nasz słynny uczonek zna i to narzecz!

- Jaki problem poruszył? - Król nieznacznie spytał prezesa Akademii siedzącego obok.

- Intelkt i kultura, Wasza Królewska Wysokość!

- O, właśnie! - Król podniósł palec do sufitu.

Zaś Baran na mównicy, widząc, że nikt się z miejsc nie rusza, wyrwał mikrofon z widełek i przechadzając się z nim po podwyższeniu, merdając wokół nóg sznurem, kołysząc się w biodrach i stając w rozkroku, zauważył złowrogo:

- Widzę, że koniecznie chcecie coś usłyszeć.

Znowu zaklaskali, pierwszy Król podniósł dłonie, za nim dostojnicy, brzęknęły ordery, błysnęły łysiny i zafalowały brody, każdy chciał pokazać, że rozumie najnowsze zwyczaje, bo dla czegoż by młody uczonek nie miał się poruszać tak jak piosenkarze?

Nagrody! - parsknął i miał zagrzmieć tym co w nim wezbrało, urwał, bowiem przed oczami stanął mu jak żywy ów lama z Nepalu. Co on by powiedział tu, w tej samej sali? Wydało się Baranowi, że słyszy słowa mnicha i jego łagodnym i pogodnym tonem zaczął je powtarzać:

- Czyż nie pojmujecie, bracia? Tym co was krępuje, co wstrzymuje w rozwoju, co zamyka przed wami wyższe stany ducha jest poczucie ważności tak pielęgnowane w sobie. Jemu służą ordery. Obwieszacie się nimi, a one was zmieniają w kukły skamieniałe, już niezdolne do życia. Prawdziwego! - dodał - W wymiarze duchowym... - mówił coraz ciszej, jakby sam wsłuchany w te słowa, co nie pochodziły od niego. Byłby zostawił tak salę zasłuchaną, nie rozumiejącą ni słowa i odszedł w pokój, gdyby skądś, z wysoka, nie krzyknęła

kobieta:

- Jak pan śmie tak mówić, w dodatku za granicą! - to odezwała się stypendystka Ministerstwa Kultury, jedyna w tej sali rodaczka Barana. - To dzięki tym ludziom świat idzie do przodu!

Sprzed oczu Barana zniknął obraz uśmiechniętego lamy w szafranowej szacie. Gwałtowne słowa wezbrały mu w krtani, odkrzyknął na galerię:

- Może gdzieś tam idzie, ale się nie rozwija! Nie ma żadnego rozwoju. Jest tylko puchliwa, tylko pęcznienie, tylko nadymanie, tylko pompy pracują, tylko bańki rosną, tylko drożdże się sypie, tylko miesza się pianę! Nie ma myślenia i nie ma rozwoju! Tylko wytwarzanie zapychaczy do uszu, do nosa, do ust i oczu! Bawełna do czaszki, łechtaczki dla skóry, swędy i zapachy dla zmysłu powonienia. Dla stóp, żeby je zająć, pedały do naciskania. Dla palców, żeby nie drżały - przyciski, guziki. Dla ducha - uczucia w aerozolu, nacisnąć i rozpylać. Dla oczu - szablony kontaktowe, żeby było widać: tamta jest kulista, a ten kwadratowy!

To kipi jak mleko i zalewa człowieka, podchodzi mu powyżej uszu, a jak się z tego już mdłości dostaje, to i wymiociny ma się też firmowe w torebkach, słoikach, zgęszczone lub liofilizowane. Myślenie! - parsknął - Też mi powiedziała! Nikt już myśleć nie musi, nie ma żadnej potrzeby, na to są wydruki i dalekopisy, pianę ma w głowie i pianę dokoła, wszystko mu się pieni!

- Istnieje jeszcze kultura i sztuka! - krzyknęła z galerii - Nasz naród też je tworzy.

- Dziecino - odparł cicho zachrypnięty Baran - ty wierzysz w coś takiego? Przecież to komnata w komnacie, to budowanie mniejszego światka w tym wielkim, prawdziwym! Z niego się wyskubuje okruchy, szczypie, drapie paznokciami, żeby z jego ziaren, lepiąc własną śliną, budować drugi dookoła siebie, własny i znajomy. A potem podziwiać. I brać się z zapalem do badania tego, co się ześciubiło samemu, do studiów worka, który się sobie wciągnęło na głowę... A zresztą, zostańcie w pokoju! - Baran rzucił mikrofon na podłogę i opuścił salę wśród grobowej ciszy. Zstępując po schodach, gdy lawina oklasków jęła wstrząsać gmachem, zwłókł frak z ramion i upuścił pod nogi.

Już dawno nie doznawał takiej przenikliwości widzenia. Patrząc na twarze zwrócone ku sobie, wiedział, że próżny wysiłek, nie byli gotowi, nikt nie był tam gotów, nikt nie miał zamiaru pojąć co on mówi.

W pustym hallu portier zastąpił mu drogę.

- Sir, telefon zagraniczny do pana. Tędy, do kabiny... - poprowadził między kolumnami.

Znalazłszy się w środku, Baran zamknął szczelnie drzwi za sobą, zwałił się w wyściełany fotel i chwilę siedział w ciszy. Nadchodziła zmiana, już odczuwał ją w sobie. To co czynił dotąd nie służyło niczemu. Nic nie odmieniały próby ożywienia tych złogów pamięci zasypanych kurzem. Na próżno odgrzebywał dawne żądze, pragnienia, uprzedzenia, strachy. Nigdy nie zdołałby ich zaspokoić czy uporać się z nimi. Trzeba było zapomnieć i odbić się w górę, jak nurek odbija się od dna stopami...

Sięgnął do słuchawki na mahoniowym pulpicie. Zwalczył pokusę by ją odwiesić na haczyk.

- Halo? - zapytał cicho.

Spomiędzy szumów i gwizdów, echa dalekich rozmów i trzasków eteru, usłyszał:

- Cześć, tutaj Vujkovič!

- Zaraz, zaraz... - zastanowił się Baran - Gdzie ja to słyszałem... Vujkovič? A, tak, pamiętam! - rzekł cieplejszym tonem - No, i co tam słyszać?

- Mam prośbę do ciebie.

- O świeczkę w kościele?

- Daj spokój. Czy mógłbyś przyjechać tu do Martińszczycy?

- Mógłbym, ale po co? - spytał Baran bez zaciekawienia.

- Wyciągnąć mnie z wody.

- Też coś!
- Ja już tak nie mogę - wyjącał Vujkovič. - Musisz mnie wydobyć, powiedz, że to zrobisz! - nieomal już krzyknął.
- Znudził ci się ten żywot bez ciała? - cień zaciekawienia zjawił się w głosie Barana.
- Spróbuj to zobaczysz.
- Twierdziłeś, Vujkovič - Baran zsunął się nisko w fotelu i zadarłszy nogi oparł je o ścianę wysłaną atłasem - twierdziłeś, że będąc tylko myślą, jako niezwiązana świadomość naprawdę tam żyjesz i na taką skalę, jaka w cielesnym życiu nie może się zdarzyć.
- Właśnie o to chodzi! - przerwał mu Vujkovič. - Dlatego, że wszystko, dlatego, że bez granic. Ja to przemyślałem, ja już nie jestem prosty jak tamten marynarz co się zawiął, wziął w łeb na plaży i poszedł pod wodę. Ja już zrozumiałem, że trzeba mi ograniczenia. Bez materialnego życia nie odnajdę siebie. Muszę gdzieś się kończyć i gdzieś zaczynać. Bez konieczności i przymusów życia nie zdołam się rozwinąć. Trzeba stawiać im czoła, trzeba czynić wybory, jeśli chce się wznosić po szczeblach istnienia.
- Co ci przyjdzie z tego - zapytał go Baran - że wyciągnę trupa? Znajdziesz się w kostnicy, a potem do ziemi!
- Nie znasz swojej siły. Ty jeden możesz mnie ożywić, sprowadzić moją świadomość do ciała. Są jeszcze trzy, albo cztery takie osoby na ziemi, ale wszystkie na zbyt wysokim poziomie, by moje pragnienie uznać za uzasadnione. Ty stoisz dużo niżej, a zarazem masz w sobie dostateczną siłę.
- Co ty tam wiesz o mnie, Vujkovič, nie spotkałeś mnie nigdy za życia!
- To nie jest przeszkoda - Vujkovič nie dał za wygraną - po prostu widzę cię jak świecąca chmurę, wielokrotnie jaśniejszą niż u innych ludzi.
- Dobrze! - mruknął Baran w zamyśleniu - Duch dąży do stania się ciałem, a ja próbowałem chyba w drugą stronę...
- Co znowu? - nie zrozumiał Vujkovič.
- Nic, nic, mówiłem, że to do zrobienia. Pojadę... - cedził słowa nieuważnie, bo przypomniał sobie tę noc w Martińszczycy, ów wybuch w nim samym, który trwa do dzisiaj i teraz najwyraźniej domaga się czegoś po tylu straconych i pustych działaniach.
- Słuchasz czy usnąłeś? - słuchawka zatrzeszczała głosem Vujkovičia.
- Słucham - ocknął się Baran. - Masz to załatwione.
- Odwiesił słuchawkę, nogi spuścił na ziemię. Podniósł się z fotela.
- Drgnęły drzwi kabiny i w szparze ukazały się wąsy portiera.
- Szefie, zamykamy - szepnął do Barana.
- Król poszedł do domu?
- Jaśnie pan kazał się zawieźć do pałacu pół godziny temu. Już nie ma nikogo.
- To i mnie też w drogę.

11.

Przypłynął do Martińszczycy stateczkiem żeglugi przybrzeżnej, między dwoma sztormami. Dziwiono się tam trochę, po co w środku zimy. Zamieszkał jak kiedyś u Vujkoviča Julity, z księdzem grywał w pokera. Z początku nie zanosiło się na to. Mijali się w pobliżu kościoła, gdy Baran schodził codziennie nad morze. Udawał, że nie dostrzega czarnej sutanny z brewiarzem, kroczącej wzdłuż muru. Ksiądz zerkał ciekawie. Baran ruszał szosą okrążającą zatokę, dawał się spryskiwać falom i przewiewać wichurze. Próbował zmarznąć, złapać cho-

ciaż katar. Bez skutku. Więc znów to ponawiał, jakby wciąż od nowa musiał się upewniać, że nadal ma Siłę. Stary Vujkovič kilkakrotnie podsuwał mu kozuch barani, w końcu, dla świętego spokoju, Baran przyjął podarek i zaczął go nosić, by nie drażnić ludzi.

Któregoś dnia, ksiądz, zapewne wypytawszy gospodarzy, zagadnął go pierwszy, nie bacząc na wstępy:

- Synu, coś cię złamało?

- Niech się ksiądz odwali! - poradził mu Baran, nie zwalniając kroku. Odszedłszy kawałek zmienił jednak zamiar. Pamiętał, być może, iż każdą scenę można w zasadzie powtórzyć. Zawrócił, obszedł kościół dokoła i raz jeszcze podchodząc, rzucił:

- Pochwalony...

Usiedli na pięterku plebanii, przy gąsiorku wina, patrząc przez małe okienka na spierzchnięte morze. Potem już co dzień grywali. Ksiądz o nic nie pytał, a Baran nie palił się także do zwierzeń.

W kwietniu, przy lepszej pogodzie, wyprawiał się daleko brzegiem. Docierał już ścieżką po skałach do miejsca, gdzie znalazł był kulę. Zima wiele zmieniła. Fale przyboju wypchnęły całe zwały kamieni, spiętrzyły szańce otoczek i barykady pni odartych z kory.

Na podwodnych skałach, tam gdzie kiedyś nurkował, kipiały jeszcze wściekłe wiry. Niepodobna było się zanurzyć, mimo iż z łatwością mógł znieść lodowatą wodę. Zresztą, nie było w nim żadnej myśli o tym co się kryje w wodzie. Patrzył bez wzruszenia, jakby zapomniawszy swoją obietnicę i co tu ma zrobić. Któregoś wieczoru, kiedy snuł się brzegiem za ostatnimi domami, zaczepiła go Halška. Jak zwykle, wino szumiało jej w głowie.

- Tu każdy ze mną leżał - powiedziała z wyrzutem - a ty co się stawiasz?

- Ja nie mam ochoty - łagodnie odpowiedział Baran.

Nie mogła uwierzyć, oparła mu rękę na brzuchu. Dał jej sto dinarów i kazał iść z sobą do gospody. Postawił jej wino, sam nie pił. Zaczekał, aż zeszło się kilku rybaków.

- Teraz bij mnie po twarzy! - polecił dziewczynie.

Z początku nie chciała, ale gdy zagroził, że pieniądze odbierze, zabrała się do tego z ochotą, aż mu głowa skakała. Rybacy, sądząc, że są oboje pijani, chcieli ją powstrzymać, ale im Baran wyjaśnił, że za jego zgodą. Patrzyli z niesmakiem. Stary Krč sklął Barana:

- Panie, dziwka i po twarzy? To niegodne chłopca!

- Zostawcie... - poprosił.

Biła a on siedział na ławie, oparty o ścianę. Czekał, aż coś się w nim zbudzi, ale nie czuł niczego. Przyjmował chłasknięcia to w lewy, to w prawy policzek, jakby to nie jego bito. Rozeźliła się tym, że jej bicie nic go nie obraża. Poczęła go wyzywać, pluła sobie w dłonie, potem w twarz Barana. Nic nie pomagało, nie czuł się zelżony.

Rybacy wymyślali mu także, przybywało widzów. Halška rozkraczona, zawinawszy spódnice, rozczochrana jak wiedźma, zdyszana i czerwona, biła aż popuchły jej dłonie. Wreszcie usiadła na ziemi. Jemu krew ciekła z nosa, policzki obrzękły, miał rozbite ucho.

- I co? - zapytali rybacy.

- A nic - odpowiedział. Jak miał wytłumaczyć, że mu lekko na duszy.

- Niemożliwe! - Krč pokręcił głową. - Żeby w chłopie nie było nic dumy?

- Musi głęboko schowana - ktoś inny dorzucił. - Uuch, jakby mnie dotknęła, jakbym jej w...

- Głęboko też nie ma - pogodnym głosem rozczarował ich Baran. Pomyślał, że już jest gotowy. Nie w pełni, to rozumiał, lecz w jakiś sposób było jasne dla niego, że pokonał szcabel, kolejną przeszkodę. Czuł się wolny, bezkształtny. Tak, to było to słowo! Bezkształtnego nikt i nic nie mogło naruszyć.

Potem, czekając aż mu się objawi konieczność następnego kroku, przez miesiąc nie wychodził z pokoju. Vujkovič Julita przynosiła mu talerz. Otwierał drzwi z klucza i odbierał przez szparę. Powtarzała zaproszenia księdza na pokera. Odmawiał do czasu, gdy któregoś

wieczora, ksiądz sam przyszedł pod okno w ogrodzie.

Poszli na plebanię, a ledwo zaczęli partyjkę, Baran z roztargnieniem odłożył karty, pstryknął w kieliszek czerwonego wina, a gdy ten oddzwonił srebrnoszklanym tonem, rzucił od niechcenia:

- Chcę się wyspowiadać.

Ksiądz nie mrugnął okiem. Odłożywszy karty, wziął stulę z poręczy fotela, założył na szyję i pokazał drogę. Stromymi schodkami, prowadzeni przez skrzywienie desek, zeszli do kościoła pograżonego już w mroku. Stary konfesjonał wyrzeźbiony z oliwnego drzewa, jak ono poskręcany, upleciony, zdawało się z konarów, wchłonał księdza bez śladu. Gdy z wnętrza dobiegło stukanie, Baran ukląkł przy kratce.

- To nie będzie spowiedź - przewrotnie zaznaczył.

- Jak zechcesz, mój synu - ksiądz nic nie nalegał i o nic nie pytał.

Po chwili milczenia, wypełnionej łopotem skrzydeł mewy, uwięzionej pod stropem, Baran zaczął mówić. O wybuchu w nim samym, o odkryciu Siły, o szalonych czynach, myślach, które ostatnio poczęły go trapić i oczekiwaniami. Gdy zamilkł, usłyszał odpowiedź.

- Niezbadane są ścieżki... Czyżbym właśnie po to, ja, zwykły księżulo, został osadzony na tym, dalekim odludziu, ażeby ci pomóc? Jesteś obdarzony, synu, jeszcześ tego nie pojął. Masz to, o czym nasz Pan mówił: „Ktokolwiek nie wątpiłby w sercu swoim, lecz wierzył, że stanie się to, co mówi, spełni mu się... Dlatego tylko wierzcie, że otrzymacie, a spełni się wam.”

Opatrność sprawiła, mój synu, że nie ma w tobie wątpienia. Odwrócił się porządek rzeczy, otrzymałeś tę cudowną właściwość nie zasługując na nią wprzód. Choć może... Mówiono mi o zdarzeniu w gospodzie, dałeś się znieważać tej biednej dziewczynie w gospodzie; zapewne ja jeden pojąłem twój zamiar. Przez upokorzenie chciałeś otworzyć sobie dalszą drogę... Czy bardzo się myłę?

- Nie bardzo - zgodził się Baran. Wsparty skronią o kratę patrzył jak zmęczona swą szamotaniną mewa sfruwa spod powały i siada na posadzce w smudze światła księżyca, przesączonej z witraża.

- Dam ci dziwną radę - podjął ksiądz z westchnieniem. - Pojedź do Lošinia, żyje tam stary rabin, ma sto lat z okładem. Lecz nie o to chodzi. To wtajemniczony, duch na takim poziomie, na którym nieważny jest rodzaj wyznania, żyd czy też katolik. Jeżeli zechcesz, on cię poprowadzi. Widzisz, przyznaję z pokorą, mój język cię nie przekona, tobie już nie wystarczy kościelne gładzenie, a inaczej nie umiem. Choć znam słowa Pana: „Bóg nie jest Bogiem umarłych, lecz żywych”, przecież zabrnąłem w nakazaną nam wykładnię kanonu, skierowaną w zaświaty. Tu trzeba o życiu. Lecz ty wiesz już o tym. Jedź, jedź do Lošinia.

Ruszyli do plebanii, ksiądz wspinał się pierwszy po ciemnych już schodach, gdy Baran cofnął stopę i wrócił do kościoła. Nie próbując się skradać, ani ściszać kroków, podszedł wprost do mewy i wyciągnął dłonie. Dziki ptak utkwiał w nim spojrzenie swych oczu w czerwonych obwódkach, jarzących się krwiscie w promieniu księżyca. Przysiadł niżej na kamiennej płycie i pozwolił wziąć się Baranowi. Ten, wniósł ptaka po schodach, pchnął łokciem drzwi prowadzące na ganek i zamachem ramienia posłał go w ciemny przestwór opadający ku morzu.

Ksiądz nie przeoczył znaczenia tej chwili.

- Synu, nie jesteś zgubiony - powiedział nalewając wino - jedź, jedź do Lošinia!

Tak też Baran zrobił. Któregoś poranka, gdy stary Krč ruszał tam z workami przytroczonymi na mułach, Baran chwycił garść włosów i trzymając ogon, szedł za zwierzęciem, patrząc w jego kopyta. Krč nic nie powiedział, zwyczajny dziwactw obcego. Dopiero gdy zbliżając się do Lošinia, mijali jakiś daszek wciśnięty pod skałę między dwa cyprysy i zasnuty dymem żarzącego się pod kociołkiem płomienia, stary splunął pod nogi.

- Cygany! - mrugnął w stronę Barana.

Ten, rzucił okiem na chatę i wybuchnął śmiechem. Śmiejąc się i mówiąc na przemian do siebie, szedł dalej po wertepach. Zataczał się przy tym tak, że gdyby nie ów muli ogon, byłby się przewrócił. Krć nic nie rozumiał, nie widział także powodu do śmiechu, więc wściekły, zsunął czapkę na oczy i przyspieszył kroku.

Zaś Baran wspominał swoją pierwszą przygodę z Cyganką, którą porwał do lasu. Całe epoki dzieliły go od tamtej chwili. Rozśmieszyła go myśl o tym, co by tu się stało, gdyby nadal był ówczesnym Baranem. Jak na zawołanie zdarzały mu się wtedy zwariowane rzeczy. Począł fantazjować:

- Cygan dostrzegł spod daszku Barana - jał opowiadać sam sobie - i podbiegł na czworakach. „Przyjdź - błagał - bo tyś tego narobił! Ludzie z pielgrzymkami schodzą się tu do nas oglądać cud świata. Ona rodzi i rodzi, a tyś jej to sprawił!” „Tak, ja!” - odpowiedział Baran. „Więc zatrzymaj to teraz!” „A chcesz tego, Cyganie?” „Wiadomo, tak żyć nie możemy. Ona nie przestaje rodzić. Będą nas miliony. Sprzeciwiają się władze, a nas wciąż przybywa. Ona jest jak pszczoła-królowa. Dzieci z niej wychodzą jedno zaraz po drugim, tyle, że malutkie, tycie, ale silne, zdrowe, krzyczą i chcą mleka. Karmią je Cyganki z całej okolicy. Czerwony krzyż dostarcza odżywek. Doktorzy ją badają, chcą temu zapobiec...” - Baran zaczerpnął oddechu, położył dłoń na obolałym brzuchu i dalej naśladował Cygana: „Co ty nam zrobiłeś, cały świat Cyganów! Inni nie pozwolą, zaczną się pogromy. W dodatku te dzieci mają twoją Siłę, popęd do rozrodu, chociaż takie małe, wpełzają na siebie, chcą się kochać, embriony!”

Weszli między domy. Krć jak oparzony skreślił w jakąś bramę, pociągając muły. Baran puścił ogon, otarł łzy wierzchem dłoni i z obolałymi szczękami powłókł się ulicą. Znalazłszy synagogę, spytał o rabina i od razu usłyszał, że rebe nikogo nie przyjmuje. Błady młody człowiek w jarmułce zsuniętej na czoło, zastawiał sobą dzwierzę. Nie wiedział co czyni. Ledwie przebrzmiała jego pewna siebie mowa, spoza grubych desek dobiegały drżące lecz rozkazujące słowa:

- Mosze, wpuść tego goja bez najmniejszej zwłoki!

Rabin, między dwoma świecznikami, sam żółty jak świece, z obliczem okolonym żółtym, krętym włosiem, które przebierał palcami, powiedział:

- Nu, ja długo czekałem, już czułem zbliżanie...

- Więc nie muszę nic mówić?

- Ojoj, dlaczego ty tak myślisz: muszę - nie muszę? Pan Bóg tak urządził, że nie ma przymusu, ty wyłącznie możesz, to, albo tamto, według własnej woli - bez przygany, łagodnie, lecz z ukrytą siłą odparł na to starzec.

Patrzył w oczy Barana, lecz zarazem jakby na niego całego i przestrzeń dokoła. Baran czuł to spojrzenie całym swoim ciałem.

- Ja się nawet nie pytam jak ty się nazywasz - ciągnął rabin - tobie niepotrzebne nazwisko, z ciebie bije siła, z ciebie po prostu wylewa się siła, uj, co ja mówię, ty jesteś wulkan siły...

- Rebe, chciałem... - zaczął Baran, lecz starzec przerwał mu natychmiast, machając rękami:

- Ajajaj! Ty mi lepiej nic nie mów! Siadaj i siedź cicho, bo ja bym nie był rabinem z Lošinia, gdybym sam nie wiedział co ty mi możesz powiedzieć, jeszcze zanim tu przyszedłeś. Nie trać czasu, bo nie wiesz czy każdy z nas będzie żył jeszcze minutę, jeszcze dwie minuty, no, może pięć minut... - podniósł oczy do stropu z ciemnych, niemal czarnych belek, po czym znów utkwiał je w Baranie i ponownie przemówił. W miarę jak płynęły minuty, różowe rumieńce wykwitły na pergaminowych policzkach starego człowieka.

- Ja niczego za ciebie nie zrobię - uprzedził - ty musisz wszystko sam zrobić, ja tylko zdejmę z ciebie pajęczynę, w którą się zaplątałeś jak ta mucha w synagodze, której się zdawało, że święto Simchas Tora pająki odmawiają Kaddosz...

Czternaście świec w dwu świecznikach spłonęło do koniuszków knotów i gdy zgasły

ostatnie płomyki, świt zajął przez szyby. Rebe, odprawivszy Barana, zaszeleścił kartkami Talmudu, jak gdyby się wcale od nich nie odrywał. Zaś Baran, z błyszczącymi oczami, jakby nie miał za sobą nieprzespanej nocy, przeszedł równym krokiem bezludny jeszcze rynek, uliczki z zasłoniętymi oknami, bramę, i dwadzieścia kilometrów skalistego terenu, dzielącego go od Martińszczycy.

Rozmyślał nad tymi słowami rabina, które objaśniały, iż jego dar siły w istocie nie jest darem. Jest właściwością, którą zawdzięcza sam sobie. Wreszcie w pełni zrozumiał to, co tylko przeczuwał, że pragnienie i wola podtrzymywane latami, wyzwoliły owo źródło mocy ukrytej w nim samym. Jak daleko by nie sięgał wspomnieniem, odnajdywał w sobie nieustającą nadzieję, więcej, niezachwianą pewność, że zapanuje nad życiem, tak jak to się stało.

Była więc ta możliwość tak samo wbudowana w przyrodę, jak każde z praw wszechświata. A jej uruchomienie, odkrycie jej w sobie i spożytkowanie, wymagało tego co on właśnie zrobił - nieustępliwego pragnienia. Lecz spożytkowanie... Nie sprostał tej próbie!

Tuż przed samą wioską zszedł z drogi ku plaży. Słońce, wynurzywszy się z niskiej łąwicy chmur leżącej na wschodzie, oświetliło domki spiętrzone na wzgórzu, biały kościół pod nimi i oliwne gaje na łagodnych stokach. Szedł skrajem przyboju, zamoczywszy buty. Po nocnej wichurze, niespokojne morze wysyłało daleko pienne zagony szeleszczące żwirem. W zakolu otoczonym postrzępionymi skałami, na piaskowej łąwicy, leżała kobieta. Ujrzał jej rękę dziwnie wykręconą i wciśniętą pod ciało, przemoczone ubranie. Na gołych kolanach osiadły wodorosty przyniesione przez fale, jeden but z oderwaną podeszwą tkwił jeszcze na stopie, druga woda zaniósł na pobliski kamień. Przybój toczył do góry i na dół pustą butelkę po winie, kilka innych walało się dokoła, jedna, nie do końca wypita, stała powyżej, na męskim kubraku.

Nie dostrzegł nikogo w pobliżu. Nachylił się i poznał Halškę. Twarz miała zmienioną, opuchniętą od ciosów, pełną sińców podbiegających fioletem i czernią, krwawe rozcięcia na czole i ramionach. Nie zastanawiał się długo nad tym, kto pobił i zostawił nieprzytomną na pastwę nocnego przyływu. Od pewnego czasu widział różne rzeczy w najbardziej oczywisty sposób, jakby miał je w głowie odkąd się zdarzyły. Tak i tutaj, już od pierwszej chwili było jasne dla niego, że to dzieło Mariča, ponurego chłopca, uprawiającego oliwki na wzgórzu pod lasem.

Baran kopnął butelkę, ułożył Halškę na kubraku, zapiął go na wszystkie guziki, tak by unieruchomić wewnątrz wywichniętą rękę, przyciśniętą do ciała. Nadal nieprzytomną, uniosł jak dziecko na rękach przed sobą. Przeszedł obok kościoła, zerknął na zamknięte jeszcze okiennice plebanii, przyjrzał się ciekawie mijającej go Krčowej, która czyniąc na wyschniętej piersi rozległy znak krzyża, wypowiedziała na głos swe gorące życzenie:

- Znów się ta dziwka zapiała, bodaj by ją szlag trafił!

Otworzył plecami bramkę oraz drzwi wejściowe, aż wreszcie u stóp schodów zatrzymał go stary Vujkovič.

- A dokąd z tą zdzirą?

- Do mojego pokoju - grzecznie objaśnił Baran.

- Tu wszystko jest moje! - Vujkovič wysunął do przodu szczękę z nieogoloną od tygodnia szczeciną. - Nie będzie mi tu urządził burdelu!

- Tylko szpital - objaśnił go Baran. - Wezwijcie pogotowie!

Stary Vujkovič miał jeszcze coś do powiedzenia, ale zrezygnował spojrzawszy w oczy Barana, obrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami. Chcąc jak najprędzej pozbyć się Halški spod własnego dachu, poczłapał do telefonu.

Nieco spóźniona Vujkovič Julita wbiegła za Baranem po schodach ze skubaną kurą trzymaną za tylne odnóża. Zanim położył Halškę na swym łóżku, jednym jakie zostało w pokoju, bowiem drugie zostało zabrane dla innych letników, zdołała, cisnąwszy w kąt kurę, zerwać czystą pościel i odsłonić wysłużony materac.

Lekarz przyjechał z Lošinia po czterdziestu minutach. Zaczął od ogólnych oględzin i wypytał Barana, po czym oparł but Halšce pod pachą i szarpnął przedramię. Z głośnym chrupnięciem kość ramieniowa wskoczyła do stawu. Poszkodowana jęknęła, ale nie otworzyła oczu.

- Rozbierzcie ją! - lekarz skierował polecenie do Vujkovič Julity, lecz ta, trzymając kurę z odrąbaną głową, zdawała się nie rozumieć.

- Rozbierzcie ją, do naga! - ponaglił niecierpliwie. - Cofnęła się trzy kroki, a stary Vujkovič czyhający za drzwiami złapał ją za łokieć i wyciągnął z pokoju. Odpowiedział za żonę:

- Takiej grzech dotykać!

Lekarz wziął się pod boki, nabrał powietrza w płuca, ale nim usta otworzył, Baran zatrzasnął drzwi Vujkovičowi przed nosem i przekręcił klucz w zamku, mówiąc:

- Ja to zrobię.

Gdy rozcięta na czaszce była pozszywana, założone kompresy na stłuczeniach i rany obandażowane, lekarz otworzył drzwi z klucza i nad głową Vujkoviča zawołał w dół schodów, do kierowcy czekającego w ogrodzie.

- Vaško, przynieś nosze!

- Po co? - spytał Baran.

- Wezmę ją do szpitala. Co prawda, mogłaby zostać - dodał po krótkim wahaniu - ale wymaga opieki. Gdyby ktoś z rodziny...

- Jakiej tam rodziny! - wychrypiął Vujkovič. - Nawet nie wiadomo skąd się takie rodzą! Zabierać ją w czortu!

- Ona tu zostanie - odezwał się Baran.

- Co? - Vujkovič zmierzył go pałającym spojrzeniem, lecz za nim zdążył coś do tego dodać, Baran podrzucił na dłoni niklowaną kulę, wyjętą bezwiednie z kieszeni. Dostrzegła ją od razu Vujkovič Julita, a że zniknięcie tej kuli kojarzyło się jej ze zniknięciem syna, gdyż oba wydarzenia zaszły jednego wieczora, zaświtał jej promyk nadziei. Skoro znalazła się kula... Nie śmiała dokończyć tej myśli, ani zapytać Barana, lecz być może uczyniła jakieś ślubowanie, gdyż w następnej chwili wkroczyła na scenę. Zdechłą kurą trzepnęła starego Vujkoviča po brzuchu i popchnęła do tyłu, omal zrzucając ze schodów.

- Idź już na dół, stary! - poradziła. - Coś ci się pokręciło, dom należy do mnie, ty go nie dostaniesz. A ona może zostać aż się nie wylize.

- To może potrwać dość długo - uprzedził ją lekarz. - Jest przytomna, ale pozostaje w szoku po ciężkim pobiciu.

- Niech tam... - zgodziła się Vujkovič Julita i machnąwszy kurą, zwróciła znów zahipnotyzowane spojrzenie na kulę znikającą właśnie w kieszeni Barana. Poczłapała na dół i przyniosła własną nocną koszulę. Odżałowała też komplet pościeli, a pół godziny później, gdy lekarz odjechał, a Baran z plikiem recept ruszał do apteki, ofiarowała się sama, że posiedzi przy chorej.

Przez całą noc Baran nie zmrużył nawet oka. Wieczorem położył się wprawdzie na kocu pod ścianą, lecz zerwał się po kilku minutach, gdy Halška poczęła się krztusić i zwymiotowała, wlany jej poprzednio łyżeczką, kubek miętowego naparu. Baran trzymał jej głowę nad miednicą, potem obmył twarz, osuszył prześcieradło i podłogę wytarł własnym ręcznikiem. Podparł jej plecy poduszką i znowu, cierpliwie, wlewał po łyżeczce napój, pamiętając zalecenie lekarza, iż nie wolno dopuścić do odwodnienia. Halška miała półotwarte oczy, lecz nie odpowiadała na żadne pytania, jakby ich nie słysząc. Trwając w odrętwieniu, jednak otwierała usta, gdy dotykał jej warg łyżeczką.

Około północy przyszło pogorszenie. Zwiększyła się gorączka. Halška zaczęła się kręcić i pojękiwać, przebierała palcami po kocu, potem próbowała zrywać opatrunki z głowy. Musiał siedzieć przy niej i przytrzymywać ramiona. Oderwał się na chwilę, by ze zwilżonej szmatki zrobić jej okład na czoło. Wkrótce wpadł na pomysł, by szmatkę zastąpić własną dło-

nią. To poskutkowało, bo po kilku minutach, uspokojona zasnęła.

Nadal siedział przy niej nie zdejmując dłoni, drugą odpędzał komary. Księżyc oświetlił pokój z ukosa i ostro zarysował twarz Halški. Opuchniętą wargę z cieniem wąsika pod nosem, grube pory nosa i zwiotczone powieki.

Nad ranem, przez sen, zmoczyła się obficie, więc wysunął spod niej prześcieradło i na mokry materac położył własny koc złożony we dwoje. Zsunął jej koszulę przez głowę, a nie mając drugiej i nie chcąc budzić reszty domowników, zostawił ją nagą, podciągawszy przykrycie wysoko pod brodę.

Nawet gdy słońce weszło nie czuł się zmęczony. Z okna przez figowe drzewo, patrzył na pomarańczową kulę wyłaniającą się z morza. Myślał ze spokojem, że pierwszy raz w życiu osiągnął harmonię w sobie. Wolny był od wahań i cienia niepokoju, jakby przekonany, że to czym się zajął jest najbardziej właściwym spośród wszystkich wyborów.

Gdy usłyszał, że drzwi skrzypnęły na dole, zszedł do kuchni i pod okiem Vujkovič Julity ugotował kleik. Całe przedpołudnie znów mu upłynęło na karmieniu, podawaniu leków i zmianie opatrunków. Wszystko chciał sam robić, zgodził się jedynie, by gospodyni pomogła mu umyć chorą. Sam przeparał prześcieradło i koszulę i rozwiesił w ogrodzie. Stary Vujkovič zmierzył go ciężkim spojrzeniem spod białego oleandra, przy którym warował od świtu, tej jedynej rzeczy, która całkowicie zależała od niego w tym domu.

Zdawało się, że Halška nadal nie wie co się z nią dzieje. Trudno było odgadnąć, czy jej oczy spod półprzymkniętych powiek cokolwiek dostrzegają. Podobnie do pierwszej nocy, upłynęła i druga. Rano zjawił się lekarz. Wziąwszy do karetki turystę z nogą złamaną na nadbrzeżnych skałach, wpadł do Vujkovičów. Stwierdził znaczną poprawę, dał kilka zaleceń, znienacka huknął Halšce nad uchem, aż ta otworzyła oczy i niepewnie mrugając patrzyła na lekarza, który parsknął śmiechem. Kiedy zrozumiała, że dała się podejść, zacisnęła oczy i nie otworzyła ich już do wieczora. Baran to rozumiał i na nic nie nalegał.

Po odjeździe lekarza zszedł na dół do kuchni i poprosił Vujkovič Julitę, aby posiedziała przy chorej w czasie, gdy nie będzie go w domu. Nim wyszedł, wyjął z kieszeni i położył na stolnicy ciężką mu kulę. Ledwie zniknął za drzwiami, porwała ją Vujkovič Julita i podreptała do swojego pokoju. Nie miała zamiaru wkręcać jej z powrotem na pręt łóżka służącego szwabskiemu gościowi. Jak najświętszą relikwię złożyła ją przed ubraną kwiatami fotografią syna.

Baran wspiął się na wzgórze, do chaty Mariča. Pies łańcuchowy szczeknął kilka razy, po czym machnął ogonem i zasnął w cieniu budy.

- Marič! - krzyknął Baran - Wyłaż!

Nikt się nie odzywał. Marič, dostrzegłszy Barana przez okno swojej chaty, od razu domyślił się o co tutaj chodzi. Skoczył do skrytki w podłodze i wyjął parabellum zdobyte niegdyś na Niemcach, w partyzanckich czasach. Przez dziesięciolecia oliwił je troskliwie, a czasem przestrzeliwał w głośnie, burzowe noce. Gdy Baran pchnął drzwi izby, ujrzał skierowaną w siebie lufę i Mariča w rozchełstanej koszuli, ukrytego za stołem.

- Jak podejdziesz, strzelę!

Nic nie odpowiedział. Stał przez dłuższą chwilę, podczas gdy niebieska mucha, wleciawszy za nim z podwórza, brzęcząc zataczała koła między nim i Maričem. Gdy wreszcie usiadła na muszce rewolweru i jęła spokojnie czyścić swe przednie odnóża, równie spokojnie Baran uczynił trzy kroki i sięgnawszy nad stosem talerzy zaschniętym jedzeniem, nie napotykając sprzeciwu, wyjął parabellum z ręki zdrętwiałego chłopa. Wsunął je do tylnej kieszeni, obszedł stół dokoła i kolanem popchnął do wyjścia Mariča.

Nie zamieniwszy ni słowa, zeszli ścieżką w dół wzgórza i pośród opłotków do domu Vujkovičów. Znów szturchnięty w plecy, Marič przemierzył ogródek i wspiął się po schodach do pokoju chorej. Postawiony w kącie stał tam do wieczora z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Patrzył jak Baran zdejmuje każdy opatrunek, odstaniając sine, podbiegłe krwią ciało.

Jak przemywa je watą, jak okłada gazą umoczoną w sodzie lub oprósza zasypką, potem bandażuje lub zakleja plastrami. Widział karmienie łyżeczką, poprawianie poduszek. Oddychał chrapliwie, nie odrywając oczu od łóżka, choć Baran nie spojrzał na niego ani razu. Gdy zaczęło się ściemniać, przestąpił kilkakrotnie z jednej nogi na drugą. Baran kiwnięciem palca wezwał go za sobą i pokazał wychodek. Marič wyłonił się po pół godzinie i sam powrócił do swojego rogu. Ugiął tam kolana i kucnął oparty o ścianę.

Trwał tak do północy. Nie wiadomo co myślał, lecz starania Barana musiały być dla niego tak niezwykłym widokiem, że nie zmrużył oka, choć kilkakrotnie opadała mu głowa. O pierwszej nad ranem uznał zapewne, iż już dość zobaczył, bowiem korzystając z tego, że Baran pochylony nad łóżkiem wlewał do ust Halški olej rycynowy, jał się na palcach przesuwając ku wyjściu z pokoju. A że Baran udał, że tego nie widzi, po kilku krokach był na korytarzu. Zaskrzypiały schody, po czym dudniący hałas wstrząsnął całym domem. Z połowy wysokości Marič zjechał na siedzeniu, miażdżąc kość ogonową. Tłumiąc jedną dłonią dźwięki podobne do psiego skowytu, drugą cisnąc siedzenie, wpadł do ogrodu i przepadł za płotem.

Nad ranem, gdy niebo szarzyło i odezwały się ptaki, Halška westchnęła głęboko, jakby trapiąca koszmarnymi snami, nim Baran zdołał cokolwiek zaradzić, nastąpiło gwałtowne wypróżnienie. Halška zbudziła się, a zrozumiawszy co się stało, znów znieruchomiła, udając głębokie uśpienie.

Nieznuzony Baran odchylił nakrycie i ujrzał obraz zniszczenia. Przez całą godzinę, z oddaniem, usuwał jego skutki. Zagrzał w kuchni wodę, przyniósł dwie miednice, zebrał kilka ścierek, swoje dwa ręczniki. Ze strony Halški nie miał żadnej pomocy. Uparcie udawała, że o niczym nie wie. Zdjął ją z łóżka na podłogę i obmył letnią wodą. Jak niemowlęciu unosił jej nogi, uda i pośladki namydłał obficie, zmywał, osuszał ręcznikiem.

Uświadomił sobie, że nic nie zdołało zakłócić jego niezmaconej pogody i naruszyć spokoju. Nic go nie raziło i nie odpychało, nie napawało odrazą, nie niecierpliwilo, ani też pobudzało do śmiechu. Odnalazł równowagę, wykonując, najlepiej jak umiał, to tylko co należało. Zrozumiał w ten sposób, że jest już gotowy...

Zmienił Halšce koszulę, prześcieradło, odwrócił umyty materac, a w końcu, gdy znów leżała w łóżku, wyszorował podłogę. Gdy się z tym uporał, słońce już zawisło nad morzem. Stojąc w oknie patrzył w jego tarczę, zrazu rozmazaną, lecz z każdą chwilą przybierającą wyraźniejsze kontury w miarę, jak unosiła się ponad mgiełki zatoki. Uczuł ciepło na twarzy, blask zmuszał do zmrużenia powiek. Pomyślał, że nadeszła chwila...

Obejrzał się, Halška otworzyła oczy, spotkała jego spojrzenie, wytrzymała chwilę, aż opuściła je na własne dłonie, porządnie i równo ułożone na kocu, czyste, z obcięzonymi krótko paznokciami, ostatnim dziełem Barana. Tak znieruchomiła.

Zszedł miękko po schodach i w kuchni poprosił Vujkovič Julitę, aby chorej, wracającej z każdą chwilą do zdrowia, zaniosiła śniadanie i obiad, gdyby miał nie wrócić. Położył kilka banknotów na stole i wyszedł nie pytany o nic.

W furtce, twarzą w twarz, spotkał się z posterunkowym. Znali się z widzenia. Milicjant bez wstępów i bez przywitania zażądał papierów. Baran sięgnął po paszport do tylnej kieszeni, wysunął go spod parabellum Mariča i podał bez słowa. Milicjant, śliniąc palec, przejrzał wszystkie strony, długo wypytywał, chciał wiedzieć, co Baran właściwie tu robi, oraz z czego żyje. Na ławeczce pod oleandrem wziął odciski palców, zdjął z ramienia aparat, zrobił fotografię z przodu, ujął za nos Barana i bez jego sprzeciwu, obrócił mu głowę do zdjęcia z profilu. Pstryknął na tle ściany i poradził się wynieść jeśli nie chce kłopotów.

- Nie chcę - zgodził się Baran.

- W porządku, za tydzień! - wyjął kalendarzyk i wrył paznokciem krzyżyk. - Tutaj! - podsunął pod nos Baranowi.

Ten zdziwił się szczerze:

- Do licha, rok już minął?

- Co? - zaniepokoił się przedstawiciel władzy. - Jaki rok... Wy coś ukrywacie!

Baran nie wyjaśnił o co chodziło, ruszył w stronę morza, podczas gdy posterunkowy, złapany za guzik przez starego Vujkoviča, zanurzył się w kuchni.

Przy kościelnym murze ksiądz ujął za łokieć Barana.

- Słyszałem... - zaczął.

- O, dobrze się składa! - przerwał księdzu Baran.

Zdjął z szyi woreczek ukryty pod koszulą i pełen banknotów.

- Wszystko co zostało! - wetknął księdzu w dłonie. - Niech ksiądz weźmie dla niej i spróbuje jakoś ją urządzić.

- Właśnie - podjął ksiądz - był u mnie Marič, ten wdowiec spod lasu. Nie wiem co mu się stało, zwykle nic nie mówił. Prosił, żebym namówił Hałškę do zamieszkania u niego, potrzeba mu gospodyni, a z czasem...

- Niech się ksiądz postara.

- Już wyjeżdżasz synu?

Przeciął sosnowy lasek pachnący igliwiami i ciepłą żywicą. Potem gaj oliwny, poszarzały w słońcu, dyszący od żaru. Spłoszył krokami zmięte zwinięta na ścieżce w spiralę. Zsunęła się miękko w szeleszczące listowie. Szedł daleko brzegiem widząc przed sobą uciszone morze. Stopy więzły w gruchocących kamieniach wypchniętych przez fale. Ogładzonych i białych jak śniegowe kule.

Od razu poznał skałę, wystawała z toni czarna, jak głowa Murzyna. Wpatrzony w jej odbicie na wodzie, rozebrał się i położył ubranie na płaskim kamieniu. Wszedł w morze po kolana. Szafirowa tafla wznosiła się leniwie jakby poruszana utajonym oddechem.

Oczami wyobraźni ujrzał co stanie się za chwilę. Wydobyty na plażę Vujkovič się zbudzi, usiądzie i podrapie w głowę. Będzie trochę zdrętwiały.

- Co się ze mną stało? Dlaczego mam mokre ubranie? - zapyta.

- Wyciągnąłem cię z wody - Baranowi wydawało się, że słyszy własne słowa.

- Nie znam cię - powie Vujkovič. - Tak, dali mi po głowie, pamiętam, zacząłem się topić... Już ich tutaj nie ma? - z niepokojem rozejrzy się wkoło.

- Nikogo.

- W porządku. Nazywam się Vujkovič.

- Tak, a to ciekawe? - odezwie się Baran - Właśnie mieszkam u twoich. Syn im zginął już dwa lata temu.

- Ja jestem tym synem, ale jakie dwa lata? Dopiero byłem w domu.

- Dwa lata przeleżałeś w wodzie.

- Tak mówisz? Czy to w ogóle możliwe? Zresztą, może i prawda... Coś mi chodzi po głowie, jakby coś się śniło. Przypomnę sobie z czasem - dotknie dłonią czoła. - Wracajmy, zgłodniałem!

- Lepiej zaczekaj aż ci wyschnie ubranie. Nikt nie uwierzy, że leżałeś w wodzie. Coś innego trzeba będzie im powiedzieć. Najlepiej zaczekajmy aż przyplynie statek.

Wszystko jak na dłoni rozgrywało się w wyobraźni Barana. Usiądą na słupkach przystani, a gdy statek przybije, zostaną zniesione worki z pocztą i wyniesione skrzynki z napojami, gdy zejdzie z trapu kilku pasażerów, dźwigając walizy, wówczas zmieszają się z nimi i pójdą w stronę domu. Baran ruszy przodem i uprzedzi Vujkoviča Julitę o cudzie, który zaraz się stanie, gdy jej syn żywy, jak ona jedna wierzyła, powróci załatwiwszy pilne sprawy na morzu. Rzuci się do kuchni przygotowywać uroczysty posiłek, zaś stary Vujkovič uzna, że Baran coś bredzi, miał o nim swe zdanie. Wówczas w ogródku zjawi się topielec.

Przez tydzień ksiądz będzie odprawiał msze dziękczynne bez żadnej zapłaty. Nigdy mu się nie zdarzyła sposobność wykazania, tak czarno na białym, co może zdziałać niezachwiana wiara. Zaś młody Vujkovič, ludziom przed kościołem, będzie opowiadał, iż trafił mu się dobry zarobek. Popłynął jachtem jakiegoś bogacza, a do domu wysłał wiadomość przez chłopaka.

ka z przystani. Jeśli nie dotarła, to nie jego wina.

Tylko Vujkovič Julita nie da sobie odebrać wiary w cudowność powrotu. Wkrótce, za jej sprawą, zawisnie w kościele obraz „Powrót syna”. Farbą olejną na płótnie, malarz domowy z Małego Lošinia, przedstawi wkroczenie młodzieńca na rodzinne podwórze pod opieką aniołów polatujących na niebie i w blasku promienia padającego z trójkątneho oka. Nikt nie zwróci uwagi na błyszczącą kulę, którą malarz, na szczególną prośbę Vujkovič Julity, umieści wśród obłoków. Co wieczór w innym domu, przy stołach zastawionych w ogrodzie, będzie się podejmować szczęśliwą rodzinę, aby wciąż od nowa omawiać wydarzenie. Aż młody Vujkovič, po uszy syt chwały, zacznie się wymykać i przepadać na długie godziny. Latem, w Martińszczycy, zbyt wiele jest opalonych letniczek.

Baran uczynił dwa kroki, zanurzył się do bioder. Na kostce prawej nogi czuł miękkie szczyknięcie ukwiału. Położył się w chłodnej toni i popłynął z zanurzoną twarzą. Skały pod wodą majaczyły w ukośnych promieniach. Wodorosty falowały niby pęki włosów. Zanurkował wzdłuż ściany, płosząc chmary rybek i zajrzał w szczelinę.

Vujkovič leżał, jak przed rokiem, całkiem niezmieniony. Patrzył w niego chwilę, wiosłując stopami, by się utrzymać w głębinie. Gdy powietrza zaczęło już brakować i poczuł ból w płucach, ujął ciało za ramię i pociągnął za sobą. Wyczuł lekki opór, nie puścił, wiosłował ku górze, krztusząc się już wodą.

Wywłócił Vujkoviča na gorące kamienie, przewiesił brzuchem na kolanie i wylał zeń wodę. Potem go dźwignął na piaszczystą łachę, położył na plecach z rękami wzdłuż ciała i oparł mu dłoń na czole.

- Mówię ci, wstań! – powiedział. - Idź do domu swego!

Powieki Vujkoviča drgnęły, lecz pozostały sklezione. Piersz zafalowała oddechem i zniechęciła.

- Jeśli tego za mało... - szepnął Baran. - Jeśli tego za mało...

Sięgnął do spodni leżących opodal i wyjął parabellum.

- Przyjmij moje życie - rzekł spokojnym głosem - abyś wstał i chodził!

Odsunął rewolwer na długość ramienia i patrząc w otwór lufy wystrzelił do siebie.

12.

Czas rozdzielił się jakby i przebiegał w dwu planach. Widział wylot lufy naprzeciwko czoła i, w czarnym otworze, bańkę ołowianą, rosnącą powoli, jak wydmuchiwany pęcherzyk. Równocześnie dostrzegł, jak Vujkovič siada, mruży oczy przed blaskiem, przeciąga ramiona.

Zwrócił oczy na lufę. Kula ledwie wychyliła czubek, kluska ołowiana, obrzydliwie rozmiękła, połyskująca tęczowo.

Vujkovič przyklęknął, wstał, podparłszy się dłonią, zrobił niepewnie dwa kroki. Nie widział Barana, patrzył w stronę brzegu. Ociekając wodą, podszedł chwiejnie do skarpy i oparł się ramieniem o zwalony pień drzewa. Podniósł twarz ku słońcu, wysunął obie dłonie, jakby pragnąc się ogrzać, przeniknięty chłodem wyniesionym z głębin. Żył i cieszył się życiem.

Rybitwa zawisała nad głową Barana trzepocząc skrzydłami. Skrzeczała przeraźliwie. Z oddali przypląnął ryk okrętowej syreny. Baran klęczał wśród luźnych kamieni. Patrzył w wylot lufy. Kula, szare obłe cielsko już w całości wypełzła z czarnego tunelu.

Jeszcze tyle miał czasu, aby się usunąć...

KONIEC